

Polska Zbrojna

95
LAT

NR 3 (839) MARZEC 2016

CENA 6,50 ZŁ (w tym 8% VAT)

INDEKS 337 374 ISSN 0867-4523



PAWEŁ SOŁOCH

*O priorytetach
polskiej armii
i zadaniach
obrony
terytorialnej*

Wybrani z najlepszych

 **BUZDYGANY 2015**





expo**silesia**

Sosnowiec



6 – 8 maja 2016

Targi Strzelectwa,
Militariów i Survivalu



EXPOShooting *targi z pasją!*

Pokazy, konkursy, atrakcje

- strzelnice i zawody ASG • strzelnice pneumatyczne i laserowe
- łucznictwo 3D • pokazy sztuk walki i trening Krav-Maga
- spotkania z pasjonatami broni i militariów
- Szkoła Survivalu – m.in. krzesanie ognia, budowa filtra wody na wiele sposobów, zajęcia z orientacji w terenie, pierwsza pomoc w warunkach survivalowych
- ciekawe prelekcje, warsztaty i wykłady • konkursy z nagrodami

Prezentacje nowości

- ASG i paintball • broń pneumatyczna, palna i czarnoprochowa
- broń historyczna i kolekcjonerska • broń cięciwowa i łucznictwo
- amunicja • noże i broń biała • sprzęt paramilitarny
- sprzęt outdoorowy, odzież i obuwie • optyka, noktowizory i latarki
- survival, samoobrona i akcesoria obronne

kontakt: Roger Wroński
tel. 32 788 75 37, tel. kom. 510 030 325
e-mail: exposhooting@expoSilesia.pl

tereny targowe: Expo Silesia Sp. z o. o.
ul. Braci Mieroszewskich 124
41-219 Sosnowiec

www.exposhooting.pl

Z SZEREGU WYSTĄP



IZABELA
BORAŃSKA-
-CHMIELEWSKA



OGROMNE EMOCJE TOWARZYSZYŁY
TEGOROCZNYM OBRADOM
KAPITUŁY BUZDYGANÓW, KIEDY
WYŁANIANO LAUREATÓW NAGRODY
„POLSKI ZBROJNEJ” ZA ROK 2015.

Rekordowa liczba nominacji (bo aż 14 z niemal 60 zaproponowanych, nadesłanych do naszej redakcji) zapowiadała burzliwe głosowanie... i tak było – o ostatnią statuetkę „walczyło” czterech kandydatów. Każdy kolejny oddany głos poszczególnych członków kapituły burzył zamysł i plany pozostałych. Jedno jest pewne, i podkreślali to niemal wszyscy – ta nagroda nie jest obiektywna i chyba nie powinna taka być, a niedopuszczalne, wręcz szkodliwe, jest porównywanie osiągnięć nominowanych. Naszym celem jest bowiem wydobyć na światło dzienne prawdziwych perełek, nie tylko wśród wojskowych, ale także cywilów, nagrodzenie ludzi, których pasja, ambicje i oddanie ojczyźnie są godne naśladowania i trzeba je nagłaśniać.

„Buzdygan” to także pseudonim Tadeusza Krzyżewicza, żołnierza Armii Krajowej, który stracił życie w akcji pod Arsenalem w 1943 roku. 1 marca już po raz szósty obchodzimy Narodowy Dzień Pamięci „Żołnierzy Wyklętych”. Żołnierzy, którzy nie dali się złamać władzy komunistycznej, a dobro ojczyzny stawiali ponad życie. W niniejszym numerze właśnie tym bohaterom poświęcamy należną im uwagę. O pamięć o nich walczą m.in. ludzie nauki. Szuka się szczątków żołnierzy wyklętych, aby godnie ich pochować. Ludzie kultury i sztuki tworzą np. filmy, takie jak „Historia Roja”. Dzięki takim działaniom młodzi będą w stanie sami rozstrzygnąć, czy byli to bohaterowie, czy bandyci, i staną się oporni na przekłamanie przekazy.

Bardzo serdecznie chcę się z Państwem przywitać i jednocześnie podziękować Panu Wojciechowi Kiss-Orskiemu za jego wieloletni wkład i zaangażowanie w rozwój najstarszego polskiego czasopisma, jakim jest „Polska Zbrojna”.



➤ Więcej o „Buzdyganach” na str. 12–29. O żołnierzach wyklętych czytaj także na str. 118–123.



Zdjęcie na okładce:
Valery Sibrikov/fotolia.com,
dział graficzny

NR 3 (839)
MARZEC 2016

TEMAT NUMERU

12 / Wybrani z najlepszych

Prezentujemy tegorocznych laureatów Buzdygana – nagrody „Polski Zbrojnej”.

ARMIA

PAULINA GLIŃSKA,
PIOTR BERNABIUK

30 / Rzeźbienie kadetów

Pokazujemy, jak powinno wyglądać szkolenie podoficerów.

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER,
TADEUSZ WRÓBEL

36 / Niepodzielne bezpieczeństwo

Paweł Soloch, szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego, m.in. o obronie terytorialnej i wzmacnianiu wschodniej flanki.

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER,
MARCIN GÓRKA

42 / Natychmiastowa reakcja

Zmiany w Wielonarodowym Korpusie Północno-Wschodnim.

KRZYSZTOF WILEWSKI

44 / W ciągłej gotowości

Jak zmieniają się zadania Centrum Szkolenia Sił Połączonych NATO?

ANNA DĄBROWSKA

47 / Sąsiedzka pomoc

Polski wkład w rozwój ukraińskiej armii.

ŁUKASZ ZALESIŃSKI

51 / Realna jazda w wirtualnym świecie

Jak w mgnieniu oka przenieść się z polskiego poligonu na afgańską pustynię?

ANNA DĄBROWSKA

54 / Armia wzywa

Nasza dziennikarka towarzyszy dziewczętnastolatkom podczas kwalifikacji wojskowej.

PIOTR BERNABIUK

58 / Górale na bewupach

W tym numerze od kulis pokazujemy 1 Batalion Strzelców Podhalańskich.

KRZYSZTOF KOWALCZYK

64 / Poczucie góry

Szkolenie Batalionu Kawalerii Powietrznej w Trzciancu.

PIOTR BERNABIUK

68 / Z moździerzem na Mnicha

Jak się przygotować do górskiego marszu?

ARSENAŁ

RAFAŁ CIASTOŃ

78 / Dyplomacja lotniskowców

W najbliższych latach wejdzie do służby okręt, którego pojawienie się może zwiastować nową erę chińskiej marynarki wojennej.

TADEUSZ WRÓBEL

84 / Na dalekie wyprawy

Amerykanie chcą mieć większe możliwości działań ekspedycyjnych.



STRATEGIE

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

92 / Strategia wzmocnienia

Rozmowa z Tomaszem Szatkowskim, wiceministrem obrony narodowej, o wynikach spotkania ministrów obrony w Brukseli i większym zaangażowaniu w ochronę wschodniej granicy NATO.

TOMASZ OTŁOWSKI

98 / Dżiny wojny

Gra o tron na Bliskim Wschodzie.

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER,

TADEUSZ WRÓBEL

104 / Cięcia i inwestycje

Niemcy zwiększają wydatki na armię.

HISTORIA

JOANNA TAŃSKA, KRZYSZTOF KOWALCZYK

110 / Akta niezastrzeżone

Rozmowa z dr. hab. Sławomirem Cenckiewiczem o zmianach w Centralnym Archiwum Wojskowym.

KRZYSZTOF SZWAGRZYK

118 / Z ryngrafami na piersi

O niezłomnych żołnierzach, których historia wciąż się toczy, mimo upływu lat.

JAKUB NAWROCKI

122 / Wyklęci bracia

Historia „Jastrzębia” i „Żelaznego”, czyli Leona i Edwarda Taraszkiewiczów.

TADEUSZ WRÓBEL

128 / Pływająca stocznia

Amerykański okręt remontowy USS „Medeus”.



HORYZONTY

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

132 / Zapomniany bohater

O tym, jak powstawał film „Historia Roja”.

MICHAŁ ZIELIŃSKI

137 / 30 kilometrów niespodzianek

Piąta edycja Biegu Tygrysa w Orzyszu.

DYREKTOR WOJSKOWEGO INSTYTUTU WYDAWNICZEGO
płk Dariusz Kacperczyk,
sekretariat@zbrojni.pl;
tel.: 261 845 365, 261 845 685, faks: 261 845 503;
Al. Jerozolimskie 97, 00-909 Warszawa

REDAKTOR NACZELNY POLSKI ZBROJNEJ
Izabela Borańska-Chmielewska, tel.: 261 840 222;
ibc@zbrojni.pl

SEKRETARZ REDAKCJI

Aneta Wiśniewska, tel.: 261 845 213
Zastępcy sekretarza redakcji
Katarzyna Pietraszek, tel.: 261 840 227;
Joanna Rochowicz, tel.: 261 845 230;
polska-zbrojna@zbrojni.pl

TEKSTY

Piotr Bernabiuk, Anna Dąbrowska, Paulina Gilińska, Krzysztof Kowalczyk, Bogusław Poltowski, Małgorzata Schwarzgruber, Krzysztof Wilewski, Tadeusz Wróbel, tel.: 261 845 244, 261 845 604; Magdalena Kowalska-Sendeck, tel.: 725 880 221; Rafał Ciasoń, Marcin Górka, Włodzimierz Kaleta, Jakub Nawrocki, Tomasz Otłowski, Jarosław Rybak, Krzysztof Szwagrzyk, Joanna Tańska, Andrzej Wilk, Łukasz Zalesiński, Michał Zieliński

DZIAŁ GRAFICZNY

Marcin Dmowski (kierownik), Paweł Kępka, Monika Siemaszko, tel.: 261 845 170;
Andrzej Witkowski (fotoedytor), tel.: 261 845 579

REDAKCJA TEKSTÓW

Renata Gromska, Barbara Szymańska, tel.: 261 845 502

BIURO REKLAMY I MARKETINGU

Piotr Jaszczuk (kierownik), Agnieszka Karaczun, Anita Kwatrowska (tłumacz), Małgorzata Szustkowska, Piotr Zarzycki,
tel. 261 845 387, 261 845 180,
faks: 261 845 503; reklama@zbrojni.pl

KOLPORTAŻ I REKLAMACJE

Poczta Polska Usługi Cyfrowe Sp. z o.o.
ul. Duninowska 9a, 87-823 Włocławek
tel: 542 315 201, 502 012 187
e-mail: elzbieta.kurlapska@poczta-polska.pl

Numer zamknięto: 22.02.2016 r.

DRUK

ARTDRUK ul. Napoleona 4, 05-230 Kobyłka,
www.artdruk.com

PRENUMERATA

Zamówienia na prenumeratę wydać papierowych „Polski Zbrojnej” można składać poprzez:

- www.polska-zbrojna.pl
- www.prenumerata.ruch.com.pl
- www.garmondpress.pl/prenumerata
- www.kolporter.com.pl/prenumerata

Sprzedaż bieżących wydań elektronicznych, w tym prenumeraty wydań elektronicznych „Polski Zbrojnej”, dostępna na: <http://e-kiosk.pl>, www.egazety.pl

PARTNER

NAC Narodowe Archiwum Cyfrowe.
170 tysięcy zdjęć online na www.nac.gov.pl



Treść zamieszczanych materiałów nie zawsze odzwierciedla stanowisko redakcji. Tekstów niezamówionych redakcja nie zwraca. Zastrzega sobie prawo do skrótów.

Egzemplarze miesięcznika w wojskowej dystrybucji wewnętrznej są bezpłatne. Informacje: 261 840 400
Zasady przekazywania redakcji miesięcznika „Polska Zbrojna” materiałów tekstowych i graficznych opisuje regulamin dostępny na stronie głównej portalu polska-zbrojna.pl.

Znajdziesz nas tutaj:



KADR



ŻOŁNIERZ 6 BRYGADY POWIETRZNODESANTOWEJ pokonuje jedną z przeszkód toru napalmowego w czasie szkolenia na poligonie w Nowej Dębie. Jest to element zajęć z obrony przed bronią masowego rażenia.

MARIUSZ BIENIEK / 6 BPD





Gotowi do obrony

Członkowie organizacji proobronnych ćwiczyli z żołnierzami.

Około 250 osób ze Stowarzyszenia **Fideles et Instructi Armis** – Wierni w Gotowości pod Bronią, związków strzeleckich i klas mundurowych wzięło udział w szkoleniu na terenie 1 Brygady Pancernej w Warszawie-Wesołej. Przez dwa dni poznawali budowę broni, środki łączności, pojazdy wojskowe i zasady pomocy medycznej na polu wal-

ki. Instruktorami byli żołnierze i działacze stowarzyszenia.

Jak ocenił minister Antoni Macierewicz, ćwiczenia pokazały dobre współdziałanie wojska z organizacjami proobronnymi. Szef MON-u zapowiedział wsparcie finansowe dla członków tych organizacji, którzy dziś muszą sami płacić za mundury czy broń. Stwierdził również,

że ćwiczenia proobronne wspomagają budowę obrony terytorialnej kraju.

„W tym roku planujemy zorganizowanie jeszcze 30 podobnych ćwiczeń we współpracy z różnymi jednostkami wojskowymi na terenie kraju”, zapowiedział z kolei ppłk Mirosław Mika z Biura ds. Proobronnych MON. PZ, MS ■

Wyroki w zawieszeniu

Sąd Najwyższy, utrzymując w mocy Sroczystości Wojskowego Sądu Okręgowego w Warszawie, orzekł, że **użycie broni w afgańskiej wiosce Nangar Khel nie było zbrodnią wojenną**. Uznał on ppor. Łukasza Bywalca, chor. Andrzeja Osieckiego, plut. Tomasza Borysiewicza i st. szer. Damiana Ligockiego winnymi złego wykonania rozkazu. Trzech pierwszych oskarżonych skazał na kary więzienia w zawieszeniu, sprawę ostatniego warunkowo umorzył.

Wyrok dotyczy wydarzeń z sierpnia 2007 roku, kiedy w okolicy wioski w eksplozji IED zostały uszkodzone dwa pojazdy sił sojuszników. Wysłani na miejsce żołnierze z pol-

skiego patrolu otworzyli ogień z moździerza i ciężkiego karabinu maszynowego. Pociski spadły na zabudowania, zginęło w sumie osiem osób.

Dowódca bazy utrzymywał, że nie wydał rozkazu ostrzelania wioski, a jego podwładni, że pociski spadły na cywilów przez przypadek. Winą za to obarczali niesprawną broń. Sąd pierwszej instancji uniewinnił oskarżonych. Po zaskarżeniu przez prokuraturę sprawa trafiła do Izby Wojskowej Sądu Najwyższego, który oczyścił z zarzutu dowódcę bazy kpt. Olgerda C. oraz dwóch starszych szeregowych Mateusza Bokse i Jacka Janika. Sprawy pozostałych nakazał ponownie rozpatrzyć. PZ, ŁZ ■

Koniec współpracy

Ministerstwo Obrony Narodowej zakończyło współpracę z organizacjami, których członkami są m.in. generałowie z czasów Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Z tego powodu resort wypowiedział podpisane kilka lat wcześniej porozumienie z Klubem Generałów. Zasiadają w nim generałowie Wojska Polskiego, m.in. członkowie komunistycznej Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego. MON zrezygnowało też z współpracy ze Związkiem Żołnierzy Wojska Polskiego, zrzeszającym weteranów, emerytów i rencistów wojskowych. PZ ■

Blżej tarczy

Prace na budowę bazy w Redzikowie ruszą na przełomie kwietnia i maja.

Na głównego wykonawcę bazy, w której zostaną umieszczone radar AN/SPY-1 oraz pociski rakietowe Standard SM-3 Block IB i Block IIA, amerykański Departament Obrony wybrał firmę AMEC Programs Inc. ze Stanów Zjednoczonych. Za 182 mln dolarów wybuduje ona budynki dla radarów.

Polskie przedsiębiorstwa podpisały kontrakty na budowę obiektów infrastruktury pomocniczej. Konsorcjum firm Zeus SA i Elektrobud Grudziądz za ponad 40 mln zł wybuduje ogrodzenie. Spółka MEGA z Gdyni za ponad 4,3 mln zł przygotowuje sieć wodociagową i kanalizację. 10 mln zł za sieć energetyczną zainkasuje konsorcjum firm P.H.U. El Proffesional Mariusz Maszota



z Gdyni i Przedsiębiorstwo Budownictwa Elektroenergetycznego EN-BUD ze Słupska. Baza w Redzikowie ma być gotowa do 9 kwietnia 2018 roku, a gotowość operacyjną osiągnąć do końca 2018 roku. Będzie jednym z trzech stacjonarnych elementów amerykańskiej tarczy antyrakietowej. Koszt inwestycji poniosą Amerykanie. PZ, KW ■

Nasze priorytety

Dla Polski najważniejsze jest przesunięcie sił NATO na wschód.

Szczyt NATO w Warszawie musi **S**ujmować najistotniejsze problemy dotyczące bezpieczeństwa, zarówno na flance wschodniej, jak i południowej”, mówił prezydent **Andrzej Duda** w Monachium podczas Międzynarodowej Konferencji ds. Bezpieczeństwa. W obradach wzięło udział ponad 30 prezydentów i premierów oraz 60 ministrów spraw zagranicznych.

Jak dodał polski prezydent, NATO powinno podjąć decyzję o zwiększeniu swoich sił na wschodniej flance. Powinny tam też powstać stałe bazy – sprzętowe i dla wojsk.

„To może być obecność o charakterze rotacyjnym, ale na tyle intensywnym, by w praktyce oznaczała stałą obecność”. Według Dudy, tylko taka obecność sił NATO w Europie Środkowo-Wschodniej może zapobiec ewentualnym konfliktom.

Zdaniem prezydenta, sojusznicy powinni też udzielić pomocy państwom, które borykają się z falą uchodźców z Bliskiego Wschodu i Afryki. „Trzeba zacząć od uszczelnienia zewnętrznych granic Unii Europejskiej i pomocy państwom, na których terenie znajdują się obozy dla uchodźców z Syrii”. PZ, JT ■

Więcej sojuszu na wschodzie

Szefowie resortów obrony NATO rozmawiali o zagrożeniach w Europie.

Poprzez zwiększenie rotacyjnej obecności żołnierzy sojuszu, inwestycje infrastrukturalne oraz częstsze niż dotychczas ćwiczenia zostanie wzmocniona wschodnia flanka NATO – ustalili ministrowie obrony sojuszu w Brukseli. Jak podkreślał minister Antoni Macierewicz, Polsce zależy na trwałej obecności wojsk NATO i USA w naszym regionie.

Szef MON-u liczy na poparcie w tej sprawie ze strony państw sojuszu.

„Rozmawialiśmy o tym, by część środków, które Stany Zjednoczone ostatnio przeznaczyły na niezbędne uzupełnienie materiałowe wojsk, mogła się znaleźć w Polsce”. Ashton Carter, sekretarz obrony USA, stwierdził, że to jest sprawa do dyskusji. Szczegóły mają zostać wypracowane w ciągu najbliższych sześciu miesięcy przez wojskowych, a następnie zatwierdzone na szczycie w Warszawie.

Ministrowie rozmawiali także o zagrożeniach terrorystycznych i walce z tzw. Państwem Islamskim. Jak zapowiedział szef MON-u, Polska weźmie udział w operacjach mających na celu zwalczanie ISIS. „Zdecydowaliśmy się współuczestniczyć w działaniach na południowej flance NATO i będziemy jeszcze rozmawiali o kształcie naszego zaangażowania”. PZ, JT, MM ■



**213 MLN ZŁ
W SIÓDMYM
ROKU**



Szeregowi dłużej w armii

Za zmianą w przepisach o służbie kontraktowej opowiedział się Sejm i Senat.

Parlament przyjął projekt nowelizacji ustawy znoszącej 12-letni limit służby dla szeregowych. Obecnie, jeśli przez ten czas szeregowy nie awansuje do korpusu podoficerskiego, musi się pożegnać z armią. To rozwiązanie wzbudzało kontrowersje. Żołnierze twierdzili, że awans na podoficera jest bardzo trudny, m.in. ze względu na niewystarczającą liczbę etatów w tym korpusie.

Zgodnie ze zmianami ustawy o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych szeregowi, którzy wstąpili do armii przed 1 stycznia 2013 roku, zyskają prawo do przejścia na emeryturę po 15 latach spędzonych w wojsku, będzie im też przysługiwała odprawa mieszkaniowa. Zdaniem pomysłodawców nowelizacji z Prawa i Sprawiedliwości takie

zmiany pozwolą na zatrzymanie w służbie wykwalifikowanych żołnierzy. Ze wstępnych wyliczeń resortu obrony wynika, że rozwiązanie to spowoduje wzrost wydatków budżetowych dopiero od czwartego roku po wejściu w życie nowych przepisów. Koszty mają wówczas wynieść 73 mln zł, a następnie rosnąć, aż do 213 mln zł w siódmym roku.

Nowelizacja przewiduje również nowe zasady wyznaczania żołnierzy na stanowiska służbowe. W projekcie znalazł się zapis dotyczący możliwości kierowania przez ministra obrony w szczególnie uzasadnionych przypadkach żołnierzy na stanowiska wyższe o dwa stopnie wojskowe i więcej – bez mianowania ich na ten stopień. Teraz nowelizacja trafi do prezydenta do podpisu. PZ, JT ■



Uznanie po latach

Płk **Ryszard Kukliński** ma zostać pośmiertnie awansowany na generała. Minister Antoni Macierewicz podpisał wniosek do prezydenta Andrzeja Dudy o nadanie stopnia oficerowi, który w czasach PRL-u zdecydował się na współpracę z amerykańskim wywiadem na rzecz NATO. Działania płk. Kuklińskiego do dziś budzą emocje. Prof. Zbigniew Brzeziński, doradca ds. bezpieczeństwa prezydenta USA Jimmy'ego Cartera, nazwał go pierwszym polskim oficerem w NATO. Jednak część historyków i wojskowych krytykuje pułkownika za zdradę.

Płk Kukliński jako oficer Sztabu Generalnego w latach siedemdziesiątych i na początku osiemdziesiątych ubiegłego wieku przekazał Amerykanom plany wojskowe ZSRR i Układu Warszawskiego dotyczące m.in. radzieckiej inwazji na Europę. Uprzedził ich też o zamiarze wprowadzenia w Polsce stanu wojennego. W 1981 roku zagrożony dekonspiracją oficer uciekł wraz z rodziną do USA. W 1984 roku został zaocznie skazany na karę śmierci za zdradę państwa. Wyrok uchylono w 1995 roku, po czym skierowano sprawę do prokuratury wojskowej. Umorzyła ona śledztwo w 1997 roku, argumentując, że pułkownik działał w stanie wyższej konieczności. Kukliński zmarł 11 lutego 2004 roku. Pochowano go w Alei Zasłużonych na Powązkach Wojskowych. PZ, MM ■

Komisja smoleńska

Wznowiono badania dotyczące katastrofy pod Smoleńskiem.

Specjalną podkomisję do ponownego zbadania katastrofy rządowego Tu-154, do której doszło 10 kwietnia 2010 roku, powołał minister Antoni Macierewicz w ramach Komisji Badania Wypadków Lotniczych.

„Jestem przekonany, że praca, jaką podkomisja będzie realizowała, oraz stanowisko ostateczne pozwolą nam dowiedzieć się, co się zdarzyło i kto za to jest odpowiedzialny”, stwierdził szef MON-u. Komisja liczy 21 członków. Na jej czele stanął dr inż. Wacław Berczyński, emerytowany inżynier firmy Boeing i NASA.

Okoliczności katastrofy badała w latach 2010–2011 Komisja Badania Wypadków Lotniczych Lotnictwa Państwowego pod kierunkiem Jerzego Millera, ówczesnego szefa MSWiA. Ustaliła, że przyczyną tragedii było zejście poniżej minimalnej wysokości zniżania, a w konsekwencji zderzenie samolotu z drzewami i zniszczenie jego konstrukcji. Zespół parlamentarny ds. wyjaśnienia przyczyn katastrofy uważa, że prawdopodobnie nastąpiła seria wybuchów, m.in. na lewym skrzydle, w kadłubie i prezydenckiej salonce. PZ, KK ■



PIOTR
BERNABIUK

Buzdygany po znajomości!

Od lat, szczególnie odkąd dostąpiłem zaszczytu zasiadania w kapitule Buzdyganów, okres nadsyłania nominacji to dla mnie czas głębokich rozterek. Czytając wnikliwie kolejne rekomendacje, zdania tworzące obraz postaci, usiłuję wyobrazić sobie człowieka. Myślę tak: „Oto pełni służbę w naszych siłach zbrojnych żołnierz naprawdę niezwykły, twórczy, wybijający się ponad przeciętność, którego należy Buzdyganem uhonorować, zaprezentować wojskowemu światu, otworzyć drogę dalszego rozwoju, dać »kopa« do kontynuowania szczytnej i pożytecznej działalności... Jest to ktoś, o kogo będę walczył z pozostałymi członkami kapituły, jeśli nie będą przekonani, wybijał jego zasługi, przekonywał wszystkich, dopóki nie osiągnę sukcesu lub w tej walce polegnę”.

Siedzę z takimi myślami nad kartką, na której przełożony nominowanego zamieścił służbową opinię: „X jest żołnierzem ze wszech miar zasługującym na wyróżnienie, gdyż wypełnia wzorowo obowiązki”. Złośliwie dopowiadam sobie, że na tym polega jego służba, za to bierze pieniądze i niech nie zabiera innym miejsca, bo szukamy ludzi niezwykłych, a nie zaledwie wzorowych. Gdzie w tym opisie zapodział się pierwiastek twórczego szaleństwa, odwaga wychodzenia przed szereg? Z takiej rekomendacji ukazuje się postać nijaka, bezbarwna... A może tylko sztafpowem opisana?

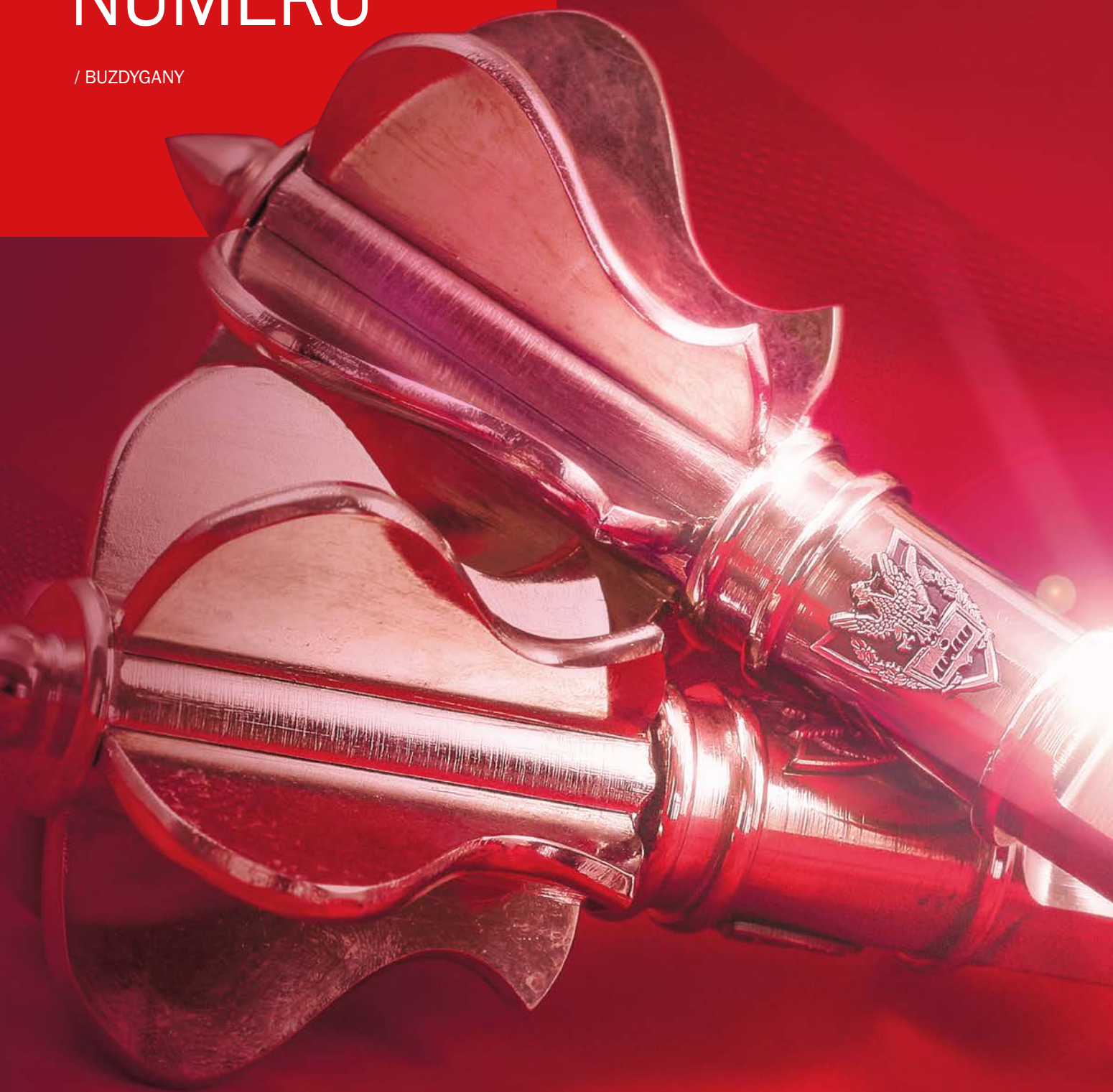
W kapitule Buzdyganów uczestniczę z poczuciem misji, z wielkim przejęciem, bo oto, będąc jedynie szeregowym dziennikarzem, chorążym rezerwy, dokładam swój głos do decyzji, czy nagrodzić zaszczytnym symbolem władzy generała, kapitana, a może kaprała. Podobno władza, możliwość wpływania na ludzkie losy, przewraca ludziom w głowach. Tuż przed posiedzeniem kapituły usłyszałem zarzut – nie wiem, czy tylko żartem – że usiłuję rozdawać Buzdygany po znajomości. Czyli, w domyśle – facet dorwał się do władzy i promuje kumpli, uprawia kołesioństwo. Nie przeczę! W dodatku staram się robić to dość skutecznie.

Tłukąc się po poligonach i garnizonach, poznaję wspaniałych ludzi, piszę do „Polski Zbrojnej” o nich, o ich wspomnianym wyżej twórczym szaleństwie. Bywa, że przy okazji się z kimś zaprzyjaźniam. I czekam, często kilka lat, aż dokończą swego dzieła. Wtedy, zanim do sukcesu mego kandydata dopisze się cała gromadka ojców, absolutnie po znajomości o niego walczę. W wielu wypadkach z sukcesem!

Czasem w swych zapędach przeginam. W tym roku na przykład – zdradzam tajemnicę obrad kapituły – byłem gorącym zwolennikiem przyznania po raz drugi wyróżnienia gen. broni Miroslawowi Różańskiemu. Po znajomości, oczywiście, bo, zachowując szacunek i dystans, czuję się zaprzyjaźniony z Panem Generałem. Chciałem, podobnie jak 47 chorążych najwyższej rangi w siłach zbrojnych, by świat usłyszał, czego w ciągu pół roku dowódca generalny dokonał dla naszego korpusu. ■

TEMAT NUMERU

/ BUZDYGANY



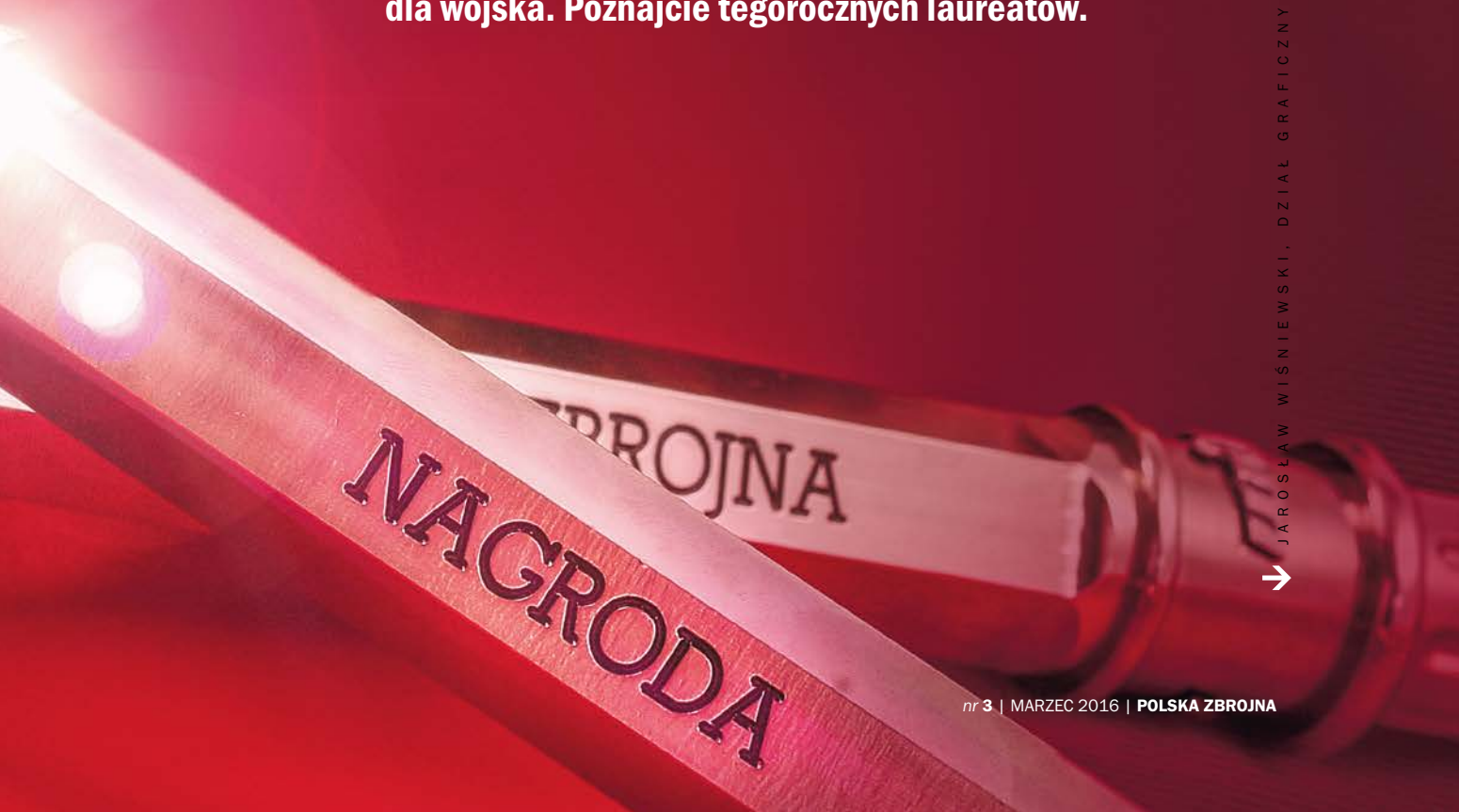
 **BUZDYGANY 2015**

Nagroda miesięcznika

Polska Zbrojna

WYBRANI Z NAJLEPSZYCH

Buzdygana może dostać generał, który kieruje placówką medyczną. Może też na niego zasłużyć instruktor wnoszący nowe wartości do szkolenia lub nieprzeciętny pilot. Ich zasługi będą nieporównywalne, ale każdy może zrobić coś wyjątkowego dla wojska. Poznajcie tegorocznych laureatów.



NAGRODA

JAROSŁAW WIŚNIEWSKI, DZIAŁ GRAFICZNY



Profesjonalista, perfekcjonista, pasjonat”, takie określenia wymieniają najczęściej osoby pytane o ppłk. Andrzeja Demkowicza, kierownika Zespołu Rozpoznania i Dowodzenia w Instytucie Dowodzenia Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Lądowych (WSOWL) we Wrocławiu oraz kierownika uczelnianej Sekcji Szkoleń Wysokogórskich (SSW). „Andrzej jest też niekwestionowanym ekspertem od wojskowych działań w górach, ratownictwa i technik wysokościowych”, dodaje mjr Piotr Szczepański, rzecznik WSOWL.

ŚLŹBA I PASJA

Pierwszą pasją pułkownika nie były ani góry, ani armia, lecz harcerstwo. „To z drużyną z Dolnego Śląska, skąd pochodzę, wyjeżdżałem po raz pierwszy w góry”, opowiada ppłk Demkowicz. Tak je pokochał, że kiedy w 1992 roku rozpoczął studia w WSOWL, zaczął jednocześnie działać w Grupie Karkonoskiej Górskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego. „W każdy wolny weekend jechałem w góry na szkolenie, a w 1994 roku złożyłem

przysiężenie ratownicze”. Po promocji młody oficer na dwa lata trafił do batalionu rozpoznawczego w Żaganiu. „To była ciekawa służba, ale kiedy dostałem możliwość powrotu do szkoły jako instruktor, doszedłem do wniosku, że w WSOWL będę miał większe możliwości kształcenia się i dalszego rozwoju”, opowiada.

Działając na uczelni, ppłk Demkowicz przeniósł tam swoją miłość do gór, a umiejętności związane z poruszaniem się po nich wykorzystał w szkoleniu wojskowych. W 1998 roku z jego inicjatywy powstało Naukowe Koło Podchorążych Rozpoznania Wojskowego i Działań Specjalnych, przekształcone w 2010 roku w sekcję. Jej głównym zadaniem jest szkolenie wysokogórskie podchorążych. „W tym samym czasie, dzięki zabiegom oficera i na podstawie doświadczeń sekcji, do programu kształcenia uczelni wprowadzono nowe przedmioty: szkolenie wysokogórskie oraz szkolenie taktyczno-narciarskie”, opowiada mjr Szczepański.

Dzięki temu przyszli żołnierze wojsk rozpoznawczych i aeromobilnych uczą się m.in. technik wykorzystania

PIOTR SZCZEPAŃSKI

MIŁOŚNIK GÓR

Ppłk ANDRZEJ DEMKOWICZ



2015

BUZDYGANY

Nagroda miesięcznika

Polska Zbrojna



Za to, że dał armii żołnierzy potrafiących działać w każdych warunkach, nie tylko górkich

sprzętu wysokogórskiego i sposobów przetrwania w trudnych warunkach. Trenują też wspinaczkę, narciarstwo oraz ratownictwo. „Nigdy nie wiadomo, w jakim rejonie przyjdzie działać żołnierzom. Szkolenie ma przygotować podchorążych do prowadzenia działań w specyficznym środowisku walki, jakim są góry”, tłumaczy ppłk Demkowicz.

Prowadzona przez niego sekcja organizuje górskie szkolenia, kursy, zawody i treningi w Karkonoszach, Tatrach, na skałach Jury Krakowsko-Częstochowskiej, w Sokolikach oraz Kotlinie Kłodzkiej. Biorą w nich udział nie tylko podchorążowie, lecz także instruktorzy z jednostek specjalnych oraz m.in. 21 Brygady Strzelców Podhalańskich czy 25 Brygady Kawalerii Powietrznej. Od 2013 roku kursanci często szkolą się w Szklarskiej Porębie. Uczelnia kupiła tam były wojskowy ośrodek wypoczynkowy, który służy teraz za bazę szkoleniową. „Dzięki zaangażowaniu i determinacji m.in. pułkownika powstał tam ośrodek integrujący ludzi gór w mundurach”, podkreśla rzecznik WSOWL.

Jak dodaje mjr Szczepański, pułkownik przyciąga entuzjastów, którzy pod jego wpływem stają się pasjonatami gór. „To jedna z najprężniej działających sekcji uczelni, głównie dzięki ppłk. Demkowiczowi”, podkreśla sierż. pchor. Miłosz Siuta, słuchacz czwartego roku WSOWL i przewodniczący Sekcji Szkoleń Wysokogórskich.

Działalność w SSW i naukę pod okiem oficera dobrze wspomina też kpt. Marcin Kalita, szef Sekcji Szkolenia w Wojskowym Ośrodku Szkoleniowo-Kondycyjnym w Zakopanem. „Wiele z tego, co dzisiaj osiągnąłem, zawdzięczam jemu. Kiedy trafiłem do sekcji, zajmowałem się wspinaczką, jednak dopiero to, co pokazał pułkownik, nakierowało mnie na dobrą drogę”, opowiada kapitan, który wrocławską uczelnię skończył w 2003 roku.

EKSTREMALNE ZAWODY

Jak podkreślają wychowankowie ppłk. Demkowicza, jest on perfekcjonistą i tego oczekuje od swoich uczniów. „Ma sprecyzowane wymagania, wie czego chce nas nauczyć, a jednocześnie na swoim przykładzie pokazuje, jak to osiągnąć”, wylicza sierż. pchor. Siuta. „Zawsze przygotowany do zajęć, uważny, skupiony, zorganizowany”, dodaje kpt. Kalita. Jak podkreśla, pułkownik musi być wymagający, bo w górach, na wysokościach i w ekstremalnych warunkach każdy błąd może kosztować ludzkie życie. Płk Demkowicz wyszkolił już dla armii setki przyszłych oficerów i około 350 instruktorów specjalności

górkich. Dzięki niemu wielu absolwentów WSOWL trafiło do jednostek górskich, powietrznodesantowych, rozpoznawczych i specjalnych. „Tak naprawdę trudno znaleźć elitarną jednostkę, w której nie służą wychowankowie ppłk. Demkowicza”, uśmiecha się mjr Szczepański.

Oficer rozwinął też w sekcji współpracę międzynarodową, organizując szkolenia, w których uczestniczą żołnierze z Europy i Stanów Zjednoczonych. Także

podchorążowie wrocławskiej uczelni pod jego kierunkiem biorą udział w zagranicznych szkoleniach górskich i wojskowych zawodach. „Najbardziej jestem dumny z osiągnięć moich podopiecznych w ekstremalnych zawodach »Winter Survival 2013« w Czechach. Podchorążowie zajęli tam drugie miejsce w klasyfikacji międzynarodowej, dotrzymując kroku komandosom i piechocie górskiej innych krajów”, podkreśla ppłk Demkowicz. Jak dodaje, w tym samym roku w ćwiczeniach rozpoznawczych armii brytyjskiej „Cambrian Patrol” przedstawiciele sekcji zdobyli srebrny medal.

KSZTAŁTOWANIE DOWÓDCÓW

Na jednym z ekstremalnych zawodów ekipa z WSOWL wykazała się ponadprzeciętnymi umiejętnościami radzenia sobie w trudnych warunkach, odpornością psychiczną, kreatywnością i zdolnością pracy w zespole. To też zasługa szefa sekcji, który uczy nie tylko prowadzenia działań taktycznych w górach, lecz także umiejętnego kierowania podwładnymi i działania w grupie. „To on ukształtował mnie jako dowódcę”, uważa kpt. Kalita. Najnowszy pomysł pułkownika to zorganizowana pod koniec lutego w Karkonoszach pierwsza edycja zimowych zawodów górskich „Military Ski Patrol”.

Mimo tylu zajęć pułkownik nadal po służbie pełni dyżury w GOPR-ze. „Nie jest to łatwa praca społeczna, szczególnie jeśli nie uda się uratować kolegów – wspinaczki albo dzieci, ale daje mi też ogromną satysfakcję”, mówi. I dodaje, że stara się również znaleźć jak najwięcej czasu dla rodziny. „Nie zawsze się to udaje, ale na szczęście najbliżsi rozumieją, czym jest służba”. Teraz wdraża do narciarstwa synów: 10-letniego Jędrzeja i 6-letniego Michała. W wolnym czasie, jeśli już go znajdzie, najchętniej wyrusza w góry, a jego ulubione miejsce to Atlas w Maroku. „Nie potrafię zrezygnować z gór, wciągnęły mnie jak narkotyki”, przyznaje ppłk Demkowicz. ■

ANNA DĄBROWSKA

Gdyby w trudnej sytuacji przyszło mi walczyć o przetrwanie, to chciałbym, aby Tomek był wtedy ze mną. Jego wiedza i doświadczenie są bezcenne i znacznie zwiększają szansę na przeżycie w ekstremalnych warunkach”, mówi „Soyers”, operator Jednostki Wojskowej Komandosów. „To wysokiej klasy specjalista. Facet o silnym charakterze, uparty i piekielnie pracowity”, uzupełnia inny z komandosów. Podobnych opinii o st. chor. sztab. Tomaszu G., ps. „Gałus”, jest znacznie więcej. Jego bezpośredni przełożony bez zastanowienia podkreśla, że mocne strony „Gałusa” to inteligencja, wiedza, sumienność, sprawność fizyczna i umiejętność dowodzenia. „»Gałus« nigdy nie był indywidualistą. On zawsze pracował na sukces całej jednostki i zawsze

jest gotowy, by pomagać innym. Kiedyś – jako wzorowy operator, dziś – jako instruktor, który dzieli się swoją wiedzą”, podkreśla ppłk Wojciech Danisiewicz, szef szkolenia Jednostki Wojskowej Komandosów w Lublińcu.

CICHY I SKUTECZNY

„Brytyjczycy mają swojego Beara Gryllsa, byłego komandosa SAS-u, alpinistę i autorytet w dziedzinie sztuki przetrwania. Jego odpowiednikiem w Polsce jest właśnie Tomek”, mówi dowódca JWK płk Wiesław Kukuła. „Jest najlepszym polskim ekspertem od spraw przetrwania i bytowania. Swoją wiedzę i doświadczenie wykorzystuje, organizując rozmaite szkolenia nie tylko dla żołnierzy, lecz także pograniczników, policjantów czy funkcjonariuszy

IRENEUSZ DOROŻAŃSKI DLA JWK

WZORCOWY KOMANDOS

GAŁUS



2015



BUZDYGANY

Nagroda miesięcznika

PolskaZbrojna



Za umiejętności, dzięki którym wielu żołnierzy w obliczu nie- bezpieczeństwa zawierzyłoby mu swoje życie

służb specjalnych. Stał się nieformalnym mentorem SERE [Survival, Evasion, Resistance, Escape – przetrwanie, unikanie, opór w niewoli, ucieczka] dla wielu instruktorów odpowiedzialnych za tę problematykę w siłach zbrojnych”.

Podoficer jest związany z lublińskimi komandosami od 15 lat, ale mundur nosi już ponad dwie dekady. Zanim rozpoczął służbę w Lublińcu, ukończył Szkołę Chorążych Wojsk Pancernych w Poznaniu, a następnie służył w 5 Brygadzie Pancерnej w Opolu, dowodził też plutonem w 22 Batalionie Piechoty Górskiej w Nysie. „O ówczesnym 1 Pułku Specjalnym już wtedy było głośno, dlatego marzyłem, by dostać się do tej jednostki”, wspomina „Gałus”.

Selekcję przeszedł w 2001 roku. „To był zupełnie inny świat: nieszablonowe postępowanie, inna taktyka i specyfika działania. Czułem, że to właśnie moje miejsce”, mówi. Przyznaje, że na początku zachłystnął się służbą w Lublińcu i deprecjonował swoje wcześniejsze doświadczenia. „Myślałem, że w poprzednich jednostkach straciłem czas, ale tak wcale nie było. Okazało się, że wiedzę i doświadczenie, które tam zdobyłem, mogę wykorzystać podczas operacji specjalnych”. Dotychczas służył poza granicami kraju w Macedonii, Iraku i dwukrotnie w Afganistanie. Pierwszy raz pod Hindukuszem był w 2007 roku. Wówczas skierowano tam kilkunastoosobową grupę komandosów, którzy dołączyli do składu polskiego kontyngentu wojskowego. W Afganistanie „Gałus” wziął udział w 97 operacjach specjalnych najwyższego ryzyka.

PIONIER W DŻUNGLI

Z tematyką SERE zetknął się kilka lat temu. Skończył wiele krajowych kursów w tej dziedzinie. Jest także jednym z pierwszych żołnierzy naszej armii, którzy wzięli udział w dwumiesięcznym kursie walki i przetrwania w warunkach tropikalnych w Gujanie Francuskiej. Wyposażony w broń i kilka drobiazgów (m.in. hamak, moskitierę, leki przeciwko malarii) musiał przetrwać w dżungli ponad 50 dni. Nowe środowisko, czyhające wszędzie zagrożenia, wysokie temperatury i jeszcze wyższa wilgotność powietrza – to było wyzwanie. „Nie pomagali nam też instruktorzy Legii Cudzoziemskiej, których głównym celem było złamanie psychiczne i upokarzanie żołnierzy”, wspomina.

Ale przygoda w Gujanie wcale go nie złała. Przeciwnie, podoficer szukał kolejnych, jeszcze trudniejszych wyzwań. W grudniu 2014 roku wystartował w selekcji do amerykańskiego szkolenia SERE. W sześciomiesięcz-

nym, intensywnym kursie w centrum szkolenia SERE sił powietrznych USA w bazie Fairchild USA wzięło udział dwóch Polaków. Dołączyli do 38 Amerykanów. „To było coś. Pierwszy raz w historii cudzoziemcy zostali dopuszczeni do tego rodzaju szkolenia w Stanach Zjednoczonych”, opowiada „Gałus”. Pośród 20-latków wyróżniał wiekiem – ma już skończone 40 lat – i doświadczeniem zawodowym.

Kurs podzielony był na dziewięć etapów, każdy dotyczył innego zagadnienia, np. działania w klimacie umiarkowanym, tropikalnym, w warunkach górskich i na oceanie. Żołnierze musieli m.in. przez kilka dni maszerować po szczytach gór i przetrwać w pojedynkę w nieznanym terenie przynajmniej przez trzy dni.

Niezwykle wymagający i trudny kurs kończy zwykłe 30% uczestników. Tym razem statystyki były o wiele lepsze. Certyfikat instruktora SERE dostała połowa kursantów. Amerykanie nie kryli, że na taki wynik wpłynęła postawa komandosa z Lublińca. „Był starszy od pozostałych prawie o 20 lat, a mimo to dał radę. Potrafił zmotywować żołnierzy do wysiłku i nauki. Pokazał się z najlepszej strony i dostał dyplom z wyróżnieniem, jako prymus. Jestem z niego bardzo dumny”, mówi ppłk Danisiewicz.

„Ten kurs miał dla mnie ogromne znaczenie. Nauczył mnie pokory, ale też sprawił, że poukładałem sobie w głowie sprawy związane z SERE. Zdobyta tam wiedza będzie miała bezpośredni wpływ na moją służbę w JWK”, przyznaje „Gałus”.

Kilka lat temu odszedł z zespołu bojowego i zajął się szkoleniem. Obecnie jest starszym instruktorem szkolenia górskiego. „Tomka znam od 17 lat. Miałem zaszczyt dowodzić kompanią specjalną, w której przed laty służył. To typ perfekcjonisty. Silny charakter, bardzo zdyscyplinowany. Honor żołnierza to dla niego rzecz święta”, mówi ppłk Danisiewicz.

Komandos dołączył do zespołu specjalistów, którzy pracują nad programem szkolenia personelu narażonego na izolację w wojskach specjalnych. „Wzoruję się na amerykańskich rozwiązaniach i swoich doświadczeniach. Myślę, że ujednolicenie zasad szkolenia SERE będzie korzystne dla całych sił zbrojnych”, dodaje.

„Gałus” dostał tytuł Podoficera Wojsk Specjalnych 2015 Roku. Kończy studia magisterskie. Nie wyklucza, że w kolejnym etapie sięgnie po gwiazdki oficerskie. ■

MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

Powiem po żołniersku: to swój chłop. Zawsze można na niego liczyć i na nim polegać”, tak o dyrektorze Wojskowego Instytutu Medycznego Grzegorzu Gieleraku mówi płk Sławomir Drumowicz, dowódca Agatu. „Generał nie zadziera nosa, a to w zhierarchizowanym wojskowym środowisku ważna cecha, którą doceniają podwładni”, dodaje i opowiada, jak podczas spływu Dunajcem on był sternikiem i podawał komendy, a generał je wykonywał i wioślował.

Również laureat Buzdygana sprzed lat st. chor. sztab. Zbigniew Rosiński, prezes Wojskowego Klubu Bie-

gacza „Meta” w Lublińcu, zwraca uwagę na skromność dyrektora. Opowiada o balu sportowców zorganizowanym z okazji rocznicy powstania klubu. „Zaskoczył nas, bo chciał pozostać w cieniu. Ci, którzy go nie znali, nie domyślili się nawet, że jest generałem”, wspomina chorąży. Przypomina także ubiegłoroczną sytuację, gdy generał poprosił kapitułę wybierającą laureatów Buzdygana o wycofanie jego kandydatury, aby zwiększyć szanse jednego z pracowników, także zgłoszonego do nagrody.

W 1992 roku Grzegorz Gielera skończył studia w Wojskowej Akademii Medycznej. Kolejne 12 miesięcy

JAROSŁAW WIŚNIEWSKI

SWÓJ CHŁOP

Gen. bryg. prof. dr hab. n. med.
GRZEGORZ GIELERAK



2015

 **BUZDYGANY**

Nagroda miesięcznika

Polska Zbrojna



Za innowacyjność w zmienianiu wojskowej służby zdrowia

spędził na stażu w 13 Pułku Zmechanizowanym w Koźuchowie, w którym leczył żołnierzy, a głównie – jak wspomina – „zabezpieczał” poligony. W 1993 roku rozpoczął pracę w Wojskowym Instytucie Medycznym w Warszawie, któremu pozostał wierny do dziś.

Ścieżka lekarskiej kariery Grzegorza Gieleraka wiodła od stanowiska asystenta przez adiunkta i docenta do fotela dyrektorskiego. W 1995 roku zdobył pierwszy stopień specjalizacji w dziedzinie chorób wewnętrznych, trzy lata później – drugi. Kolejne lata przyniosły mu specjalizację w kardiologii, tytuł doktora (i doktora habilitowanego) nauk medycznych, a w zeszłym roku został profesorem nauk medycznych. Równoległe do zawodowych osiągnięć medycznych biegła ścieżka kariery wojskowej – pracę w WIM-ie rozpoczął jako podporucznik, dziś jest generałem brygady.

Odkąd dziewięć lat temu zasiadł w fotelu dyrektora, WIM staje się coraz bardziej nowoczesną placówką medyczną i ma opinię jednej z najlepszych w kraju. W zarządzaniu taką „fabryką” (kilkadziesiąt klinik, poradni i zakładów, ponad 3 tys. pracowników, którzy opiekują się co roku ponad 60 tys. pacjentów) przydatna jest wiedza zdobyta podczas studiów podyplomowych „Zarządzanie zakładami opieki zdrowotnej” w Szkole Głównej Handlowej oraz „Master of Business Administration dla kadry medycznej” w Akademii Leona Koźmińskiego.

KATALIZATOR ZMIAN

„Generał pełni rolę katalizatora dynamicznych, pozytywnych zmian w WIM oraz podejmuje działania zmierzające do usprawnienia systemu bezpieczeństwa medycznego państwa. O jego profesjonalizmie nie świadczą stopień generalski i tytuł naukowy profesora »belweder-skiego«. Kluczowe znaczenia ma aktywność wykraczająca daleko poza obowiązki wynikające z formalnego zakresu zadań na zajmowanym stanowisku”, to cytat z pisma skierowanego do kapituły, uzasadniającego zgłoszenie gen. Grzegorza Gieleraka.

„Jedną z zasad, którymi kieruje się kapituła przyznająca Buzdygany, jest innowacyjność, a gen. Gielerak jest człowiekiem niezwykle kreatywnym”, mówi st. chor. sztab. Zbigniew Rosiński, prezes Wojskowego Klubu Biegacza „Meta” w Lublińcu. Chorąży bardzo ceni sobie wieloletnią już współpracę z WIM-em oraz obecność lekarzy i pielęgniarek instytutu podczas Maratonu Komandosa czy Biegu Katorżnika. Podkreśla także dużą otwartość gen. Gieleraka na współpracę.

Podobnie ocenia to „Biały” – podpułkownik z jednostki wojskowej komandosów z Lublińca. Poznał gen. Gieleraka kilka lat temu. „Służba w naszej jednostce jest dość ryzykowna, zdarzają się różne ura-

zy. Chcieliśmy kierować naszych ratowników pola walki na specjalistyczne szkolenia do WIM-u. Generałowi spodobał się ten pomysł i tak przecieraliśmy szlak”, wspomina ppłk „Biały”.

ZDROWOTNE PROGRAMY

Pod kierunkiem dyrektora Gieleraka uruchomiono kilka programów zdrowotnych dla żołnierzy. Za najważniejszy, szczególnie bliski mu jako kardiologowi generał uważa „Program profilaktyki chorób układu krążenia w Siłach Zbrojnych RP. Wyrównanie dostępności do profilaktyki i opieki kardiologicznej dla żołnierzy – MIL-SCORE”. W latach 2013–2015 w WIM-ie przebadano około 4,5 tys. żołnierzy. Kilkudziesięciu z nich szybka interwencja kardiologów i kardiochirurgów uratowała życie.

Dyrektor Gielerak w 2015 roku przeprowadził też program „Afgan”. Przebadano ponad 220 żołnierzy rannych lub poszkodowanych podczas wybuchów min pułapek w Afganistanie. „Nasze badania przyczyniły się do tego, że zwiększono odporność transporterów opancerzonych na wybuchy »ajdików«”, przyznaje generał.

Oczkiem w głowie dyrektora WIM-u jest także zapewnienie weteranom rannym podczas zagranicznych operacji pomocy medycznej na najwyższym poziomie (nie tylko żołnierzom, lecz także funkcjonariuszom innych służb mundurowych). „Udział Polaków w operacjach w Iraku i Afganistanie wymusił zmiany w wojskowej służbie zdrowia. Żołnierze zdobywali doświadczenie bojowe, a my nauczyliśmy się, jak ich leczyć, i opracowywaliśmy nowe techniki operacyjne”, przyznaje gen. Gielerak. W 2011 roku, jeszcze zanim weszła w życie ustawa o weteranach, powołał pełnomocnika dyrektora WIM-u ds. weteranów. Osoba pełniąca tę funkcję towarzyszy rannym przez cały czas pobytu w szpitalu: ustala terminy badań i specjalistycznych konsultacji, pomaga w złożeniu dokumentów do sanatorium.

„Biały” opowiada o idei, jaką stara się realizować generał: aby każdy żołnierz, który ulegnie wypadkowi, trafił do WIM-u, gdzie uzyska najlepszą pomoc i – co najważniejsze – odzyska pełną sprawność. „To wielka osobowość. Mimo wielu sukcesów zawodowych i generalskiego stopnia pozostaje sobą, wspaniałym lekarzem, który nadal ma w oczach iskry i jest pełen młodzieńczego zapału do niesienia pomocy”.

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

Wlotnictwie bojowym nie ma na zbyt dużo miejsca na to, co nazywamy romantyczną duszą pilota. Trzeba myśleć o wylocie, wykonaniu zadania i powrocie. Ale jak ktoś ma pasję i powołanie do latania, to romantyzmu się nie wyzbędzie, a ja się urodziłem, żeby latać”, mówi o sobie ppłk pil. Paweł Marcinkowski, laureat Buzdygana, dowódca Grupy Działań Lotniczych 31 Bazy Lotnictwa Taktycznego w Poznaniu.

Ukończył Wyższą Szkołę Oficerską Sił Powietrznych w Dęblinie (promocja 1996) na kierunku pilot samolotów naddźwiękowych oraz studia dowódczo-sztabowe w Air Command & Staff College w USA. Jest doktorantem na Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu na Wy-

dziale Nauk Politycznych i Dziennikarstwa. Pierwsze stanowisko objął w 9 Pułku Lotnictwa Myśliwskiego w Zegrzu Pomorskim jako starszy pilot. „Zawsze był bardzo pracowity. Miał wielkie ambicje. Dotyczy to wszystkiego, co robił: latania, nauki języków obcych, sportu”, opowiada o Marcinkowskim ppłk Piotr Ostouch, jego kolega ze studiów w Dęblinie. Znają się od lat i od lat razem służą. W Zegrzu Pomorskim latali na samolotach MiG-21, a dziś obaj są w 31 Bazie Lotnictwa Taktycznego w Krzyś-
siach, gdzie Ostouch jest szefem bezpieczeństwa lotów.

Pilotem w 31 BLT Marcinkowski został w 2011 roku. Nominacja ta zbiegła się z przekroczeniem przez niego nalotu 1000 godzin, już na F-16. Ze względu na doświadczenie, rok później, w kwietniu 2012 roku, powierzono

PIOTR ŁYSAKOWSKI

URODZONY, BY LATAĆ

Ppłk pil. PAWEŁ MARCINKOWSKI



2015



BUZDYGANY

Nagroda miesięcznika

Polska Zbrojna



Za to, że jako pilot jest pasją absolutną

mu dowodzenie wielokrotnie nagradzaną 6 Eskadrą Lotniczą, tzw. tygrysią. Nasz laureat spytany, czym jest dla niego praca, odpowiada krótko: „Latanie jest moją największą pasją. Zawsze taką było. Dużo latam. Robię to, kiedy tylko mogę”.

INSTRUKTOR Z POWOŁANIA

Dziś Marcinkowski jest wykwalifikowanym instruktorem klasy mistrzowskiej oraz pilotem doświadczalnym z ogólnym nalotem 2950 godzin. W 2015 roku jako pierwszy w Polsce pilot przekroczył nalot 2 tys. godzin na samolocie F-16, co dało średnią 265 godzin rocznie od początku użytkowania tej maszyny w Polsce. Bierze udział w szkoleniu lotniczym pilotów zaczynających latać na F-16. W 2015 roku miał za sobą 284 godziny lotów, z czego ponad połowę właśnie w roli instruktora. „Jako pilot osiągnąłem już wszystko, co mogłem”, przyznaje w rozmowie dla „Polski Zbrojnej”. „Teraz wypadałoby się tą wiedzą podzielić i przekazać ją następcom. Nie mam problemu z tym, w którym fotelu siedzę, pierwszym czy drugim. Nigdy nie odmawiam lotów szkolnych, jeśli trzeba przygotować pilotów, instruktorów, dowódców par, kluczy. Priorytetem dla mnie jest dziś szkolenie innych”, podkreśla.

W przygotowywaniu pilotów Marcinkowski poszukuje nowych rozwiązań. Ze względu na wysoki stopień trudności lotów w goglach noktowizyjnych, łatwą możliwość utraty orientacji przestrzennej i dużą wypadkowość, wprowadził do szkolenia projekt lotów w noktowizorach z wykorzystaniem nowoczesnej wirówki w Wojskowym Instytucie Medycyny Lotniczej. Głównym zadaniem jest odpowiednie rozłożenie uwagi lotnika podczas wykonywania skomplikowanych manewrów przy dużym przeciążeniu. Pilot może dzięki temu wyćwiczyć odpowiednie czynności i poznać swoje ograniczenia psychomotoryczne oraz percepcyjne. „Jako instruktor wyszkolony w USA, Marcinkowski od początku uczestniczył w nauce młodych pilotów w Polsce. Taka praca to duże poświęcenie, a on jest bardzo zaangażowany w szkolenie. Dlatego wszyscy go lubią i cenią. Mimo że potrafi krzyknąć, gdy trzeba. To jest tak trudny etap szkolenia, że nie można się z pilotami pieścić, trzeba też od nich dużo wymagać”, ocenia szef bezpieczeństwa lotów.

Sam Marcinkowski też nie narzeka, że jego głównym zadaniem jest rozwijanie umiejętności młodszych kolegów. „Teraz jeszcze mam takie stanowisko, że mogę intensywnie latać, ale zdaję sobie sprawę, że kolejne będą już bardziej związane z pracą za biurkiem. To są więc ostatnie moje lata, kiedy mogę jeszcze się dzielić wiedzą praktyczną i to daje mi satysfakcję”.

Jego doświadczenie robi wrażenie na młodszych kolegach. Między innymi w 2012 roku dowodził polskim komponentem, który uczestniczył

w ćwiczeniach „Red Flag” na Alasce. Za wzorowe dowodzenie oraz na podstawie bardzo dobrych opinii wystawionych przez organizatora ćwiczeń został nagrodzony przez prezydenta Lotniczym Krzyżem Zasługi. W 2014 roku powierzono mu także dowodzenie komponentem lotniczym Sił Odpowiedzi NATO, a w 2015 roku dowódcą komponentu lotniczego był też w czasie ćwiczeń międzynarodowych „Blue Flag” w Izraelu. „Po dziesięciu latach eksploatacji F-16 nie odstajemy od pilotów z państw zachodnich. Nasze szkolenie nie odbiega od amerykańskich standardów. Jedynym naszym problem jest pogoda. W Arizonie jest 300 dni słonecznych w roku, u nas znacznie mniej i to przedłuża szkolenie”, ocenia Marcinkowski.

AWIATOR GENTELMEN

Doceniają go nie tylko piloci. „Ten człowiek to pasja absolutna”, mówi o nim gen. Rajmund Andrzejczak. Zna ją się od czasu, gdy generał dowodził 17 Wielkopolską Brygadą Zmechanizowaną w Międzyrzeczcu. W czasie szkoleń „tygrysią eskadra” ćwiczyła wielokrotnie z wojskami lądowymi. „Marcinkowski ma niezwykle cenną umiejętność: jako pilot chce słuchać lądowców, mimo że nasze języki komunikacji są zupełnie inne. On ma podejście, które zbliża te języki. Zależy mu, żeby ci, których wspiera na lądzie, podczas ćwiczeń byli zadowoleni z jego pracy. Nie o wszystkim mogę mówić, ale on sięga po wiele rozwiązań taktycznych, które wykorzystują wszystkie możliwości samolotu F-16, by wesprzeć nas z powietrza”, opowiada Andrzejczak i dodaje: „W powietrzu pewny i groźny, ale w normalnej rozmowie to awiator dżentelmen. Cieszę się, że do dziś kontynuujemy współpracę”.

Marcinkowskiego cenią też żołnierze sił specjalnych. „Współpracowaliśmy w trakcie operacji bezpośredniego wsparcia lotniczego. To bardzo dobrze przygotowany pilot. Misje szkoleniowe, które z nim wykonywaliśmy w warunkach dziennych i nocnych, nie nastroczały żadnych problemów. Świetnie zna procedury naprowadzań bojowych. Wiemy, że podczas działań zrobi wszystko, by wesprzeć nas z powietrza”, powiedział nam jeden z operatorów JTAC wojsk specjalnych, który wielokrotnie ćwiczył z Marcinkowskim. Realne działania bojowe to jedyne wyzwanie, które pozostało przed nim jako pilotem. Pytany o swoje lotnicze marzenia, odpowiada: „Každy pragnie sprawdzić się w boju, ja też. Gdyby była okazja, chciałbym jeszcze zweryfikować swoje umiejętności podczas misji zagranicznej”.

KRZYSZTOF KOWALCZYK

Nie jest maniakiem ani szalonym wizjonerem marginalnej z punktu widzenia armii dziedziny, nazywanej świadomością międzykulturową. A czasami tak mjr Marcin Matczak jest odbierany, zarówno przez wojskowych strategów, jak i zwykłych żołnierzy. Zrozumienie znajduje jedynie w wąskich kręgach, wśród tych, którzy po doświadczeniach w operacjach bojowych nie „przerabiają” już poprzedniej wojny, lecz przygotowują się do tej, która trwa i zatacza coraz szersze kręgi.

W liście rekomendującym mjr. Marcina Matczaka do Buzdyganów „Polski Zbrojnej” zwrócono uwagę na jego pasję zawodową: „Jak nikt inny w Siłach Zbrojnych RP dostrzega i rozumie znaczenie zjawiska wielokulturowości i jego wpływ na bezpieczeństwo otaczającego nas

świata. Wraz z zespołem, którego jest liderem, opracował koncepcję i program szkolenia międzykulturowego w polskiej armii”.

Skąd się wzięła pasja Marcina Matczaka? Jako oficer CIMIC (współpraca cywilno-wojskowa) uczestniczył w misjach w Syrii i trzykrotnie w Afganistanie. Wspomina dwukrotną służbę w bazie Giro: „Tam o naszych zadaniach dowódca decydowali razem z oficerami zajmującymi się współpracą cywilno-wojskową, operacjami psychologicznymi i wywiadem osobowym. Trafiały się jednakże plutony niechętnie z nami współdziałające, uważające kwestie międzykulturowe za fanaberie. Patrzyłem na takie reakcje ze zdziwieniem – przecież żołnierze muszą rozumieć, że właściwe zachowanie się wobec cywilów, respektowanie ich zwyczajów i praw, działa na

JAROSŁAW WIŚNIEWSKI



2015

BUZDYGANY

Nagroda miesięcznika

Polska Zbrojna

Major
MARCIN MATCZAK

**ŻOŁNIERZ
ZE ŚWIADOMOŚCIĄ**



Za przekonywanie żołnierzy wszystkich szczebli do wykorzystywania w walce świadomości międzykulturowej

naszą korzyść. Właśnie takie sytuacje wyzwoliły we mnie poczucie misji”.

Z tym poczuciem misji znalazł się w Hiszpanii, gdzie w 2009 roku zainicjowano szósty wielonarodowy eksperyment (6 Multinational Experiment), którego celem było tworzenie wspólnej świadomości sytuacyjnej wśród sił koalicji poprzez zrozumienie sytuacji międzykulturowej w środowisku operacyjnym. Tak wspomina tę przygodę: „Początkowo nie wiedziałem tak do końca, po co tam jestem. Dopiero spotkanie z Hanną Schreiber i Markiem Pawlakiem przyniosło oświecenie”.

CAŁA ENERGIA

Udział w tym szkoleniu miał konsekwencje, o których mówi dr Hanna Schreiber, zajmująca się kwestią kultury w operacjach wojskowych, a także będąca kierownikiem studiów podyplomowych – komunikacja międzykulturowa w dziedzinie bezpieczeństwa międzynarodowego, prowadzonych wspólnie przez Uniwersytet Warszawski i Akademię Obrony Narodowej: „Mjr Matczak, absolwent naszych studiów, od początku objawił się jako pasjonat zagadnień związanych z kulturą. Nieustannie czegoś poszukiwał, wyciągał od wykładowców wiedzę, którą mógłby potem przekazać uczestnikom swoich kursów. Marcin był też wśród nas jedyną osobą w mundurze. Dobrze się stało, że naszą cywilną wiedzę przenosił w swoje realia, nie pozwalając, żeby temat świadomości międzykulturowej zaniknął w wojsku. I nadal jest człowiekiem z wizją, poświęcającym tej idei całą swoją energię”.

Mjr Matczak nie ukrywa, że wsparcia szuka przede wszystkim u najbliższych przyjaciół, a zarazem autorytetów z dziedziny świadomości międzykulturowej, czyli właśnie u Hanny Schreiber i Marka Pawlaka, który bardzo sobie ceni tę współpracę: „Marcin bardzo mi imponuje, bo mówi językiem omijającym rafa poprawności wojskowej – prostym i trafiającym do serc i umysłów. Często do tych samych ludzi, których spotykał, pełniąc służbę w kolejnych misjach. Przy tym jest serdeczny, pogodny i otwarty na świat, a zarazem twardy i nieustraszony. Kiedy pojawiają się trudności, potrafi oprzeć się pokusie pójścia na skróty. Jest dla mnie żołnierzem przyszłości, potrafiącym zrozumieć potrzebę równowagi między siłą a rozumem”.

Opinia ppłk. Pawła Chabelskiego, szefa Wydziału Szkolenia Centrum Przygotowań do Misji Zagranicznych w Kielcach, jest krótka: „Misje w Iraku czy Afganistanie

spowodowały konieczność nowego spojrzenia na operacje wojskowe. Mjr Marcin Matczak, szef sekcji szkolenia ds. kulturowych, jest przedstawicielem wąskiego grona specjalistów w tej dziedzinie. Jego doświadczenie i zaangażowanie w szerzenie tematyki kulturowej zawsze było doceniane przez żołnierzy kontyngentów szkolących się w kieleckim centrum”.

Z pewnością docenia je por. Rafał Okniewski, oficer 1 Batalionu Kawalerii Po-

wietrznej 25 Brygady Kawalerii Powietrznej, uczestnik kursu CIMIC. Zwraca uwagę m.in. na kompetencje wykładowcy i umiejętność docierania do ludzi: „Bardzo ciekawe były ćwiczenia w terenie, w Kielcach i najbliższej okolicy miasta, podczas których mieliśmy zbierać informacje potrzebne do przeprowadzenia operacji. Chciałbym wziąć udział w kolejnych, gdy uczestnicy będą działali w terenie przez trzy doby, bez jakiegokolwiek wsparcia, zdani jedynie na siebie”.

PLANY I MARZENIA

Marcina Matczaka cieszy to, że szkoleń międzykulturowych jest coraz więcej. Patrzy też na zagadnienie perspektywnie: „Kłopot się zaczyna dopiero wówczas, gdy potrzeba stanie się powszechna, bo nie mamy sił i środków, by takiemu zadaniu sprostać. Z trzech moich pracowników cywilów dwóch zajmuje się kulturą. Jeśli więc w jednym tygodniu jadą szkolić żołnierzy wybierających się do Kosowa, w drugim »przerabiają« Republikę Środkowoafrykańską, w trzecim Afganistan, a w czwartym przygotowują kontyngent do Turcji, to zaczyna brakować sił. Niemniej jednak, jeśli ktoś powie: »panie mjr. Matczak, zbierzmy mądre głowy i ustalmy, jak powinien wyglądać program szkolenia międzykulturowego w polskiej armii«, to jestem gotów pracować 24 godziny na dobę”.

Marzeniem majora jest utworzenie w siłach zbrojnych formalnej grupy doradców kulturowych, ma jednakże świadomość ograniczeń finansowych, organizacyjnych... Należałoby, jego zdaniem, przygotować szkielet organizacyjny takiej komórki na bazie specjalistów cywilnych, wysłać grupę oficerów na studia, wprowadzić etaty „łamańce”, żeby żołnierz mógł parę lat posiedzieć w Kielcach i później awansować... Podobnych marzeń, które być może przemienią się w realne plany, ma znacznie więcej. ■

PIOTR BERNABIK

Wponiedziałek 16 lutego miał akurat wolne. „Chciałem nadrobić domowe zaległości, gdy zadzwonił telefon. Dyrektor Wojskowego Instytutu Wydawniczego poinformował mnie, że zostałem laureatem Buzdygana. Byłem nieco zszokowany, bo nawet nie wiedziałem o nominacji. To oczywiście miłe, choć uważam, że nie zasłużyłem na taką nagrodę”, skromnie przyznaje st. chor. sztab. Andrzej Woltmann, zastępca komendanta Szkoły Podoficerskiej Wojsk Lądowych w Poznaniu.

Innego zdania są koledzy z armii, a także gen. bryg. Rajmund Andrzejczak, zastępca dowódcy i szef sztabu 12 Szczecińskiej Dywizji Zmechanizowanej, który nominował podoficera do wojskowego Oscara. „Andrzej to skromny facet. Jest znakomitym żołnierzem, mającym silną osobowość, swoje zdanie i wizję przyszłości. Można

powiedzieć, że to chodząca reklama nowoczesnego korpusu podoficerów”, podkreśla generał.

W 2001 roku st. chor. sztab. Woltmann rozpoczął służbę w 17 Wielkopolskiej Brygadzie Zmechanizowanej. Służył jako pomocnik dowódcy plutonu w batalionie szkolnym, potem, do 2011 roku, zajmował stanowiska dowódcze w batalionie dowodzenia w brygadzie. W tym czasie kończył różne kursy, m.in. uprawniający do obsługi specjalistycznego sprzętu łączności cyfrowej. Jest w tej dziedzinie znawcą najwyższej klasy, a z jego wiedzy często korzystają koledzy.

Podoficer ma na koncie także doświadczenia z udziału w misji. W 2004 roku w Iraku był jednym z uczestników bitwy o Karbalę, największej stoczony po II wojnie przez polskich żołnierzy. Trzy lata później wyleciał tam po raz drugi. W 2011 roku służył zaś w Afganistanie.

ŁUKASZ KERMEŁ

PODOFICER NAJWYŻSZEJ PRÓBY

St. chor. sztab.
ANDRZEJ WOLTMANN



2015

BUZDYGANY

Nagroda miesięcznika

Polska Zbrojna



Za to, że podniósł rangę korpusu podoficerskiego

Już w Iraku miał okazję zobaczyć, jak działają podoficerowie innych nacji. „Wtedy po raz pierwszy zdałem sobie sprawę, że u nas też tak może być. Cztery lata później, gdy pojechałem na kurs przywództwa do akademii w Grafenwoehr w Niemczech, byłem już przekonany, że my także możemy zmniejszyć nasz korpus”, opowiada.

W 17 Brygadzie zaczął od małych kroków. Mając akceptację przełożonych, zmienił sposób prowadzenia zajęć. Położył nacisk na rolę podoficera jako przywódcy. Na poważniejsze zmiany musiał jednak poczekać do 2011 roku, gdy po powrocie z Afganistanu został pomocnikiem dowódcy, gen. Andrzejczaka, ds. podoficerów w elitarnej Siedemnastej. W brygadzie szybko wzrosła liczba żołnierzy kierowanych na kursy. Lepsze też było ich wyszkolenie. „Andrzej nigdy nie wchodził w kompetencje oficerów, za co go niezwykle szanują. Reprezentował interes swojego korpusu, ale zawsze zgodnie z moją myślą przewodnią. To niezwykle trudna sztuka, bo jestem wymagającym przełożonym”, mówi gen. bryg. Andrzejczak, z którym podoficer przesłużył w 17 Brygadzie trzy lata. Ich team uchodził za doskonały. „Generał mnie motywował, zmuszał do myślenia, w pewien sposób mnie ukształtował. Myślę, że nasza współpraca opierała się na wzajemnym zaufaniu i słowach gen. Różańskiego, że jedyne co nas ogranicza, to sens i logika”, podkreśla st. chor. sztab. Woltmann.

CZAS NA INICJATYWY

Andrzej Wojtusik, dziś już podoficer rezerwy, zna st. chor. sztab Woltmanna jeszcze z czasów szkoły chorążych w Legnicy. Był wtedy jego przełożonym. „Andrzej miał szczęście do świetnych dowódców, którzy pozwolili mu rozwinąć skrzydła i w pełni wykorzystać wiedzę, doświadczenie i inteligencję. Ale bez swojej chęci działania, inicjatywy i ciężkiej pracy nie odniósłby sukcesu”, przyznaje Andrzej Wojtusik. Wspomina o tym też żona Małgorzata. „Jak już coś robi, to zawsze z pełnym oddaniem. Bywają chwile, że razem z córką porywamy go na wycieczkę, wspólny obiad czy do kina. Ale ja i tak wiem, że on gdzieś z tyłu głowy cały czas myśli o wojsku. To jego prawdziwa pasja. Wspieram go i jestem z niego dumna, bo to, gdzie dziś jest, zawdzięcza swojej niezwyklej pracowitości i sercu, które w tę pracę włożył”.

Dzięki atmosferze panującej w 17 Brygadzie st. chor. sztab. Woltmann mógł realizować plany podniesienia jakości korpusu podoficerskiego. W brygadzie uruchomił nieetatowy podoficerski łańcuch wsparcia dowodzenia, nadał przy tym formalny kształt stanowisku nieetatowych

pomocników na szczeblach batalionów. Wprowadził też nowatorski system punktacyjny dla szeregowych i podoficerów.

„To nieszablonyowy podoficer. Nie miałem wątpliwości, by w niego zainwestować i wysłać

na prestiżową akademię podoficerów do Teksasu”, mówi gen. Andrzejczak. Dziesięciomiesięczne szkolenie za oceanem st. chor. sztab. Woltmann ukończył w ubiegłym roku. „Andrzej przeszedł wszystkie szczeble szkolenia podoficera armii amerykańskiej. Dziś jest istotnym ogniwem w naszym korpusie. Uznaliśmy, że jego wiedzę najlepiej wykorzystamy w kuźni podoficerskich talentów w Poznaniu”, mówi st. chor. sztab. Krzysztof Gadowski, starszy podoficer Dowództwa Generalnego RSZ. Dlatego właśnie st. chor. sztab. Woltmannowi powierzono stanowisko zastępcy komendanta szkoły podoficerskiej w Poznaniu.

NOWE WYZWANIA

Służbę w stolicy Wielkopolski rozpoczął w sierpniu 2015 roku. „Doświadczenie Andrzeja i jego świeże spojrzenie na wiele spraw może przynieść naszej szkole wyjątkowość i korzyści. Uważam, że to właściwy człowiek na właściwym miejscu. A do tego z całą pewnością nadajemy na tych samych falach”, podkreśla st. chor. sztab. Paweł Urbański, komendant poznańskiej szkoły.

Gen. Andrzejczak przyznaje: „Dotychczasowe doświadczenie stanowi bazę do realizacji dalszych projektów. Wojna nauczyła go odpowiedzialności i tego, że honor i tradycja nie mogą być od święta. Na kursach zdobywał wiedzę teoretyczną, a w Siedemnastej sprawdzał ją w praktyce. Cieszę się też, że teraz jest zastępcą komendanta szkoły podoficerskiej”.

Laureat Buzdygana jest gotowy na kolejne wyzwania. Niedawno stanął na czele zespołu, którego zadaniem będzie wdrożenie do jednostek podległych Dowództwu Generalnemu systemu punktacyjnego oraz projektu „promotion board” (rada podoficerów). Jego zadaniem będzie weryfikacja i rekomendowanie dowódcom awansów i kursów dla najwyższych stopniem podoficerów. Wspólnie z komendantem szkoły st. chor. sztab. Pawłem Urbańskim pracują też nad zmianami w systemie szkolenia podoficerów. Potem przyjdzie czas na kolejne wyzwania. „Chciałbym, aby szkoła podoficerska była marką rozpoznawalną w krajach NATO, by zyskała odpowiedni prestiż, a kończący ją absolwenci stawali się elitą, ludźmi dumnie noszącymi na mundurach emblematy szkoły”, mówi st. chor. sztab. Woltmann. ■

PAULINA GLIŃSKA

W swoich artykułach wielokrotnie odkrywał przed czytelnikami dawno zapomniane przez większość dzieje polskiego wojska: bitwę pod Horodyszczem, postaci Henryka Mazurka czy gen. Mikołaja Bołtucia”, „Dzięki niemu zacząłem się interesować flotyllami

rzeczyni. Gdyby nie jego artykuły, raczej nigdy bym o nich nie usłyszał”, „Za rzetelność i odwagę w pisaniu o wojskach specjalnych” – tak czytelnicy portalu polska-zbrojna.pl uzasadniali swoje nominacje do Buzdygana dla Sławomira Zagórskiego. W wielu przysłanych do redakcji uzasadnieniach pojawiał się argu-

PAWEŁ KRAWCZYK



2015

 BUZDYGANY

Nagroda miesięcznika

Polska Zbrojna

SŁAWOMIR
ZAGÓRSKI

MAŁY INDIANIN

Internauci przyznali Buzdygan Sławomirowi Zagórskiemu za to, że przywraca pamięć o cichych bohaterach

ment o odkrywaniu nieznanych faktów historycznych. Czytelnicy Zagórskiego podkreślają, że to dzięki niemu po raz pierwszy zetknęli się z nieznanymi dotąd epizodami z historii polskiej wojskowości. „Lubię czytać jego teksty, pamiętam szczególnie jeden, o gen. Pershingu. Zagórski krok po kroku rozprawiał się z plotkami, według których miał on rozkazać strzelać do muzułmańskich terrorystów kulami zanurzonymi w świńskiej krwi”, wspomina Dawid Karboviak, felietonista portalu polska-zbrojna.pl. „Zagórski dowodzi, że to internetowa legenda. W tekście widać, że każdy jej aspekt dokładnie sprawdził w kilku źródłach”.

FASCYNACJA HISTORIA

On sam przyznaje, że w historii lubi wyszukiwać tych, o których zapomniano, nie tylko bohaterów, lecz także postacie niejednoznaczne czy negatywne. „Cisi bohaterowie powinni mieć swoje miejsce w historii. Podobnie jak mniej znani łotrzykowie. O nich z kolei warto pisać ku przestrodze”, wyjaśnia Zagórski. „W podręcznikach do historii często zapomina się o bohaterach niewielkich w skali historycznej. A np. gdyby nie udana operacja pod Płockiem w 1920 roku, to bolszewicy mogliby wyjść na tyły wojsk polskich i stworzyć zagrożenie dla Warszawy. Podobnie zapomina się o starciu pod Horodyszczem, a była to pierwsza bitwa polskiej marynarki wojennej po odzyskaniu niepodległości”.

Współpracownicy i przełożeni Zagórskiego podkreślają, że to jeden z tych dziennikarzy, którzy do pisania artykułu przygotowują się bardzo rzetelnie. „Sławek zanim zacznie pisać, spędza wiele czasu w archiwach. Czyta dokumenty źródłowe, bada archiwa nie tylko w Polsce, ale też za granicą”, mówi Krzysztof Fijałek, dyrektor wydawniczy Interii.pl. „To dziennikarz, który pracę łączy z hobby. W tej małej posturze mieści się naprawdę wiele pasji”, dodaje.

Jego teksty bywają kontrowersyjne i są szeroko komentowane w internecie. Czytelnicy nie zawsze zgadzają się z Zagórskim. Tak było, gdy na swoim facebookowym koncie zastanawiał się, czy na mundurze polskiego żołnierza powinna się znaleźć naszywka z napisem „Śmierć wrogom ojczyzny”. „Takie hasło przyświecało oddziałom Narodowego Zjednoczenia Wojskowego Romualda Rajsa, ps. »Bury«, które odpowiadają za zbrodnie przeciwko cywilom, w tym za mord w Puchalach

Starych, zbrodnię w Zaleszanach czy pacyfikację wielu wsi na Podlasiu. W sumie jego oddział spalił przynajmniej siedem wsi i zamordował co najmniej 50 cywili. Nawet według IPN zbrodnie te noszą znamiona ludobójstwa”, pisał dziennikarz. Ta wypowiedź odbiła się szerokim echem w środowisku wojskowym. „Mundur oficera nie powinien budzić żadnych kontrowersji, a wśród wielu moich czytelników i znajomych

żołnierzy ta naszywka je wzbudziła. Głównie ze względów historycznych”, komentował na portalu polska-zbrojna.pl Zagórski. Tak o tej sprawie mówi dyrektor Interii: „Zdajemy sobie sprawę z tego, że po drugiej stronie znajdują się żywi ludzie, nasi czytelnicy, oni zawsze będą reagować na to, co piszemy – taka jest specyfika pracy dziennikarza”, wyjaśnia Fijałek. „Sławek dobrze radzi sobie z tzw. konstruktywną krytyką. Co innego, gdy mamy do czynienia z hejtem. Wtedy po prostu trzeba dalej robić swoje”.

WOJSKOWE TRADYCJE

Zanim Zagórski zaczął pracę w Interii, przez dwa lata prowadził audycje o historii wojennej Karpat w radiu Lem.fm. Na swoim koncie ma również ponad 100 artykułów naukowych publikowanych w polskich, rosyjskich i łemkowskich mediach. „Moja rodzina od ponad 100 lat jest związana z Wojskiem Polskim, pradiadkowie walczyli w wielkiej wojnie i wojnie polsko-bolszewickiej, a dziadkowie w II wojnie światowej, a później działali w podziemiu niepodległościowym. Jeden z nich trafił do obozu w Jaworznie. Obaj byli represjonowani w czasach PRL-u. Siłą rzeczy musiałem zainteresować się historią i militariami”, tłumaczy swoją pasję Zagórski.

„W firmie, z racji wzrostu i charakterystycznej fryzury, jest nazywany »Małym Indianinem«, opowiada Marcin Ogdowski, wydawca strony głównej portalu Interia.pl. „To filar, na którym opiera się serwis. Facet serwujący czytelnikom treści związane z wojskiem i wojskowością. Dzieła Sławka niemal zawsze zajmują czołowe miejsca w rankingach oglądalności portalu. Ma zatem »Mały Indianin« wielki zasięg w popularyzowaniu – jak zwykliśmy to między sobą określać – »branżowej wiedzy«, tłumaczy wydawca. ■

EWA KORSAK

PIOTR BERNABIUK

Salon pominiętych

**Uchylamy rąbka tajemnicy
i pokazujemy kulisy
przyznawania Buzdyganów.**

JAROSŁAW WIŚNIEWSKI



Zanim kapituła Buzdyganów „Polski Zbrojnej” zbierze się oficjalnie, w pełnym składzie, należący do niej czteroosobowy zespół redakcyjny zasiada do analizy rekomendacji. W tym roku nadesłanych szczególnie obficie, około 60, co, jak sądzimy, jest świadectwem popularności naszej nagrody w siłach zbrojnych. Mamy więc powód do dumy i satysfakcji, ale też powtarzające się każdego roku te same kłopoty.

Otóż przed ponad 20 laty z pełną świadomością doprowadziliśmy do pewnego paradoksu, oczekując od dowódców i szefów różnych szczebli, by wbrew wojskowej naturze typowali do naszej nagrody swoich żołnierzy... wychodzących przed szereg. Teraz dostajemy za swoje. Wczytując się w kolejne rekomendacje, usiłujemy wyłuskiwać perełki. A co czytamy? A to, że ktoś w kraju lub za granicą ukończył studia wojskowe i cywilne. Brał też udział w wielu kursach operacyjno-taktycznych w kilku krajach. „Pełnił obowiązki służbowe na dowódczych i kierowniczych stanowiskach...”. W ocenie przełożonych „wzorowo wywiązywał się z obowiązków”, co było możliwe tylko „dzięki wyjątkowemu zaangażowaniu i oddaniu służbie wojskowej”. I mamy oficera, który jest awansowany oraz nagradzany przez swoich przełożonych. Niestety, nie znajdujemy w niej odpowiedzi na najważniejsze dla kapituły pytanie: co ten człowiek zrobił dla armii więcej od innych?

NIEDOOPISANI

Czym się wyróżnia komandor scharakteryzowany w siedmiu wierszach, który wyszedł w morze i wrócił, porucznik startujący w zawodach i odnoszący zwycięstwa, szeregowy dający przykład innym swym zdyscyplinowaniem i postawą, oficer pilot latający samolotem,

kolejny oficer, który „przyczynił się do rozwoju i umocnienia systemu obronnego kraju”? To nie jest naigrywanie się z opisywanych postaci, lecz próba znalezienia sposobu na danie szansy osobom wyjątkowym, ale „nie-doopisanym”. Niektórych z nich znamy, bo byli bohaterami naszych tekstów w „Polsce Zbrojnej”, i wiemy doskonale, że za ogólnikami, za opiniami służbowymi kryją się wspaniali ludzie.

Z bólem serca pozostawiamy też w „salonie pominiętych” wiele wspaniałych postaci nominowanych przez swych przełożonych za całokształt służby. Oni rok po roku wykonywali rzetelną robotę, skrzętnie i z zaangażowaniem wdrażali pomysły nie swojego autorstwa. Należy im się za to szacunek, ale nie Buzdygan.

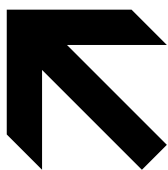
W tymże salonie umieszczamy także grupę kandydatów nietrafionych w czasie. Serce się kraje, gdy uświadamiamy sobie, że tak znamienite postacie, jak kmdr Dariusz Wichniarek czy pplk Rafał Miernik zostały zgłoszone... o kilka lat za późno. Wspaniali dowódcy, w okresie chwały, gdy jeden dowodził jednostką specjalną Formoza, a drugi batalionem w 17 Wielkopolskiej Brygadzie Zmechanizowanej, godni byli Buzdyganów wysadzanych diamentami. Dziś wprawdzie nic nie stracili ze swej wartości, wręcz przeciwnie, pełnią odpowiedzialne stanowiska na wyższym szczeblu, ale kłopot polega na tym, że za wszelką cenę dążymy do tego, żeby nasza nagroda była gorąca, przyznawana za dzieła w konkretnym roku.

BOHATEROWIE W KOLEJCE

Buzdygany są jedyną nagrodą w siłach zbrojnych absolutnie niezależną od „czynników wyższych”. Zdarzało się, że „czynniki” wojskowe, ale też i cywilne różnych szczebli oferowały nam wsparcie we właściwym



BUZDYGANY SĄ JEDYNĄ NAGRODĄ W SIŁACH ZBROJNYCH ABSOLUTNIE NIEZALEŻNĄ OD „CZYNNIKÓW WYŻSZYCH”



Na etapie spotkania kapituły Buzdyganów „Polski Zbrojnej” przepada wielu wspianych żołnierzy, bo w rekomendacjach zostają opisani zbyt formalnie i bez przekonania.

wyborze laureatów. Niejednokrotnie docierały też do nas oznaki niezadowolenia, bo zdarzało się, że wyróżniony Buzdyganem – zdaniem przełożonego – wychodził przed szereg. Taka reakcja na wybór daje zazwyczaj kapitule ogromną satysfakcję. W tym roku również jeden z dowódców naciskany, by wystawił w rankingu swego oficera, zwierzył się dyskretnie: „Żołnierz jest znakomity, ze wszech miar na nagrodę zasługujący, spełnia niestety również podstawowe kryterium nagrody. Wspieram go w rozwoju, awansuję, nagradzam, ale do Buzdyganów nie zgłoszę, bo nie chciałbym stracić stanowiska!”. „Wybitny, ale krnąbrny” dostał jednak rekomendację, tyle że od kogoś innego.

BEZ ROZDZIELNIKA

Dla kapituły nie ma znaczenia także szarża, dążymy jednak do zachowania proporcji w stopniach, a także w rodzajach służby. Cieszyliśmy się, gdy w ubiegłym roku obok gen. Rajmunda Andrzejczaka miejsce na podium zajmował kpr. Tomasz Ciach. Ale, żeby pan szeregowy czy plutonowy zostali wyróżnieni, trzeba ich najpierw zgłosić.

Sztuką jest bowiem zaszczyścić wybitnych generałów, nie pomijając kapitanów czy podpułkowników dowodzących kompaniami i batalionami, zwrócić uwagę na klan podoficerów i nie zapominać o szeregowych. Nie można pominąć uhonorowania wszystkich rodzajów wojsk, żeby nie zdominowali nam Buzdyganów „specjalsi”, ze wszech miar za-

sługujący na wyróżnienia za dokonania w operacjach bojowych.

W tym roku rozpatrywaliśmy 59 zgłoszeń, kandydaturę 60., st. chor. Andrzeja Woltmana, zaproponował jeden z członków kapituły w trakcie obrad, na co pozwala regulamin przyznawania nagrody. W zacnym gronie mieliśmy więc 37 oficerów, w tym dwóch generałów, ośmiu podoficerów i szeregowych, czterech zasłużonych dla wojska cywilów i dwa zgłoszenia grupowe. I choć staraliśmy się pamiętać o zasadzie proporcjonalności, podczas obrad – uchylę rąbka tajemnicy – kryterium to bardzo szybko przestało jednak działać. Skupiliśmy się na osobowości i dorobku osób nominowanych do nagrody. W efekcie, wśród zwycięzców znaleźli się generał, trzech starszych oficerów i dwóch chorążych. Trójka z laureatów reprezentuje szkolnictwo wojskowe, jest lekarz, specjals i pilot. Rozważając, po zatwierdzeniu wyników, nieprzewidywalność nagrody, doszliśmy jednak do zgodnego wniosku, że brak rozdzielnika, sztywnego podziału na kategorie jest jej największą zaletą. Za pomocą Buzdyganów chcemy bowiem oznajmiać światu, że oto w świetle reflektorów stanął żołnierz, który dokonał czynów znacznych, na którego należy zwrócić uwagę i którego trzeba wesprzeć w kontynuowaniu dzieła. ■

PIOTR BERNABIUK
jest dziennikarzem „Polski Zbrojnej”
i członkiem kapituły Buzdyganów.

ARMIA

/ SZKOLNICTWO

MARCIN SZUBERT / SPWL



PAULINA GLIŃSKA, PIOTR BERNABIUK

RZEŹBIENIE KADETÓW

**Tutaj szeregowy powinien się stać przełożonym,
który wydaje rozkazy i rozlicza podwładnych
z wykonania postawionych zadań.**



K

omendant Szkoły Podoficerskiej Wojsk Lądowych, st. chor. sztab. Paweł Urbański, nie jest zwolennikiem rewolucji, jednak zmiany w szkolnictwie podoficerskim uważa za nieodzowne: „Nowa koncepcja nie może być cząstkowa, musi dotyczyć wszystkiego – organizacji szkoły, programu nauczania, prowadzenia żołnierza po ścieżce rozwoju, od szeregowego do starszego chorążego sztabowego”, podkreśla. Dodaje, że w dyskusji o jej kształcie głos muszą zabrać także oficerowie i podoficerowie mający bezpośredni kontakt z wojskiem i szkoleniem żołnierzy. „Dzięki współpracy z nimi będziemy mogli zdefiniować, jaki efekt powinniśmy uzyskać na każdym etapie kształcenia podoficerów”.

SZANSA DLA NAJLEPSZYCH

O tym, kim będą absolwenci szkoły podoficerskiej, w znacznej mierze decyduje wcześniej szy dobór i przygotowanie kandydatów. A w tej kwestii od dłuższego czasu ścierały się ze sobą dwie sprzeczne tendencje. Nie troszcząc się o przyszłość korpusu podoficerskiego, masowo wypychano na kaprali szeregowych kończących 12-miesięczną służbę. Z jednej strony, działała presja, by ratować wartościowych żołnierzy przed odesłaniem do cywila, nawet niemających najmniejszych predyspozycji przywódczych. Z drugiej, daje się zauważyć dalekowzroczne patrzenie dowódców na przyszłość, jeśli nie całego korpusu podoficerskiego sił zbrojnych, to przynajmniej własnej jednostki.

Masówkę skutecznie zatrzymało wprowadzenie w 2013 roku egzaminów do szkół podoficerskich. Według chor. Urbańskiego o ich formule można by jeszcze dyskutować, jednak poprzeczka dla chętnych do awansu została znacznie podniesiona. Zwraca on przy tym uwagę, że dziś nie wystarczy już tylko spełnienie formalnych wymagań i zgłoszenie akcesu

do udziału w egzaminach wstępnych do szkół podoficerskich. „Obecnie wstępnej selekcji ochotników najczęściej dokonują starsi podoficerowie dowództw, biorąc też na siebie przygotowanie szeregowych do awansu”. St. chor. sztab. Krzysztof Gadowski, starszy podoficer Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych, dodaje przy tym, że w ten proces przygotowawczy powinni się angażować również bezpośredni przełożeni kandydatów: „Utarło się, że należy to do obowiązków pomocników ds. podoficerów i to z reguły oni są w jednostkach obarczeni organizacją i przeprowadzeniem kursów przygotowawczych. Nie zdejmuję to jednak odpowiedzialności za wyszkolenie żołnierzy z dowódców drużyn czy plutonów”.

Chor. Urbański jako dobry przykład takiego działania podaje 11 Dywizję Kawalerii Pancernej, gdzie paromiesięczny proces przygotowań kończy się kilkudniowym zgrupowaniem weryfikującym przygotowanie kandydatów ze wszystkich jednostek tego związku taktycznego. „Zaproszony na taką kwalifikację uświadomiłem sobie, że mam do czynienia z ludźmi starannie wybranymi i dobrze przygotowanymi do kolejnego etapu edukacji. W kawalerii pancernej selekcjonuje się kandydatów na kaprali ze świadomością, że robi się to dla siebie”. Podobną weryfikację, nazywaną „badaniem kompetencji”, a stanowiącą przedsmak tego, co czeka ich na egzaminach do szkoły podoficerskiej, przechodzą szeregowi z 12 Brygady Zmechanizowanej. Po sprawdzianie strzeleckim, taktycznym i sprawnościowym na egzaminy wstępne do szkoły są kierowani najlepsi z nich.

Wcześniej żołnierzy wysyłano na kurs niejako z automatu, bardzo często na zasadzie skompletowania w jednostce odpowiedniej liczby chętnych. Czasami była to jednak zasadzka, bo szkoły nie mogły przyjąć ani jednego kandydata ponad wyznaczony im przez przełożonych limit. Dziś zainteresowani awansem nie tylko



Poziom przygotowania szeregowych wzrasta z każdym kursem. To efekt wprowadzenia egzaminów, konkurencyjności, elementu rywalizacji. Do szkoły trafiają osoby z predyspozycjami dowódczymi, bardzo zmotywowane. Jeszcze w 2013 roku na 250 punktów, które można uzyskać na egzaminach wstępnych, wystarczyło otrzymać niewiele ponad 90. Szeregowi, którzy o miejsce na kursie ubiegali się rok później, podnieśli tę poprzeczkę do 170 punktów.

KANDYDACI NA KURS PODOFICERSKI MUSZĄ MIEĆ CO NAJMNIEJ PIĘĆ LAT SŁUŻBY I ŚREDNIE WYKSZTAŁCENIE

muszą uzupełnić i poszerzyć wiedzę teoretyczną oraz praktyczną czy zadbać o sprawność fizyczną, lecz także zaprezentować się z najlepszej strony podczas rozmowy kwalifikacyjnej, która, zamiast dotychczasowych 30, może przynieść aż 80 punktów z 250, jakie można zdobyć. Punkty potrzebne do przyjęcia do szkoły zbiera się więc za wykształcenie, zdobyte umiejętności, doświadczenie wojskowe, w tym udział w misjach, klasę kwalifikacyjną i udokumentowaną znajomość języka obcego. Sito egzaminacyjne wydaje się więc gęste...

CZEGO JAŚ SIĘ NIE NAUCZYŁ...

O ile jednak w kwestii selekcji kandydatów wiele się ostatnio zmieniło na lepsze, o tyle sam program szkolenia od lat pozostaje w zasadzie taki sam. Sześciomiesięczna edukacja przyszłych kaprali dzieli się na kwartał ogólnowojskowego szkolenia w „podoficerce” i kolejne trzy miesiące, w zależności od specjalności, spędzone w jednym z centrów szkolenia. W drugiej fazie żołnierze przechodzą też dwutygodniowe praktyki w wybranej jednostce, po czym zdają egzaminy w szkole podoficerskiej. Jeśli się powiodą, wracają do swoich jednostek po uroczystym wręczeniu świadectw.

Z przeprowadzonej w poznańskiej szkole analizy programów kształcenia – zarówno ogólnego, jak i specjalistycznych – wynika, że w szkoleniu są powielane treści i ze szkolenia podstawowego żołnierza, i z 36-miesięcznego realizowanego w jednostkach wojskowych. Pozornie nie ma to sensu, bo szeregowi z kilkuletnim doświad-

zeniem takie zagadnienia, jak znajomość obsługi broni, regulaminów czy musztry powinni mieć w małym palcu. Rzecz w tym, że w codziennej służbie kładzie się nacisk na sprawność sprzętu i przygotowanie do wykonania zadania bojowego, gubiąc przy tym ważne dla żołnierskiego rzemiosła szczegóły.

Dowódcy i szkoleniowcy w poznańskiej szkole podoficerskiej dostrzegają doświadczenie oraz zaangażowanie swych podopiecznych, chwilami bywają jednak załamani lukami w podstawowej wydawałoby się wiedzy żołnierskiej. A to nie tylko kwestia nieznaności wspomnianych regulaminów czy musztry. „Podczas wstępnych rozmów żołnierze, mający za sobą lata służby, potrafili zaskakiwać nas wyjątkową ignorancją. Zdarzało się, że pan szeregowy przychodził do szkoły z emblematem swej jednostki na rękawie i nie wiedział, co się na nim znajduje. Po dziesięciu latach służby nie znał patrona i historii swojej brygady czy pułku. Czyżby zamiast wychowywać świadomych żołnierzy, produkowano tam mięso armatnie?”, zadaje sobie pytanie st. chor. sztab. Andrzej Woltmann, zastępca komendanta SPWL.

W takiej sytuacji pierwszy miesiąc szkolenia podoficerskiego instruktorzy poświęcają na nadrobienie braków i wyrównanie poziomu wiedzy kursantów. Mają bowiem świadomość, że szkoła jest jedynym miejscem, w którym można i należy kandydatów na podoficerów zawrócić na właściwą drogę. St. chor. sztab. Woltmann nie jest odosobniony w opinii, że pierwszy kurs podoficerski jest też najwłaściwszym miejscem, żeby w żołnierzu zaszczepić ➔

ducha patriotyzmu i ideę przywództwa oraz przestawić go na nowe tory – z szeregowego stojącego w szyku powinien się stać przełożonym, który wychodzi przed ten szyk, wydaje polecenia i rozlicza podwładnych z wykonania postawionych zadań.

SZUKANIE KOMPROMISU

Dyskusja nad potrzebą wprowadzenia zmian w programie nauczania trwa w zasadzie od kilku lat. Przedstawiciele SPWL podkreślają, że o ile do treści przerabianych zagadnień nie ma większych zastrzeżeń, o tyle budzą je proporcje czasowe poszczególnych zajęć. Chor. Urbański nie ma wątpliwości, że powtarzanie prostych czynności w szkoleniu powinno zostać zastąpione metodyką: „Chcemy program przeorientować, bo ten szeregowy, jeszcze przed rozpoczęciem nauki w szkole podoficerskiej, powinien strzelać lepiej od nas. Od pięciu, a nawet dziesięciu lat jest zawodowcem, uczestniczył w akcjach bojowych, więc po co marnować czas i amunicję? Powinien z konspektem prowadzić zajęcia w punkcie nauczania, na strzelnicy”.

St. chor. sztab. mar. Janusz Calak, komendant Szkoły Podchorążych Marynarki Wojennej, uważa z kolei, że program kształcenia ogólnego, jednakowy dotąd dla wszystkich trzech szkół podoficerskich, powinien w większym stopniu uwzględniać potrzeby każdego rodzaju sił zbrojnych. „Inne są obowiązki dowódcy drużyny w wojskach lądowych, a inne w wypadku mata – dowódcy drużyny na okręcie. Dlatego ten sam program szkolenia ogólnowojskowego w szkołach podoficerskich nie do końca się sprawdza”.

Wszyscy zgadzają się co do tego, że w pracach nad przyszłym modelem kształcenia podoficerów będzie potrzebny kompromis. „Nie znajdziemy złotego środka. Musimy pogodzić wojska lądowe, gdzie przywódca prowadzi żołnierzy do walki, z bardziej technicznymi umiejętnościami potrzebnymi w siłach powietrznych i marynarce wojennej. Jedno jest jednak wspólne – każdy dowódca w siłach zbrojnych powinien być dla swych podwładnych przywó-

Program egzaminów po nowelizacji

W 2014 roku został wprowadzony znowelizowany regulamin egzaminów na kursy podoficerskie. W testach teoretycznych, oprócz zagadnień dotyczących regulaminu ogólnego czy musztry, problematyki dyscypliny wojskowej, wiedzy o Polsce i świecie współczesnym, pojawiły się pytania z języka angielskiego i kodeksu honorowego żołnierza. W testach zrezygnowano z pięciu pytań z metodyki szkolenia. Zgodnie z nowymi za-

sadami kandydaci nie zaliczają już testu sprawności fizycznej według wyższych norm dowódczych, lecz obowiązują ich niższe kryteria. Podczas egzaminów większą rangę zyskała rozmowa kwalifikacyjna. Komisja ocenia m.in. autoprezentację, wykształcenie i kwalifikacje oraz doświadczenie wojskowe. U wszystkich są premiowane klasa kwalifikacyjna, udokumentowana znajomość języka obcego oraz udział w misjach. ■



MARCIN SZUBERT/SPWL

cą i liderem. A niezależnie od stanowiska i specjalności, także żołnierzem potrafiącym walczyć”, podsumowuje st. chor. sztab. Krzysztof Gadowski.

MARSZ ZE ŚPIEWEM

W poznańskiej szkole przyjęto zasadę, że jak żołnierze maszerują, to śpiewają. Niezorientowani uważają to za dziwactwo. Komendant Urbański zapewnia, że taki pomysł ma uzasadnienie: „Jest to dla nich test dowodzenia sobą nawzajem. Szczególnie po południu, kiedy nie ma już w koszarach kadry lub gdy myślą, że nas już nie ma”. A jak myślą, że nikogo nie ma w pobliżu, to bywa różnie. Komendant pamięta, jak jeden z wyższych oficerów wyraził kiedyś zdziwienie, dlaczego w szkole podoficerskiej maszerujących w szyku żołnierzy na zajęcia prowadzą szeregowi, a nie dowódcy grup: sierżanci czy chorążowie. Usłyszał odpowiedź: „A kiedy i gdzie ten szeregowy ma się nauczyć wydawania komend, organizowania zbiórek, sprawdzania i rozliczania żołnierzy?”.

Właśnie w tak prozaicznych sytuacjach przyszli dowódcy wykonują w praktyce to, czego uczyli się podczas zajęć teoretycznych. By zapanować nad grupą, muszą umieć wystąpić publicznie, wysłować się zrozumiale dla wszystkich, mieć w głowie regulaminy i programy strzelania, bo jak przed grupą ktoś skorzysta z notatek, jego autorytet natychmiast legnie w gruzach.

Tych przykładów Urbański używa do zobrazowania najważniejszych zagadnień w procesie edukacji przyszłych podoficerów – metodyki i przywództwa. Tymczasem w szkole podoficerskiej zajęcia z leadership zajmują zaledwie kilkanaście godzin. Wcześniej, gdy tworzone program kształcenia ogólnego, co rusz tę tematykę odgórnie obcinano, gdyż za ważniejsze uważano np. strzelanie ogniem zaporowym do niewidzialnych samolotów. I do dziś ta ważna dziedzina wciąż jest traktowana po

macoszemu. „Zajęć z przywództwa powinno być więcej, by przyszli kaprale z czasem mogli się poczuć prawdziwymi dowódcami, doskonale znającymi swoją rolę. Świadomość własnego miejsca w procesie dowodzenia jest bardzo ważna”, przyznaje również st. chor. sztab. Calak.

Problem ten dostrzega także gen. dyw. Andrzej Reudowicz, dowódca 12 Dywizji Zmechanizowanej: „Na kurs podoficerski starszy szeregowy przychodzi ze znaczącą już wiedzą żołnierską, często również z doświadczeniem bojowym. Nie ma sensu powtarzanie znanych treści. Nacisk należy położyć na leadership i metodykę szkolenia, może należałoby też wprowadzić więcej psychologii”.

JAKOŚĆ KORPUSU

Oprócz programu kursów na kaprali, zmienić się powinny również kursy kwalifikacyjne na podoficerów i podoficerów starszych. Wprawdzie za wcześniej jeszcze na konkrety, jednak zdaniem st. chor. sztab. Urbańskiego, zasadnicza zmiana powinna dotyczyć części specjalistycznej. Podoficerowie młodszy i podoficerowie będą prowadzili zajęcia, wspierali swego dowódcę plutonu lub też plutonem dowodzili, więc tu potrzeba jeszcze dobrego rzemiosła, specjalistycznych dla danej formacji umiejętności praktycznych. Kurs na podoficera starszego natomiast może nie powinien mieć części specjalistycznej. Jego absolwenci będą szefami pododdziałów (pierwszymi sierżantami kompanii), następnie podoficerami starszymi dowódcami batalionu, brygady lub dywizji, gdzie wiedza specjalistyczna nie ma już takiego znaczenia i zastosowania. Tu liczą się przywództwo, zdolności organizacyjne, umiejętność wypracowania właściwej decyzji.

Na najwyższym podoficerskim poziomie nie można również zaniechać edukacji: „Od pewnego czasu dojrzewa pomysł wprowadzenia nowego kursu dla podoficerów starszych – czterogwiazdkowych chorążych [pomocników brygadowych i dywizyjnych oraz komendantów szkół], odpowiednika amerykańskiej akademii sierżantów majorów. Na takich stanowiskach liczą się przede wszystkim: zdolności przywódcze, organizacyjne, dyplomatyczne, umiejętność podjęcia właściwej decyzji, sztuka wystąpień publicznych i budowania relacji międzyludzkich. Tacy żołnierze szkoliliby się we współpracy z uczelnią wyższą, np. z Akademią Obrony Narodowej. Bo tu potrzeba wiedzy strategicznej, operacyjnej wykładowców wyższej uczelni”.

St. chor. sztab. Krzysztof Gadowski, odnosząc się do przyszłych zmian w szkolnictwie podoficerskim, zwraca również uwagę na konieczność dostosowania obecnego systemu szkolenia, zarówno kandydatów do korpusu, jak i na kolejnych etapach służących w nim podoficerów, do standardów natowskich. ■



JAROSŁAW WIŚNIEWSKI

NIEPODZIELNE BEZPIECZEŃSTWO

Z Pawłem Solochem

**o wyzwaniach dla bezpieczeństwa Polski i wzmacnianiu
systemu obronnego państwa rozmawiają Małgorzata
Schwarzgruber i Tadeusz Wróbel.**

Panie Ministrze, dlaczego chcemy zaangażować się w zwalczanie tzw. Państwa Islamskiego na Bliskim Wschodzie? Pojawiły się opinie, że powinniśmy skupić swą uwagę na bliższych nam zagrożeniach.

Deklaracja ministra obrony narodowej – potwierdzona przez pana prezydenta na konferencji w Monachium – dotycząca gotowości Polski do włączenia się w działania przeciwko tzw. Państwu Islamskiemu, jest wyrazem naszej solidarności z państwami koalicji. Co ważne, robimy to w momencie, gdy podobnej postawy oczekujemy od sojuszników w kwestiach związanych z bezpieczeństwem na wschodniej flance NATO. To także sygnał, że dla Polski bezpieczeństwo sojuszu jest niepodzielne.

Ekspert zwraca uwagę, że gdyby nie nasze zaangażowanie w Afganistanie, które było bardzo krytykowane, trudniej byłoby nam uzyskać szybkie wsparcie od sojuszników w obliczu zagrożeń ze strony Rosji.

Na pewno tak. Obecność w operacji natowskiej w Afganistanie, a wcześniej w Iraku, była naszym atutem. Przypomnę również, że po zamachach terrorystycznych w Paryżu wyraziliśmy gotowość udzielenia pomocy koalicji francuskiej.

Czy zatem wyślemy nasze myśliwce F-16 na Bliski Wschód?

Udział naszych samolotów w misjach rozpoznawczych jest jedną z możliwości, ale ostateczny kształt polskiego zaangażowania nie został jeszcze określony.

Wypowiedzi zachodnich polityków wskazują, że nasi sojusznicy coraz lepiej rozumieją polskie obawy związane z polityką rosyjską. Kilka lat temu jedni uważali je za przejaw przewrażliwienia, a inni za rusofobię.

Bez wątpienia ogromny wpływ na zmianę w postrzeganiu Rosji przez Zachód miała sytuacja na Ukrainie. Najpierw pacyfikacja kijowskiego Majdanu, będąca próbą zahamowania marszu tego państwa ku Europie. Następnie otwarta agresja i aneksja Krymu – po II wojnie światowej w Europie był to w takiej skali pierwszy przypadek, że przy użyciu siły militarnej zmieniono granicę między państwami.

Słuszność obaw co do Rosji potwierdziło jej militarne zaangażowanie w Syrii.

Tak. I tym razem politycy zachodni szybko dostrzegli, że działania Moskwy nie sprzyjają zakończeniu konfliktu. Wręcz przeciwnie, otwarte wsparcie militarne, jakiego →

udziela ona reżimowi prezydenta Baszszara al-Asada, wpływa na eskalację sytuacji. Dostrzeżono także to, czego wcześniej nie widziano lub nie chciano widzieć, że po wojnie w Gruzji w 2008 roku Rosja rozpoczęła przyspieszoną rozbudowę potencjału militarnego. Interwencja w Syrii pokazała, że rozwija ona ofensywne systemy uzbrojenia i ma możliwości szybkiego przerzutu żołnierzy i sprzętu na duże odległości. Jednocześnie podejmuje działania militarne mające uniemożliwić lub co najmniej utrudnić dostęp NATO do pewnych obszarów. Za przykład niech posłużą rosyjskie raketowe zestawy przeciwlotnicze, mogące być zagrożeniem dla samolotów znajdujących się w przestrzeni powietrznej sojuszu.

Po raz pierwszy o tym, że NATO musi wzmocnić zdolności odstraszenia Rosji, zaczęto mówić w Newport. Czy na szczycie w Warszawie ten kierunek działania powinien zostać rozszerzony?

Na ostateczne ustalenia musimy jeszcze poczekać. Jednak już teraz możemy mówić o przełomie. Na lutowym spotkaniu ministrów obrony w Brukseli za konieczne uznano wzmocnienie struktur natowskich na wschodzie. Jeszcze do niedawna nie dla wszystkich naszych sojuszników było to oczywiste. Dziś mamy wstępne porozumienie, że rozwiązania dotyczące tej kwestii wykrócą poza ustalenia przyjęte na poprzednim szczycie w Walii. Oczekujemy, że w Warszawie zostanie potwierdzona zasada o zwiększonej obecności militarnej sojuszu na flance wschodniej. Będą podjęte decyzje w sprawie rozmieszczenia składów z uzbrojeniem i ciągłej rotacyjnej obecności wojsk. Szerszą kwestią pozostanie nowe zdefiniowanie podejścia do polityki odstraszenia przed agresją na terytorium sojuszu, z uwzględnieniem także przyszłych stosunków z Rosją. Wreszcie chcemy, by na szczycie doszło do zacieśnienia relacji pomiędzy NATO a Ukrainą oraz Gruzją.

Czy sojusz północnoatlantycki, jako całość, jest gotowy, by uznać swe deklaracje wobec Rosji z 1997 roku za nieaktualne?

Podczas dyskusji o wojskowym wzmocnieniu wschodniej flanki akt z roku 1997 nie jest dziś żadnym problemem. Była w nim co prawda mowa o nierozmieszczaniu znaczących sił na terytoriach nowych członków sojuszu, ale zastrzegano, że dotyczy to ówczesnego stanu bezpieczeństwa. Deklaracja zakładała również, że nastąpi redukcja wojsk po obu stronach granicy i wszystkie działania będą prowadzone przejrzysto, na bazie zapisów traktatu o ograniczeniu sił konwencjonalnych w Europie. Tymczasem Moskwa przed kilku laty przestała go przestrzegać i nie przekazuje informacji o swych siłach lądowych i powietrznych rozmieszczonych w części europejskiej.



Przez pewien czas istniała paradoksalna sytuacja. Rosja nie udostępniała danych o swych siłach zbrojnych, a jednocześnie otrzymywała informacje o armiach pozostałych sygnatariuszy traktatu.

Zadziałął niestety pewien automatyzm. Rosja sama wycofała się z przyjętych zobowiązań, a nie została decyzją sojuszu wyrzucona z traktatu. Stąd ten okres pewnej dysproporcji w przestrzeganiu zobowiązań, trwający dopóki nie zareagowało inne państwo, czyli USA.

Niemniej jednak NATO przegrywa wojnę propagandową z Moskwą. Sojusz tłumaczy się z planu rozmieszczenia sprzętu dla jednej brygady w kilku państwach, a Rosji nikt nie pyta, po co formuje nowe dywizje w Zachodnim Okręgu Wojskowym.

Podczas konferencji w Monachium zwrócił na ten fakt uwagę prezydent Andrzej Duda. Ową rozbudowę sił rosyjskich sygnalizują też na forach międzynarodowych nasi ministrowie i urzędnicy wszystkich szczebli. Jednocześnie wskazujemy, że jest tworzony potencjał ofensywny, a podczas manewrów rosyjska armia ćwiczy także użycie taktycznej broni nuklearnej.

Do tego rosyjski premier Dmitrij Miedwiediew na konferencji w Monachium mówił o trwającej już nowej zimnej wojnie...

Wystąpienie Miedwiediewa traktuję jako element pewnej gry, ale unaocznilo ono także strategiczny cel Rosji. Premier nie wzywał do powrotu do takich relacji NATO–Rosja, jak w czasie zimnej wojny. Moskwa chce w polityce światowej koncertu mocarstw, gdzie wielkie, silne państwa dyktują innym swe warunki. Pragnie wrócić na



JAROSŁAW WIŚNIEWSKI

*Obrona terytorialna
będzie strukturą
wojskową,
funkcjonującą
w czasie pokoju
w ograniczonej skali i,
co ważne,
kontrolowaną przez
państwo*

scenę wielkiej polityki, opierając się na swoich zdolnościach militarnych, które są niewspółmiernie duże w stosunku do potencjału ekonomicznego państwa. W końcu PKB Rosji to zaledwie około trzykrotność polskiego PKB i jedna dziesiąta PKB Unii Europejskiej czy USA.

Przypomina to nieco sytuację Związku Sowieckiego w okresie międzywojennym.

Moim zdaniem dzisiejsza Rosja jest w jeszcze gorszej sytuacji. W okresie międzywojennym liczba mieszkańców Związku Sowieckiego zwiększała się, następowała indu-

stryalizacja kraju, szybko rozwijał się przemysł ciężki. Związek Sowiecki stawał się potęgą gospodarczą. Ten rozwój był kontynuowany po II wojnie światowej. Teraz Rosja, oprócz sfery zbrojeniowej, nie ma większych osiągnięć. Wpadła w pułapkę państwa surowcowego. Problemem jej jest nie tylko słaba gospodarka, ale też demografia.

Rosja pomimo tych słabości uważa się za równą Stanom Zjednoczonym. Nie traktuje też zasad cywilizacji zachodniej jako swoich.

W wymiarze regionalnym Rosja pozostaje mocarstwem i, jak pokazała sytuacja w Syrii, z pewnymi zdolnościami do oddziaływania na poziomie globalnym. Moskwa stara się wzmocnić swą pozycję polityczną, wykorzystując pewien brak skonsolidowanego przywództwa w świecie zachodnim. Co do drugiej kwestii, to sami Rosjanie uważają się za odrębną cywilizację, wykraczającą poza granice Federacji Rosyjskiej, ze względu na mniejszości żyjące w dawnych republikach, a także wpływy językowe i kulturowe. W efekcie jako krytykę i pouczenia odbierają wszelkie sygnały płynące do niej z Zachodu.

Ten zaś ma własne problemy. W wypadku Unii Europejskiej to kryzys związany z masową emigracją. Wygląda na to, że nie ma żadnej strategii, jak go rozwiązać, bo poprawność polityczna uniemożliwia niektóre posunięcia.

W Europie poprawność polityczna często jest przykrywką dla bezradności połączonej z lękami przed napływem uchodźców i tym, że ich pojawienie się spowoduje wzrost wpływów politycznych ekstremalnej prawicy. Ale to racja, że wewnętrzny kryzys Unii w sposób oczywisty odbija się negatywnie na jej zdolnościach do oddziaływania na zewnątrz, w tym na Rosję.

Z drugiej strony nie wiadomo, jak daleko może posunąć się w swych agresywnych zachowaniach ekipa z Kremla. Rządy autorytarne często wywołują konflikty zewnętrzne, by odwrócić uwagę społeczeństwa od problemów wewnętrznych, a nawet zyskać jego poparcie. W Rosji już ten mechanizm działa.

W kwestii postawy rosyjskiego społeczeństwa trzeba uwzględnić również fakt, że szerokiemu poparciu dla rządów Władimira Putina sprzyja stosunkowo niewielka wiedza przeciętnych ludzi o świecie zewnętrznym. Do tego jest ona czerpana przede wszystkim z mediów kontrolowanych przez władzę. Relatywnie niewielu mieszkańców Rosji, może kilkanaście procent, ma paszporty. Nie wszyscy ich posiadacze wyjeżdżają za granicę, a tym bardziej poza obszar Wspólnoty Niepodległych Państw. Wielu z tych, którzy odwiedzają kraje zachodnie, uczestniczy →

w zorganizowanych wycieczkach, podczas których trudno im poznać, jak funkcjonują społeczeństwa zachodnie.

Nie należy zapominać, że jeśli chcemy, aby ktoś nam pomógł, powinniśmy najpierw wzmocnić polski system obronny. Zostanie utworzona obrona terytorialna jako odrębny rodzaj sił zbrojnych.

Pamiętajmy, że naszym priorytetem powinny pozostać wojska operacyjne właściwie uкомплектовane i wyposażone. W sprawie obrony terytorialnej jest decyzja kierunkowa, natomiast do dopracowania pozostają szczegóły. Według mnie podstawową kwestią jest to, czy żołnierze służący w formacjach obrony terytorialnej mają operować na bardzo dobrze znanym im terenie, bronić rodzinnych miejscowości, znajdującej się tam infrastruktury krytycznej, jak elektrownie i mosty, czy też w zwartych pododdziałach mają wspierać wojska operacyjne. Skłaniałbym się do pierwszego modelu funkcjonowania, który w najlepszy sposób oddaje funkcję i zadania tej formacji.

A może powinno to być połączenie obu tych opcji?

Ta kwestia pozostaje otwarta. Ale wciąż musimy uwzględnić, że inne zadania miałaby obrona terytorialna na obszarach narażonych na bezpośrednią agresję, a inne w głębi kraju.

Jakie będą relacje między obroną terytorialną a organizacjami proobronnymi?

Pragnę rozwiązać jedną wątpliwość. Obrona terytorialna będzie strukturą wojskową, funkcjonującą w czasie pokoju w ograniczonej skali i, co ważne, kontrolowaną przez państwo. To nie będą tworzone ad hoc grupy samoobrony czy też pospolitego ruszenia. Z taką organizacją nie mamy najlepszych doświadczeń z czasów I Rzeczypospolitej. Także niedawne problemy ukraińskie z zapanowaniem nad batalionami ochotniczymi pokazują, że nie tędy droga. Jest natomiast konieczna bliska współpraca z organizacjami proobronnymi i wierzę, że może ona przynieść bardzo dobre efekty.

Jak liczne powinny być nasze siły zbrojne?

Liczebność sił zbrojnych wraz z odpowiednio przeszkolonymi rezerwami mobilizacyjnymi musi uwzględniać pojawiające się zagrożenia, a także realne możliwości państwa. Dzisiaj dodatkowi żołnierze są potrzebni nie tylko w związku z planem stworzenia wspomnianych jednostek obrony terytorialnej, lecz także do uzupełnienia stanów osobowych w jednostkach operacyjnych. Należy też pamiętać o rezerwie mobilizacyjnej, bo z roku na rok staje się ona coraz bardziej iluzoryczna. Większość z obecnych rezerwistów ma już ponad 30 lat.

Priorytetem powinny pozostać wojska operacyjne właściwie ukompletowane i wyposażone

Czy znajdą się chętni w razie decyzji o powiększeniu sił zbrojnych?

Na pewno. Weźmy jeden przykład: w klasach wojskowych i organizacjach paramilitarnych jest około 60 tys. osób. Załóżmy, że 50% z nich jest materiałem na żołnierzy. Wraz z innymi kandydatami do służby może być to 40–50 tys. osób. Ale szczerze mówiąc, na razie większym problem są ograniczone zdolności do przeszkolenia zgłaszających się chętnych niż ich liczba. Wątpliwe, byśmy mogli szybko od zera wyszkolić kilkadziesiąt tysięcy nowych zawodowych żołnierzy. Przeszkodą są kwestie finansowe, organizacyjne i kadrowe.

Zwolennicy obrony terytorialnej argumentują, że oddziały złożone z ochotników będą znacznie tańsze od wojsk operacyjnych.

Sprawa jest bardziej złożona. Niższe koszty wynikają z faktu, że czas szkolenia takich jednostek w ciągu roku jest proporcjonalnie krótszy i nie mają one w czasie pokoju formy skoszarowanej. Jednak, jak pokazują doświadczenia brytyjskie, jeśli chcemy, aby żołnierze obrony terytorialnej byli przygotowani profesjonalnie, to musimy też pamiętać, że ich szkolenie generuje znaczne wydatki.

Szeregowi zyskali możliwość nabywania uprawnień emerytalnych. Zwolennicy zachowania bariery 12 lat służby wskazywali na wzrost kosztów emerytur oraz ostrzegają przed procesem starzenia się wojska.

Dobrze, że zniesiono ograniczenie uniemożliwiające szeregowym uzyskanie uprawnień do emerytury. Ale jed-

WIZYTÓWKA



PAWEŁ SOLOCH

nocześnie w wojsku muszą powstać mechanizmy selekcji, by nie wytworzyła się sytuacja, że nie możemy przyjąć do armii nowych ludzi, bo mamy 50-letnich szeregowych. Jakkolwiek by to zabrzmiało, wojsko, ze zrozumiałych względów, nie może być zakładem pracy chronionej. Oczywiście wymagania wobec żołnierzy powinny być zróżnicowane zależnie od charakteru służby – inny poziom sprawności jest oczekiwany od żołnierza wojsk aeromobilnych, inny w służbach tyłowych. Pamiętajmy także, że mówimy w tym kontekście również o kilkudziesięciu tysiącach żołnierzy, którzy mają realne doświadczenia z misji w Iraku i Afganistanie. W sytuacji, kiedy nie uczestniczymy na dużą skalę w operacjach zagranicznych, ich odejście byłoby wymierną stratą.

Większe wojsko wymaga większych pieniędzy. Budżet MON-u wynosi co prawda 2% PKB, ale jest nadal znacząco mniejszy niż państw położonych na zachód od Polski. Dodatkowo sporą jego część stanowi emerytura.

Odpowiedź na to pytanie musiałaby być poparta dogłębną analizą. Z mojego doświadczenia z pracy w administracji publicznej wiem, że istnieje mnóstwo tzw. rezerw prostych, związanych np. ze strukturą budżetu, priorytetyzacją zadań czy w wypadku MON-u – przedłużającymi się programami modernizacyjnymi. Co więcej, resortowi obrony nie udało się wydać w ostatnich latach 10 mld zł z przyznanych środków finansowych. Tak więc istotne są nie tylko kwoty, ważne jest też efektywne ich wydawanie.

Jak ocenia Pan programy modernizacji technicznej?

To jedno z najważniejszych przedsięwzięć MON-u. Dziś efekty programów są jeszcze niezauważalne, są też liczne opóźnienia w ich wdrażaniu. Liczę na to, że nowe kierownictwo resortu przeanalizuje proces modernizacji pod kątem przyjęcia odpowiednich priorytetów, a także nada mu właściwą dynamikę.

W jakim kierunku będą szły zmiany w systemie dowodzenia?

Jest tu kilka problemów. Jedną z kluczowych kwestii jest jednoznaczne wskazanie pierwszego żołnierza Rzeczypospolitej, czyli zredefiniowanie roli szefa Sztabu Ge-

neralnego WP. Konsekwencją tego byłaby optymalizacja pozostałych struktur dowodzenia na najwyższym szczeblu. Mówiąc o obecnej roli szefa Sztabu, zwróciłbym uwagę, że chociaż jest on najważniejszym reprezentantem wojskowym Polski w kontaktach zewnętrznych, np. reprezentuje siły zbrojne w Komitecie Wojskowym NATO, to w obecnym systemie dowodzenia jest tylko organem pomocniczym szefa MON-u.

Jeden z pańskich poprzedników na stanowisku szefa BBN-u, minister Władysław Stasiak, wskazywał, że bolączką naszego systemu obronnego jest Polska resortowa,

brak współpracy pomiędzy różnymi instytucjami.

Niestety jest to prawda. Chociaż przyznam, że aczkolwiek zwracano na to uwagę podczas strategicznego przeglądu bezpieczeństwa narodowego, to paradoksalnie sposób, w jaki został on przeprowadzony, potwierdził ten problem. Pomysł mojego poprzednika, ministra Stanisława Kozieja, oceniam pozytywnie, ale przegląd odbył się głównie siłami ośrodka prezydenckiego i niezależnych ekspertów. Bez większego udziału struktur rządowych. We Francji, gdzie jako pracownik MON-u byłem obserwatorem, w podobny proces byli zaangażowani nie dowolnie wybrani eksperci, ale przedstawiciele instytucji odpowiedzialnych za daną dziedzinę. Tak by wszyscy mieli świadomość, czemu to służy. Przegląd był tam formą ćwiczeń struktur państwowych, budowy ich realnej spójności. Co ważne, zawarte w powstałym dokumencie zapisy uzgodniono z odpowiedzialnymi za nie instytucjami, które też te treści zaakceptowały. Podnosiło to wagę dokumentu.

W Polsce mamy do czynienia z atomizacją na poziomie jednego resortu. Dobrym przykładem są służby Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, które do dziś nie mają jednolitego systemu łączności. Na czas Euro 2012 wprowadzono system prowizoryczny, ale i tak najlepiej wówczas sprawdzał się telefon komórkowy. Inną słabością, oprócz rozwiązań technicznych, jest brak jednolitych procedur i struktur organizacyjnych. Dlatego istnieje wiele ośrodków zajmujących się reagowaniem w sytuacjach kryzysowych, a brakuje koordynacji ich działań. Punktem wyjścia do dokonania poważnej oceny stanu obecnego mogło być np. rzetelne przeprowadzenie ćwiczeń struktur państwa. Nieprzypadkowo mówię o rzetelności, bo w ćwiczeniach, które organizowano wcześniej, nie uczestniczyli realni decydenci, lecz zastępujący ich urzędnicy niższych szczebli. ■



MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER, MARCIN GÓRKA

Natychmiastowa reakcja

Wyzwania, z którymi musi się zmierzyć NATO, sprawiły, że szczeciński korpus zaczął przekształcać się w jednostkę wysokiej gotowości bojowej.

Dowództwo Wielonarodowego Korpusu Północno-Wschodniego w Szczecinie jest elementem struktury wojskowej NATO i jako jedyne ma przypisany obszar odpowiedzialności – północno-wschodnią flankę sojuszu. W czasie pokoju do jego zadań należy m.in. monitorowanie sytuacji polityczno-wojskowej wokół granic państw NATO, szczególnie na kierunku północno-wschodnim. Gdyby doszło do konfliktu, zadania zostaną rozszerzone, np. o dowodzenie jednostkami zaangażowanymi w akcję militarną.

GOTOWI NA SZCZYT

Zmiany, jakie zachodzą w korpusie, są efektem decyzji podjętych przez dowództwo sojuszu oraz kraje założycielskie korpusu. Chodzi o wzmocnienie jednostki oraz zwiększenie jej gotowości bojowej. „Przed warszawskim szczytem NATO stoją przed nami cztery zadania. Po pierwsze, musimy być w gotowości do przejścia dowodzenia siłami zadaniowymi bardzo wysokiej gotowości (VJTF) oraz Siłami Odpowiedzi NATO, jeśli zostaną rozmieszczone na północno-wschodniej flance sojuszu. Po drugie, sprawować kontrolę operacyjną nad jednostkami integracyjnymi sił sojuszu (NATO Force Integration Units – NFIU). Po trzecie, monitorować sytuację związaną z bezpieczeństwem w regionie. Po czwarte, koordynować przedsięwzięcia dotyczące rotacyjnej, ale stałej obecności wojsk NATO na wschodniej flance sojuszu”, wylicza ppłk Marcin Walczak, rzecznik prasowy Wielonarodowego Korpusu Północno-Wschodniego.

Aby sprostać tym zadaniom, korpus został rozbudowany. Obecnie w Szczecinie stacjonują żołnierze z 21 krajów. W grudniu 2015 roku w Koszarach Bałtyckich pojawili się oficerowie z Hiszpanii, kolejnego państwa, które postanowiło dołączyć do tej jednostki. W tym roku do Szczecina przyjadą przedstawiciele Grecji i Norwegii. Trwają też rozmowy z Islandią. W ostatnich miesiącach liczba pełniących tu służbę żołnierzy zwiększyła się z 200

do około 400 (polskich stanowisk jest około 170). „Obsadzonych zostało już ponad 85% stanowisk przewidzianych w nowej strukturze”, dodaje ppłk Walczak.

„Przy koordynowaniu działań sił zadaniowych bardzo wysokiej gotowości będą nas wspierały NFIU, czyli jednostki integracyjne. Pracują już one nad tym, by stworzyć całościowy obraz sytuacji na swoim terenie. To dużo więcej niż sama logistyka. Dzięki ich pracy będziemy mogli działać naprawdę szybko. I dlatego jesteśmy tak wyjątkową jednostką w strukturach NATO”, twierdzi niemiecki gen. broni Manfred Hofmann, dowódca korpusu.

Jednostki NFIU, o których mówi gen. Hofmann, znajdują się są w Polsce (Bydgoszcz), na Litwie, Łotwie i w Estonii. To centra, które będą odpowiadać za koordynowanie ćwiczeń NATO, przyjęcie szpicy, a potem regularnych sił sojuszniczych w razie kryzysu militarnego. Postanowiono powołać osiem takich jednostek. Cztery już podlegają korpusowi w Szczecinie. Dołączą do nich kolejne dwie, które powstaną po szczycie NATO – na Słowacji i na Węgrzech. Pozostałe dwie, w Bułgarii i Rumunii, nie będą podlegały jurysdykcji korpusu.

INTEGRACJA I CERTYFIKACJA

Korpus, biorąc udział w ćwiczeniach, przekłada deklaracje polityczne na praktykę. „Przed podniesieniem stopnia gotowości bojowej trzeba sprawdzić nową strukturę jednostki i nowe procedury. Dlatego tak ważne są ćwiczenia, podczas których żołnierze wykonują zadania, jakie przed nimi stoją”, wyjaśnia ppłk Walczak. To właśnie w trakcie ćwiczeń odbędzie się certyfikacja, która ma potwierdzić osiągnięcie gotowości korpusu do wykonywania zadań w bardzo wysokiej gotowości.

Ćwiczenia rozpoczynają się w kwietniu i potrwać do czerwca. Na początek „Brilliant Jump 1” (Genialny skok 1). „Sprawdzą one naszą rolę w systemie powiadamiania NATO”, mówi ppłk Tomasz Garbarczyk, szef wydziału ćwiczeń w korpusie. „Otrzymujemy rozkaz z do-

ROSZADY W KORPUSIE



gen. bryg. Per Orluff Knudsen



płk Krzysztof Król

ZMIANA NA NAJWYŻSZYCH STANOWISKACH CO TRZY LATA

Dowódcami zostają w trybie rotacyjnym polscy i niemieccy generałowie. Również pozostałe stanowiska w grupie dowodzenia, czyli zastępcy dowódcy oraz szefa sztabu, są obejmowane cyklicznie przez przedstawicieli krajów założycielskich szczecińskiej jednostki – Danii, Niemiec i Polski. W ten sposób podkreśla się wielonarodowy charakter korpusu i wspólnie dzieloną odpowiedzialność.

W styczniu 2016 roku płk Krzysztof Król zastąpił na stanowisku zastępcy dowódcy Duńczyka gen. dyw. Agnera Rokosa. Dotychczas służył on jako dowódca Brygady Wsparcia Dowodzenia Wielonarodowego Korpusu Północno-Wschodniego, mieszczącej się w Stargardzie. Duński gen. bryg. Per Orluff Knudsen, który przejął obowiązki szefa sztabu, przed rozpoczęciem służby w Szczecinie był dowódcą 1 Brygady armii duńskiej. Jego poprzednikiem na stanowisku szefa sztabu był niemiecki gen. bryg. Lutz Niemann. ■

wództwa w Brunssum i przekazujemy informację do wykonawców, czyli elementów szpicy. Te ćwiczenia nie będą spektakularne, weźmie w nich udział tylko nasze centrum operacyjne i elementy VJTF. Są jednak bardzo ważne, bo badają przepływ informacji”.

Ostatnim sprawdzianem przed certyfikacją jednostki będą natomiast ćwiczenia „Trident Joust '16”, w których weźmie udział ponad setka oficerów korpusu i NFIU. To trening dowódczo-sztabowy z wykorzystaniem komputerów. „Służy ono przygotowaniu do wykonania czterech zadań: przekazania informacji o tym, co dzieje się w regionie, zabezpieczenia przemieszczenia sił szpicy do Polski, jej użycia i dowodzenia VJTF”, wyjaśnia płk Garbarczyk.

Najbardziej widowiskowymi ćwiczeniami korpusu będą jednak „Brilliant Jump 2”, które odbędą się w dwóch częściach: w Hiszpanii i w Polsce. Potrwać od 2 do 6 maja (część pierwsza, czyli sprawdzenie tzw. procedur alarmowych), a potem od 17 do 22 maja. W tym czasie do Polski zostaną przerzucone faktycznie oddziały szpicy z Hiszpanii. Będzie to międzynarodowy batalion o najwyższym stopniu gotowości, tzn. przygotowany do przerzucenia na miejsce w ciągu kilku dni od otrzymania rozkazu. Trafi do Żagania, gdzie weźmie udział w ćwiczeniach z użyciem wojsk powietrznodesantowych, specjalnych, we współpracy ze zmechanizowanymi. „Będziemy odpowiadać za przerzucenie oddziałów szpicy do Polski, a ćwiczenia poprowadzi dowództwo z Hiszpanii”, wyjaśnia płk Garbarczyk. „To oni dowodzą obecnie szpicą, więc będą także kierować tymi siłami na poligonie. Co istotne, będą to pierwsze poligonowe manewry VJTF”.

„Brilliant Capability” (Doskonała zdolność), trwające od 30 maja do 3 czerwca, to ostatnie ćwiczenia przed szczytem NATO. Odbędą się w czasie, kiedy oddziały szpicy będą w Polsce pod dowództwem hiszpańskim, a korpus będzie kierował jej siłami w ćwiczeniach dowódczo-sztabowych. „Po ich zakończeniu osiągamy zdolność

do wykonania zadań wynikających z »Readiness Action Plan«,” mówi płk Garbarczyk. „Ale nie oznacza to zakończenia ćwiczeń, bo będziemy się przygotowywać do objęcia dowodzenia komponentem lądowym sił NATO”. Docelowo bowiem korpus ma osiągnąć zdolność dowodzenia trzema natowskimi dywizjami wojsk lądowych. „Przetrenujemy to m.in. w czasie „Anakondy '16” w czerwcu tego roku”, mówi płk Garbarczyk. „W ćwiczeniach dowódczo-sztabowych będziemy dowodzić trzema dywizjami: amerykańską i dwiema polskimi. To przygotowanie do tego, czego naprawdę chcielibyśmy uniknąć – regularnego zbrojnego konfliktu”.

NAJBLIŻSZE PLANY

Zgodnie z trójstronnym porozumieniem ministrów obrony państw założycielskich korpusu, w 2017 roku ma on osiągnąć pełną gotowość operacyjną i zdolność do dowodzenia podległymi formacjami. Do końca 2018 roku szczecińska jednostka będzie gotowa do kierowania operacjami połączonymi, czyli we współdziałaniu z elementami komponentów morskich i powietrznych. „W 2020 roku Polska będzie państwem ramowym lądowego komponentu sił najwyższej gotowości, czyli tzw. szpicy NATO”, zapowiedział wiceminister obrony Tomasz Szatkowski podczas wizyty pod koniec 2015 roku w Szczecinie. Oznacza to, że polscy żołnierze przez rok będą pełnić dyżur w szpicy jako jej główna siła w wojskach lądowych. Do współpracy zaprosimy państwa Grupy Wyszehradzkiej.

Lądowy komponent VJTF będzie się składał z około pięciu batalionów. Utworzą je wojska z siedmiu największych europejskich państw sojuszu, które podjęły się roli państwa ramowego. Oprócz Polski są to: Francja, Hiszpania, Niemcy, Turcja, Wielka Brytania i Włochy. W trakcie rocznych dyżurów rolą państwa ramowego będzie sformowanie oddziału, jego integracja, utrzymywanie szpicy w gotowości oraz zgranie z sojusznikami wszystkich kwestii dotyczących działań sił szybkiego reagowania. ■



KRZYSZTOF WILEWSKI

W CIĄGŁEJ GOTOWOŚCI

Centrum Szkolenia Sił Połączonych NATO czekają w tym roku spore zmiany. Jego głównym zadaniem będzie przygotowanie sztabów wielonarodowych korpusów do roli dowództwa szpicy.

Joint Force Training Centre NATO, czyli Centrum Szkolenia Sił Połączonych NATO, powstało w 2004 roku. Zgodnie z nakreśloną w 2002 roku na szczycie w Pradze koncepcją transformacji sojuszu północnoatlantyckiego przewidywano, że razem z bliźniaczymi centrami szkoleniowymi – Joint Warfare Center w Stavanger (w Norwegii) i Joint Analysis Lessons Learned Centre w Monsanto (w Portugalii) – będzie ono przygotowywało żołnierzy NATO do wspólnych operacji militarnych. „Centrum w Stavanger miało się zajmować szkoleniem dowództw i sztabów szczebla strategicznego, a JFTC – taktycznego, czyli np. dowództw korpusów i jednostek wyznaczonych do dyżurów w ramach Sił Odpowiedzi NATO. Dla centrum w Portugalii przewidziano natomiast zadania związane ze zbieraniem wniosków i doświadczeń ze szkoleń”, wyjaśnia gen. bryg. Wojciech Grabowski, obecny dowódca bydgoskiego Centrum Szkolenia Sił Połączonych NATO w Bydgoszczy.

Wkrótce po utworzeniu JFTC priorytetem dla sojuszu stała się misja w Afganistanie. Jego najważniej-

szym zadaniem było więc szkolenie kolejnych zmian regionalnych dowództw ISAF. Tak było do przełomu lat 2014 i 2015, kiedy operację stabilizacyjno-szkoleniową zastąpiła misja mająca na celu przede wszystkim doradczanie. „Naszym zadaniem jest przygotowanie doradców, którzy mają pomagać przedstawicielom afgańskich instytucji centralnych, odpowiadających za bezpieczeństwo państwa”, wyjaśnia generał i podkreśla, że najlepszymi doradcami wcale nie muszą być oficerowie, którzy sprawdzili się w misji bojowej, ponieważ istnieje wyraźna różnica między wojownikiem, trenerem i doradcą. „»Resolute Support« wymaga od uczestników zupełnie innych predyspozycji i umiejętności”, dodaje generał.

ZMIANY PRIORYTETÓW

Przedstawiciele JFTC zwracają uwagę, że przygotowanie doradców na potrzeby tej misji jest sporym wyzwaniem dla centrum, bo uczyć innych, samemu trzeba być biegłym w określonej dziedzinie, a z tym jest trudno ze względu na nieustanną wymianę kadry. „W tym





DOWÓDCY JFTC:

gen. bryg. Peter Kuhnel (2004–2006),
gen. bryg. Agner Rokos (2006–2009),
gen. bryg. Ib Johannes Bager (2009–2011),
gen. dyw. Pavel Macko (2011–2013),
gen. bryg. Wojciech Grabowski (od 2013)

ARCHIWUM JFTC

Największe w NATO ćwiczenia interoperacyjności systemów dowodzenia i łączności, o kryptonimie CWIX, odbywają się w Bydgoszczy od 2011 roku.

roku rotacji będzie podlegać około 40% personelu centrum. Nowe osoby trzeba błyskawicznie wdrożyć do ich zadań. I należy to zrobić tak, aby wymiana naszej kadry w żaden sposób nie wpłynęła na jakość prowadzonych przez nas szkoleń”, wyjaśnia gen. bryg. László Szabo, zastępca dowódcy i szef sztabu JFTC.

Szkoleń, konferencji, kursów, warsztatów i seminariów odbywa się w centrum naprawę sporo. W 2015 roku przez JFTC przewinęło się ponad 3,5 tys. zagranicznych i polskich żołnierzy oraz cywilów. Najwięcej, bo około tysiąca osób, wzięło udział w największych w NATO ćwiczeniach interoperacyjności systemów dowodzenia i łączności o kryptonimie CWIX, które się odbywają w Bydgoszczy od 2011 roku. „Wybrano to miejsce na organizację ćwiczeń, ponieważ dysponujemy wyjątkowo bogatą infrastrukturą teleinformatyczną, umożliwiającą zbudowanie na potrzeby szko-

lenia sieci dowodzenia – o klauzuli NATO Secret – która może się składać z około 500 stanowisk”, podkreśla gen. Grabowski.

Choć CWIX były na pewno numerem pierwszym pod względem wielkości, to z racji wyzwań stojących obecnie przed NATO na szczególną uwagę zasługuje listopadowe szkolenie francuskiego korpusu „Citadel Bonus '15”.

PIERWSZE SZKOLENIE SZPICY

Istniejący od 2005 roku francuski korpus szybkiego reagowania jest jedną z dziewięciu natowskich jednostek poziomu operacyjnego, które są przygotowane do kierowania wielonarodowymi, połączonymi – czyli lądowo-powietrzno-morsko-specjalnymi – operacjami bojowymi. Zgodnie z decyzjami podjętymi podczas szczytu NATO w Walii, to właśnie jednostka francuska jako pierwsza obejmie wiosną 2017 roku dowodzenie nowymi siłami →



NOWE ROZDANIE

DLA JFTC 2016 ROK BĘDZIE WYJĄTKOWY, NIE TYLKO ZE WZGLĘDU NA NOWE WYZWANIA SZKOLENIOWE, ALE RÓWNIEŻ CZEKAJĄCE CENTRUM ZMIANY PERSONALNE.

Lattem na czele JFTC po raz pierwszy w jego 12-letniej historii stanie generał niemiecki, a w ścisłym dowództwie zabraknie generała polskiego. Kiedy w 2004 roku utworzono bydgoskie centrum, państwa wchodzące w skład NATO ustaliły, że na jego czele będzie stać Duńczyk, a zastępcą zostanie Polak. I tak było aż do 2010 roku, kiedy politycy z Europy Środkowej przeformowali nowy rozdział stanowisk, zgodnie z którym kierowaniem centrum mieli się zająć oficerowie z Polski, Czech, Słowacji i Węgier. Stanowisko dowódcy JFTC miało być rotacyjnie (trzyletnia kadencja) obsadzone przez słowackiego i polskiego generała, a stanowisko szefa sztabu przez generała czeskiego i węgierskiego. W czasie reformy sojuszniczych struktur dowodzenia zdecydowano jednak o nowym podziale najwyższych stanowisk w JFTC. Dwoma największymi centrami szkoleniowymi NATO, w Bydgoszczy i w Stavanger, mają naprzemiennie kierować Niemiec i Polak.

W JFTC jest zatrudnionych ponad 100 osób – żołnierzy (z 16 krajów członkowskich sojuszu – Bułgarii, Czech, Francji, Grecji, Hiszpanii, Holandii, Kanady, Łotwy, Niemiec, Norwegii, Polski, Słowacji, USA, Turcji, Węgier i Włoch, oraz dwóch krajów uczestników programu „Partnerstwo dla pokoju” – Gruzji i Ukrainy) i pracowników NATO.

odpowiedzi sojuszu północnoatlantyckiego – siłami bardzo wysokiej gotowości (Very High Readiness Joint Task Force).

Francuzi, którzy do roli Dowództwa Zadaniowych Sił Połączonych NATO przygotowują się w ramach dwuletniego cyklu ćwiczeń dowódczo-sztabowych, zdecydowali, że jedno z ćwiczeń na drodze do uzyskania natowskiej certyfikacji odbędą się w bydgoskim JFTC. I tak w „Citadel Bonus '15” wzięło udział prawie 600 żołnierzy. Oprócz korpusu uczestniczyły w nim sztaby jednostek, które na czas wojny zostaną mu podporządkowane, czyli 5 Brygady Zmechanizowanej z Kanady, 1 Brygady Zmechanizowanej z Danii, 13 Pancernej Brygady z Holandii, Brygady Lekkiej z Belgii oraz 56 Stryker Brigade Combat Team z 28 Dywizji Piechoty US Army.

Gen. dyw. Andreas Berg, zastępca dowódcy francuskiego korpusu, podkreślał, że w JFTC jego podwładni mają okazję przećwiczyć scenariusze, z jakimi nie mierzyli się do tej pory. „Podczas tych ćwiczeń jesteśmy odpowiedzialni nie tylko za działania stricte militarne i koordynację operacji połączonej sił lądowych, lotnictwa, marynarki wojennej i jednostek specjalnych. W czasie »Citadel Bonus '15« przerabiamy również scenariusze, w których odpowiadamy m.in. za misję pokojową pod auspicjami Organizacji Narodów Zjednoczonych, a także za ochronę akcji udzielania pomocy humanitarnej przez Czerwony Krzyż”, wyjaśniał, dodając,

że żołnierze szkolili się również w tym, do czego przede wszystkim powstał korpus, czyli w dowodzeniu operacjami połączonymi.

Szef sztabu korpusu, gen. bryg. Eric Recule, wyjaśniał, że choć dla wielu osób takie szkolenie jak „Citadel Bonus” może wydać się banalnie proste i niepotrzebne, to korpus musi organizować tego typu ćwiczenia sztabowe regularnie z przyczyn formalnych. „Korpus tworzy już 13 państw, gdyż niedawno dołączyła do nas Albania, i co roku jest wymieniane około 25% personelu. Aby zachować wysoki stopień gotowości wszystkich komórek organizacyjnych, musimy przeprowadzać ćwiczenia sztabowe przynajmniej dwa razy w roku, z czego raz jest to szkolenie, podczas którego nie korzystamy z obiektów takich jak JFTC, lecz rozstawiamy połowe dowództwo na poligonie”, komentował gen. Recule, gdy wyjaśniał, dlaczego, przygotowując się do wyjątkowej roli pierwszego dowództwa VJTF, wybrali właśnie JFTC. „Bo tutaj jest wszystko, czego potrzebujemy do ćwiczeń sztabowych na taką skalę”.

Tego rodzaju manewrów należy się w najbliższych latach spodziewać więcej i można z dużym prawdopodobieństwem założyć, że to właśnie one zdominują przedsięwzięcia szkoleniowe JFTC. Misja „Resolute Support” może mieć bowiem swój finał z końcem roku i nawet gdy zastąpi ją kolejna, jeszcze bardziej nastawiona na doradztwo, to będzie to tylko dodatkowe zadanie, bo priorytetem jest reformowanie Sił Odpowiedzi NATO. ■

W numerze 2 „Polski Zbrojnej” w artykule „Fala remontowa” błędnie została podana nazwa 2 Regionalnej Bazy Logistycznej.

Polsce zależy na umacnianiu niepodległości i przywróceniu integralności terytorialnej Ukrainy, dlatego chcemy zrobić wszystko, by jej pomóc w trudnej sytuacji”, zapewniał minister obrony Antoni Macierewicz podczas grudniowego spotkania w Kijowie ze swoim ukraińskim odpowiednikiem gen. armii Stepanem Poltorakiem.



ANNA DĄBROWSKA

MANEWRY POD LWOWEM

Jak zapowiedział wówczas szef polskiego MON-u, jedną z form tej współpracy ma być kontynuowanie programu wspólnych ćwiczeń wojskowych. Takie międzynarodowe manewry pod kryptonimem „Rapid Trident” odbyły się ostatnio w lipcu 2015 roku na ukraińskim poligonie w Jaworowie w obwodzie lwowskim.

Polscy żołnierze z 25 Brygady Kawalerii Powietrznej szkolili się razem z prawie 2 tys. wojskowych z 18 państw, w tym z Ukrainy, USA, Wielkiej Brytanii, Rumunii, Gruzji, państw bałtyckich czy Hiszpanii. Odbywające się cyklicznie ćwiczenia, w których w poprzednich latach uczestniczyli także m.in. spadochroniarze z 6 Brygady Powietrznodesantowej, są elementem współpracy militarnej państw sojuszu z krajami partnerskimi spoza NATO.

Szef polskiego resortu zadeklarował w Kijowie również gotowość wsparcia Ukrainy w jej reformie sił zbrojnych. Ministrowie Polski, Ukrainy i państw bałtyckich podpisali oświadczenie w sprawie rozwoju współpracy w sferze obronnej. Zadeklarowano w nim gotowość rozszerzenia współdziałania dotyczącego szkolenia oraz wojskowej edukacji i medycyny. Opracowaniem szczegółów ma się zająć specjalnie powołana grupa robocza.

KURS PRZYWÓDZTWA

Pomoc w transformacji ukraińskich sił zbrojnych, w tym ich systemu szkolenia, to jedno z postanowień szczytu NATO w Newport. Jest ono realizowane dzięki natowskiemu Defence Education Enhancement Program (DEEP – Ukraine). Jego celem jest wsparcie rozwoju

szkolnictwa wojskowego Ukrainy jako państwa partnerskiego sojuszu i dostosowanie go do standardów NATO. Program jest realizowany od 29 października 2013 roku. Polska odgrywa w nim rolę państwa wiodącego. Oprócz naszego kraju w projekcie biorą udział m.in. Czechy, Niemcy, USA, Wielka Brytania i Kanada.

W lutym 2015 roku ukraińskie ministerstwo obrony zwróciło się do krajów NATO o rozszerzenie DEEP o szkolenie podoficerów.

„Nasi podoficerowie służą na wschodzie Ukrainy i brakuje nam kadr do szkolenia poborowej armii. NATO pomoże nam wypełnić tę lukę”, tłumaczył podczas wizyty w Warszawie gen. bryg. Ihor Tolok, dyrektor departamentu edukacji wojskowej ukraińskiego ministerstwa obrony.

Odpowiadając na to zapotrzebowanie, Polska w październiku 2015 roku zorganizowała w Poznaniu miesięczny kurs dla ukraińskich wojskowych. Jak podaje Bartłomiej Misiewicz, rzecznik prasowy MON-u, pod okiem Po-

laków żołnierze zza wschodniej granicy przygotowywali się do szkolenia podoficerów swojej armii w Szkole Podoficerskiej Wojsk Lądowych oraz Centrum Szkolenia Wojsk Lądowych. W kursie uczestniczyło 30 sierżantów i chorążych, instruktorów armii ukraińskiej, na co dzień służących w tamtejszych centrach szkolenia. Ich pobyt w Polsce był finansowany przez NATO i polskie ministerstwo obrony.

„Pokazywaliśmy im, jak wygląda nasz model kształcenia podoficerów”, mówi rzecznik poznańskiej szkoły chor. Marcin Szubert. Jak dodaje, ukraińscy goście dziwili się, że rolą podoficera w polskiej armii jest dowodzenie. „U nich zadaniem sierżantów i chorążych jest przede wszystkim wykonywanie rozkazów oficera”.

Kurs objął 120 godzin zajęć. Część ogólną poświęcono zagadnieniom związanym z dyscypliną wojskową, regulaminami, kwestiami przywództwa, a także organizacji i prowadzenia zajęć. Podczas bloku specjalistycznego ukraińscy podoficerowie szkolili się z taktyki, te- ➔

Sąsiedzka pomoc

Wspieramy ukraińską armię – organizujemy kursy i szkolenia dla tamtejszych żołnierzy.



renoznawstwa, w ewakuacji rannych z pola walki oraz w strzelaniu.

LECZENIE DUSZ

Udzielamy wsparcia wschodniemu sąsiadowi również w dziedzinie medycyny. W grudniu 2015 roku Wojskowy Instytut Medyczny w Warszawie zorganizował kurs dla ukraińskich psychologów i psychiatrów, którzy zajmują się leczeniem żołnierzy cierpiących na stres pourazowy. Na szkolenie przyjechało dziewięciu oficerów z wschodniej granicy.

Tygodniowy kurs, finansowany ze środków naszego MON-u, objął trzy moduły zajęć: diagnostykę i terapię zaburzeń stresu pourazowego, medycynę kliniczną oraz podstawy medycyny pola walki. Specjaliści z Kliniki Psychiatrii, Stresu Bojowego i Psychotraumatologii WIM dzielili się z uczestnikami szkolenia wiedzą zdobytą w czasie leczenia polskich żołnierzy poszkodowanych na misjach w Iraku i Afganistanie.

Jak tłumaczył kierownik kliniki ppłk dr n. med. Radosław Tworus, także nasi lekarze skorzystali na kursie: „Dla nas doświadczenia ukraińskie związane z leczeniem PTSD są cenne, bo walka w obronie ojczyzny niesie zupełnie inne problemy niż te, które występują u żołnierzy wykonujących zadania bojowe na misjach tysiące kilometrów od domu”.

Podobny kurs odbył się w WIM-ie rok wcześniej. Wówczas do Warszawy przyjechało 16 psychologów, psychoterapeutów i lekarzy, którzy pomagali żołnierzom

oraz cywilom poszkodowanym na skutek walk na wschodzie Ukrainy. „Szkolenie okazało się cennym doświadczeniem i dlatego strona ukraińska zabiegała o organizację kolejnego kursu”, mówi gen. bryg. Grzegorz Gielerak, dyrektor WIM-u.

Podczas spotkania z ukraińskimi kursantami Wojciech Fałkowski, podsekretarz stanu w MON-ie, zapewniał, że nasz resort obrony chce, aby taka współpraca w miarę zapotrzebowania strony ukraińskiej i możliwości WIM-u była kontynuowana.

„Będziemy zwiększać i rozszerzać liczbę kursów dla ukraińskich specjalistów, ekspertów, psychologów i psychia-

US ARMY



INSTRUKTORZY ARMII UKRAIŃSKIEJ SZKOLILI SIĘ Z TAKTYKI, TERENOZNAWSTWA, EWAKUACJI RANNYCH Z POLA WALKI



trów”, mówił wiceminister. Jak dodał, takie szkolenia są też wyrazem solidarności z Ukrainą i sprzeciwem wobec tego, co się dzieje na wschodzie tego kraju.

JEZYKOWE KSZTAŁCENIE

Polska pomaga Ukrainie także w inny sposób. „W kursach specjalistycznych w warszawskiej Akademii Obrony Narodowej i Wojskowym Studium Nauczania Języków Obcych w 2015 roku uczestniczyło 30 osób. W roku 2016 planujemy utrzymanie tego poziomu”, podaje rzecznik resortu obrony. Były to przede wszystkim szkolenia językowe. W AON-ie roczny kurs języka polskiego ukończyło czterech oficerów, a półroczne kursy angielskiego – dziesięciu żołnierzy. W Łodzi natomiast od lutego do lipca 2015 roku angielskiego uczyło się ośmiu ukraińskich wojskowych. „Zostali do nas skierowani na drugi i trzeci poziom nauki”, podaje ppłk Romuald Orzeszko, oficer prasowy WSNJO.

Kilku oficerów zza wschodniej granicy wzięło też udział w specjalistycznych kursach taktycznych i operacyjnych w AON-ie: rocznych Podyplomowych Studiach Polityki Obronnej oraz dwóch krótszych kursach – Advanced Strategic Operational Course i Higher Operational Tactical Course. Jak tłumaczy Marek Pawlak, wykładowca cross culture awarness (świadomości międzykulturowej) w AON-ie, są one przeznaczone dla osób przygotowujących się do pracy w sztabach i często są warunkiem uzyskania przez nich wyższych stopni wojskowych. Ponadto w 2015 roku czterech ukraińskich oficerów uczestniczyło w szkoleniu na temat standaryzacji organizowanym przez Wojskową Akademię Techniczną we współpracy z NATO.

Bartłomiej Misiewicz przyznaje, że zaangażowanie Polski w DEEP jest bardzo dobrze oceniane przez Kijów oraz sojuszników z NATO. „Planujemy kontynuację tego programu”, zapewnia rzecznik. ■



Międzynarodowe manewry pod kryptonimem „Rapid Trident” odbyły się na ukraińskim poligonie w Jaworowie w obwodzie lwowskim.

PATRONAT POLSKI ZBROJNEJ

TargiKielce
EXHIBITION & CONGRESS CENTRE

*Honorowy Patronat
Prezydenta
Rzeczypospolitej Polskiej
Andrzeja Dudy*



MSPO



XXIV Międzynarodowy Salon
Przemysłu Obronnego

6-9.09.2016
Kielce

mspo.pl

ŁUKASZ ZALESIŃSKI

Realna jazda w wirtualnym świecie

W symulatorze Jaskier, jednym z najnowszych nabytków polskiej armii, w mgnieniu oka z poligonu w Biedrusku przenoszę się na afgańską pustynię.

Stanowisko instruktora z czterema monitorami, kilka metrów dalej platforma hydrauliczna, a na niej niewielka kapsuła, której przód został obłożony kolejnymi monitorami. Jeden z najnowszych nabytków polskiej armii wygląda może niepozornie, ale ma ogromne możliwości. Żołnierze z poznańskiego Centrum Szkolenia Wojsk Lądowych mogą o nim opowiadać godzinami. Opowiadać i chwalić. „Ale w sumie, co tu dużo mówić? Najlepiej spróbować samemu”, mówi st. sierż. Bogusław Tchórzewski, jeden z instruktorów ośrodka szkolenia kierowców, który stanowi część CSWL. Zatem spróbuję.

DOKOŁA ŚWIATA

Wnętrze symulatora Jaskier do złudzenia przypomina kabinę, w której zasiada kierowca kołowego transportera opancerzonego Rosomak. Kontrolki, liczniki, przekładnia od automatycznej skrzyni biegów, kierownica, pedały gazu i hamulca... „Właściwie nie zgadza się tylko jedno. Zamiast radia, jest tutaj naklejka”, uśmiecha się st. sierż. Arkadiusz Flis, instruktor z poznańskiego ośrodka. Chwilę później próbuję zmierzyć się z tą maszyną. Teraz trzeba jedynie zablokować fotel, podsunąć go do przodu i za pomocą niewielkiej automatycznej dźwigni podnieść kilkadziesiąt centymetrów w górę. Tak jak w prawdziwym rosomaku.

„Kierowca może prowadzić pojazd, spoglądając przez szybę. W warunkach bojowych zostaje ona jednak złożona, a luk zamknięty. Wówczas patrzy przez peryskop i pole widzenia zawęża się do niewielkiego paska”, tłumaczy st. sierż. Tchórzewski. Spróbuję wariantu pierwszego. Drugi mógłby się okazać zbyt karkołomny... Zakładam słuchawki z mikrofonem (dzięki nim mogę się kontaktować z instruktorem, który siedzi na swoim stanowisku) i przekręcam tkwiący w stacyjce kluczyk. Po wnętrzu kapsuły rozchodzi się warkot potężnego silnika. Przede mną droga gruntowa, drzewa, kępy krzaków. Kątem oka dostrzegam stojący w nich czołg i żołnierzy. Jesień, pogoda taka sobie, za chwilę pewnie zacznie padać deszcz. „Na monitorach widać fragment naszego poligonu w Biedrusku, wiernie odwzorowany”, słyszę w słu-



chawkach. „A teraz, proszę zwolnić hamulec ręczny, opuścić dźwignię biegu na D i naprzód!”.

Dodaję gazu. Najpierw po drodze – lekko, łatwo i przyjemnie. „30 km/h? Co tak wolno?!”, słyszę w słuchawkach. Fakt, rosomak śmiało może dobić do setki, a nawet ją przekroczyć. Został też stworzony przede wszystkim po to, by poruszać się po bezdrożach, chaszczach, nierównościach. Skracam więc z gruntówki między drzewa i... zaczyna się prawdziwa jazda. Kabiną buja na wszystkie strony, pojazd podskakuje na wybojach i kamieniach, na które raz po raz wyskakuje wprost z zarośli. Bywa, że przemyskam przez płonące ogniska. W końcu ześlizguję się do wybetonowanego rowu pełnego wody. „OK, trochę zbyt szybko. Zaraz wyciągniemy”, słyszę.

Po chwili mój rosomak znów stoi prosto, a ja robię najazd na tak zwaną przeszkodę wodną. Potem powoli, bardzo powoli, w dół po betonowej płycie. W pewnym momencie mam przed oczami tylko wodę, ale wreszcie zjeżdżam i brodę po dnie zbiornika. „Rosomak potrafi pływać, został nawet wyposażony w pędniki wodne, czyli specjalne śruby, które mu to ułatwiają. Tego rodzaju przeprawa wymaga jednak zabezpieczenia włączów i pokryw”, tłumaczy st. sierż. Flis. „Bez takich przygotowań, z marszu, rosomak może pokonać przeszkodę wodną o głębokości sięgającej 1,4 m”, dodaje.

Tymczasem dojeżdżam do końca zbiornika. Aby się wydostać z betonowej niecki, muszę solidnie dodać gazu. Przelązczam bieg na trójkę i wciskam pedał. Silnik zwiększa obroty i transporter przyspiesza. Na progu zbiornika przechrzył jest tak duży, że przez chwilę widzę tylko niebo. Wreszcie ląduję na płaskim i znów mam przed sobą las. Za chwilę ponownie będę pokonywał nieckę z wodą, tym razem jednak przejadę po prowizorycznym moście, tuż za kolejnym rosomakiem. Jeden z instruktorów steruje nim wprost z konsoli. I to by było tyle. W ciągu kilkunastu minut objechałem stosunkowo niewielki obszar poligonu, czas jednak zmienić teren. Żeby było szybciej, przechodzę do sąsiedniego symulatora, w którym została już przygotowana nowa sceneria.

Tym razem pustynia. Jak okiem sięgnąć piasek i kamienie, w tle ciemne sylwetki gór. Ruszam przed siebie po rudej od pyłu gruntówce, która wiję się między złocistymi wydmi. Na niewielkim monitorze, który pokazuje obraz z kamery zamontowanej w tylnej części pojazdu, widzę, jak umykają kolejne metry. Gdzieś z boku znów pojawiają się czołgi i transportery opancerzone. „Taki krajobraz jest charakterystyczny dla Iraku czy Afganistanu, choć sceneria nie odzwierciedla konkretnego miejsca”, tłumaczy st. sierż. Flis. Dopóki jadę dro-

gą, wszystko gra. Kiedy jednak zbaczam na pustynię, rosomak zaczyna „pływać” na sypkiej, nierównej nawierzchni, a błędnik powoli szaleje. „Dobra, pojeździśmy po mieście”, rozlega się w słuchawkach. Po chwili jestem na asfaltowej szosie, a na wprost w szybkim tempie rosną zbliżające się kępy palm i żółtawe kostki domów. Przed miastem trzeba zwolnić, by ominąć odlane z betonu zapory checkpointu. Skręt w prawo, skręt w lewo, nagle huk i wstrząs. Dodaję gazu, silnik zaczyna wyć, a transporter stoi w miejscu. Najwyraźniej utknałem na jednym z betonowych bloków. Udać mi się z niego stoczyć dopiero przy pomocy instruktora. Potem jeszcze szybki przejazd przez miasto i koniec. Teraz porozmawiamy.

ROSIEK, POSTRACH TALIBÓW

Kilkadziesiąt minut przeleciało niemal niepostrzeżenie. Taka jazda wciąga... i to bardzo. Szczerze mówiąc, jaskier jest trochę jak zabawka dla dużych chłopców. A raczej byłby, gdyby nie fakt, że ma do spełnienia niezwykle ważne zadanie. Ale po kolei.

Rosomak to jedna z wizytówek polskiej armii. Wążący ponad 20 t transporter ma silnik o mocy blisko 500 KM i napęd na wszystkie osiem kół. Na drodze rozwija prędkość do 120 km/h. Potrafi pływać, brodzić, pokonywać wzniesienia o nachyleniu sięgającym 60%, rowy szerokie na 2 m i przeszkody pionowe wysokie na 0,7 m. Pojazd, w zależności od wersji, może być wyposażony w różne rodzaje broni kalibru od 7,62 do 120 mm (bojowy wóz piechoty dysponuje np. szybkostrzelną armatą kalibru 30 mm i karabinem maszynowym). Stała załoga rosomaka liczy trzech żołnierzy, w tylnej jego części jest miejsce dla kolejnych – ich liczba waha się od sześciu do ośmiu. Rolą pojazdu jest przede wszystkim transport żołnierzy na pole walki.

Rosomak został skonstruowany przez Finów z firmy Patria. Pojazdy dla polskiej armii dzięki licencji produkują zakłady w Siemianowicach Śląskich. Przez kilkanaście lat z taśm fabryki zjechało około 700 transporterów. Były one wykorzystywane podczas misji w Afganistanie. Talibowie traktowali je z olbrzymim respektem i nazywali „zielonymi diabłami”.

Kierowcy „rośków” są szkoleni właśnie w Poznaniu. „Dotychczas do służby przygotowaliśmy około 2 tys. żołnierzy. Najwięcej, kiedy Polska brała udział w afgańskiej misji ISAF”, wspomina kpt. Piotr Wójcik, rzecznik Centrum Szkolenia Wojsk Lądowych. Zdobywali oni wiedzę na salach wykładowych i w terenie, za kierownicami transporterów. Teraz, po dekadzie od wejścia rosomaków do służby, instruktorzy dostali do ręki nowe, niezwykle cenne narzędzie.

SZKOLENIA DLA KIEROWCÓW **KTO ROSOMAK** Z WYKORZYSTANIEM TRENAŻERA ZGODNIE Z PLANEM POWINNY SIĘ ROZPOCZĄĆ JESZCZE W MARCU

Trenażery Jaskier to dzieło specjalistów z Autocamp Management, Rosomak SA i Trinity Interactive. Na razie polska armia dostała cztery urządzenia. Dwa trafiły do Poznania, po jednym do Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Lądowych we Wrocławiu i 12 Brygady Zmechanizowanej w Szczecinie. Do 2017 roku ich liczba ma się zwiększyć do dziewięciu, z których cztery będą wykorzystywane przez poznańskie Centrum Szkolenia Wojsk Lądowych. Za trenażery oraz przygotowanie do pracy instruktorów wojsko zapłaci łącznie 22 mln złotych.

Symulator, oprócz kabiny, składa się z szafy, w której znajdują się komputery sterujące oraz stanowisko dla instruktora. Podczas szkolenia korzysta on z czterech monitorów. Na pierwszym może oglądać kierowcę, na drugim przyrządy wewnątrz kabiny, na trzecim roztacza się widok analogiczny do tego, który ma przed oczami kursant, i wreszcie monitor czwarty – z mapami. „Możemy ustawić szkolenie tak, by pojazd poruszał się nie tylko po poligonie czy terenie pustynnym, ale również po mieście położonym na naszej szerokości geograficznej, w górach czy dolinie rzeki. Do tego dobieramy dowolną porę roku, doby czy warunki atmosferyczne”, wylicza st. sierż. Tchórzewski. Instruktor jeszcze przed uruchomieniem wirtualnego silnika może nakazać szkolącemu się żołnierzowi, by ten w określonym czasie np. odszukał i zwolnił ręczny hamulec. Wyznacza też trasę, którą pojedzie transporter. Potem może ją modyfikować i mnożyć przeszkody. „Sygnalizujemy też, że w baku zaczyna brakować paliwa albo że w pojeździe urwało się koło. Kursant musi zachować chłodną głowę i szybko zareagować”, podkreśla instruktor. W pierwszym wypadku kierowca rosomaka powinien przełączyć się na zapasowy zbiornik, w drugim kontynuować jazdę z zachowaniem szczególnej ostrożności albo podwiesić koło na specjalnej linie.

Na tym jednak nie koniec. Do wirtualnego świata można wprowadzać żołnierzy i różnego rodzaju wojskowe pojazdy, które będą stały na trasie naszego transportera albo ją przecinały. Mówiąc to, jeden z instruktorów



ŁUKASZ ZALESIŃSKI

otwiera specjalną zakładkę, a na ekranie pojawia się sprzęt używany przez wojska Polski, Niemiec, Rosji. Różne typy czołgów, transportery, bojowe wozy piechoty, armatohaubice, samoloty, drony. „A teraz proszę się przygotować na coś specjalnego”, uśmiecha się st. sierż. Flis. Po chwili wśród szarych bloków widać... okręt transportowo-minowy. Jest trochę jak zwiastun przyszłości. System przez cały czas jest ulepszany. Wkrótce wirtualny świat rozrośnie się o morze. „Będziemy mogli przygotowywać kierowców do udziału w operacjach załadunku i rozładunku sprzętu na okręty”, zapowiada st. sierż. Tchórzewski. A na tym nie koniec nowości.

„Cztery symulatory, które staną u nas w przyszłości, będą się wzajemnie widzieć. Dzięki temu kierowcy zyskają możliwość nauki jazdy w kolumnie transporterów”, wyjaśnia st. sierż. Flis. Mało tego, jak zapewniają producenci, jaskier może zostać połączony ze śnieżnikiem, czyli systemem szkolno-treningowym do broni strzeleckiej, z którego już teraz korzysta CSWL. W końcu w realnym świecie załoga rosomaka to jeden organizm.

SKOK DO SYSTEMU

Przyszli kierowcy transportera opancerzonego Rosomak muszą się legitymować prawem jazdy kategorii C. „Kurs trwa 45 dni. Żołnierze uczą się teorii związanej z budową i eksploatacją pojazdu, muszą opanować elementy łączności, ale też chemii, bo to pomoże im w obsłudze urządzeń filtrowentylacyjnych. Potem żołnierze zapoznają się z samym transporterem i rozpoczynają jazdę na poligonie w Biedrusku”, wyjaśnia kpt. Wójcik. Każdy z kursantów podczas szkolenia pokonuje dystans około 150 km. „Symulator pozwoli znacząco ograniczyć związane z tym wydatki, nie wspominając już o możliwości przećwiczenia sytuacji awaryjnych i jazdy w bardzo różnych warunkach”, podkreśla kpt. Wójcik i zapowiada, że w przyszłości nawet jedna trzecia kursu może być prowadzona na symulatorze. ■



„Sprawdzam wagę,
mierzę obwód w klatce piersiowej,
badam wzrok i ciśnienie krwi”,
wylicza pielęgniarka
Maria Baczewska.

ANNA DĄBROWSKA

ARMIA WZYWA

Obowiązkowego poboru nie ma, mimo to wiele osób pyta o możliwość służby w wojsku.

Jeszcze nie wiem, co będę robił w życiu. Do matury mam rok, więc jest czas na zastanowienie, ale służbę w armii też biorę pod uwagę”, mówi Dawid Dmochowski, uczeń trzeciej klasy w Zespole Szkół Zawodowych nr 1 w Ostrołęce. Dawid jest jednym z ponad 240 tys. dziewiętnastolatków, którzy w tym roku dostali wezwanie na kwalifikację wojskową. W ciągu trzech miesięcy przed około 400 powiatowymi komisjami lekarskimi muszą się zjawić głównie mężczyźni urodzeni w 1997 roku, czyli ci, którzy w minionym roku weszli w dorosłość.

PREDYSPOZYCJA DO SŁUŻBY

„Nasza wojskowa komenda uzupełnień swoim zasięgiem obejmuje trzy powiaty, a kwalifikacje na tym terenie przeprowadzają cztery powiatowe komisje lekarskie”, mówi ppłk Krzysztof Gemza, wojskowy komendant uzupełnień w Ostrołęce. Wezwanie do stawienia się przed komisją dostali w pierwszej kolejności młodzi mężczyźni z Ostrołęki. Następni będą panowie z powiatów: przasn-

skiego, ostrołęckiego i makowskiego. „W sumie wezwanych zostało 1600 osób z głównego rocznika”, wylicza mjr Sławomir Kośnica, szef wydziału rekrutacji WKU. Po tej liczbie widać, że w Polsce nastąpił spadek demograficzny. „Jeszcze 13 lat temu na pobór zgłaszało się z naszego rejonu około 2400 chłopaków”, dodaje major.

Do stawienia się na wezwanie komisji zobowiązuje ustawa o powszechnym obowiązku obrony. Za jego niedopełnienie grozi grzywna lub kara ograniczenia wolności, a w skrajnych wypadkach można zostać przymusowo doprowadzonym przez policję. „W zeszłym roku zjawili się u nas 94% wezwanych osób, pozostali wyjechali do pracy za granicę albo zmienili adres zameldowania”, wyjaśnia ppłk Gemza. Jak dodaje, każdy przypadek nieobecności jest sprawdzany i wyjaśniany. „W ostatnim czasie nie było jednak sytuacji, aby trzeba było wobec kogoś wdrożyć czynności karne”.

Jest dziewiąta rano. W świetlicy w siedzibie ostrołęckiego WKU czeka blisko 30 młodych ludzi. Zjawili się



„Odebrałem książeczkę wojskową z kategorią A i za rok, po maturze, wrócę do WKU złożyć papiery do wojska”, obiecuje Tomek.

„Chcę iść do wojska, myślę o Wyższej Szkole Oficerskiej Wojsk Lądowych we Wrocławiu”, zdradza Tomasz Dubaj.

już godzinę temu i wysłuchali informacji dotyczących służby wojskowej i kwalifikacji. „Niestety w szkołach podczas lekcji z edukacji dla bezpieczeństwa uczniowie niewiele dowiadują się o wojsku”, narzeka mjr Koźnica. Dlatego oficer tłumaczył, że w 2009 roku wraz z zawieszeniem obowiązkowej służby wojskowej kwalifikacja zastąpiła pobór. Jej celem jest zebranie informacji o stanie zdrowia młodych ludzi pod kątem ich predyspozycji do służby w wojsku. „Przeprowadzana jest przez wojewodów przy współudziale szefów wojewódzkich sztabów wojskowych oraz starostów, wójtów, burmistrzów lub prezydentów miast”, mówił oficer. Jak dodał, kwalifikacja kończy się orzeczeniem o kategorii zdolności do czynnej służby wojskowej.

A CZY D?

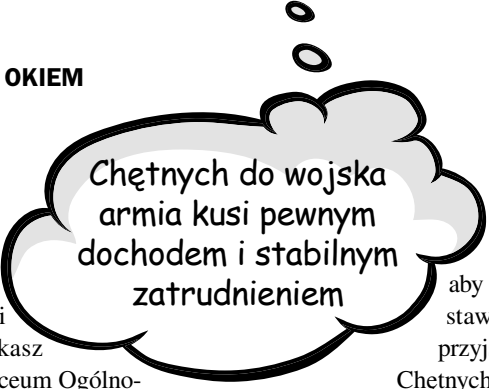
Kategoria A oznacza, że młody człowiek jest zdolny do takiej służby w czasie pokoju i wojny, B – że jest czasowo niezdolny z powodu stanu zdrowia i musi przystąpić ponownie do kwalifikacji. Natomiast kategorię D wydaje się przy niezdolności do czynnej służby w czasie pokoju, a E oznacza trwałą i całkowitą niezdolność do służby, za-

równy w czasie pokoju, jak i wojny. „Każdy, kogo komisja lekarska uzna za zdolnego do czynnej służby, zostanie książeczkę wojskową i po 14 dniach zostanie przeniesiony do rezerwy”, wyjaśnia mjr Koźnica.

Komisja w Ostrołęce pracuje pełną parą. Pierwszym etapem, przez który przechodzą młodzi ludzie, jest wpisanie ich do ewidencji wojskowej. „Chłopcy podają mi swoje dane osobowe, zostawiają część przyniesionych dokumentów, w tym dowód osobisty, aktualną fotografię oraz dokumenty potwierdzające wykształcenie albo zaświadczenie o kontynuacji nauki”, wyjaśnia Ewelina Kudybar. Na tej podstawie jest dla nich szykowana książeczka wojskowa, są też wpisywani do bazy danych.

„Kolejnym, chyba najważniejszym punktem kwalifikacji jest badanie lekarskie. „Sprawdzam wagę, mierzę obwód w klatce piersiowej, badam wzrok i ciśnienie krwi”, wylicza Maria Baczewska, pielęgniarka, która w komisji lekarskiej zasiada od wielu lat. Lek. med. Janusz Skibniewski przeprowadza krótki wywiad medyczny, pytając o przebyte choroby i operacje, bada ogólną sylwetkę, sprawność ruchową, osłuchuje serce i płuca, sprawdza stan uzębienia oraz pyta o problemy ze słuchem. Okazuje się, że młodzi ludzie najczęściej mają kłopot ze wzrokiem. „Jeśli mam wątpliwości, kieruję ich do specjalisty na dodatkowe ba-





Chętnych do wojska
armia kusi pewnym
dochodem i stabilnym
zatrudnieniem

dania”, mówi dr Skibniewski. Z takiej dodatkowej konsultacji u okulisty wraca właśnie Łukasz Białobrzewski, maturzysta I Liceum Ogólnokształcącego w Ostrołęce. „Mogę służyć w wojsku z kategorią A, ale w szeregi armii się nie wybieram”, mówi licealista. Jak dodaje, marzy o prawie na uniwersytecie w Warszawie, Wrocławiu lub Gdańsku. „Zobaczę, gdzie uda mi się dostać”.

Lekarzowi badani przedstawiają też ewentualną dokumentację medyczną dotyczącą chorób czy przebytych operacji. „Kilkanaście lat temu, gdy służba w armii była obowiązkowa, zdarzało się, że chcący uniknąć powołania młodzi ludzie przychodzili do nas, przynosząc plecaki pełne rozmaitych zaświadczeń i wychodzili dumni, gdy udało się im dostać kategorię D”, opowiada Baczewska. Zresztą sposobów uniknięcia służby było więcej: udowadniali, że od wczoraj prowadzą gospodarstwo rolne, firmę lub też dostali się właśnie do szkoły. „Były nawet uczelnie, które przyjmowały chętnych w lutym, kiedy startował pobór”, podaje mjr Koźnica. Dzisiaj jest odwrotnie – zdarza się, że młody człowiek celowo ukrywa swoje problemy ze zdrowiem, byle otrzymać kategorię A. „Przysięga się ona przy staraniu się o pracę w służbach mundurowych, czasem też pytają o nią prywatni pracodawcy”, tłumaczy w WKU. Poza tym, jak dodaje jeden z młodych ludzi, kategoria A w pewien sposób nobilituje. Ppłk Gemza opowiada, że zdarza się, iż do WKU przychodzą panowie, którzy kilkanaście lat temu otrzymali kategorię D, i teraz pytają, jak ją zmienić na A, bo wyzdrowieli i czeka na nich dobra praca w policji. „Niestety mamy dla nich złą wiadomość, po 14 dniach od uprawomocnienia się postanowienia komisji kategorii nie da się już zmienić”, wyjaśnia pułkownik.

Dla Emila Filipowicza, maturzysty III LO, kwalifikacja ma podłoże bardziej ideologiczne niż praktyczne. „O wojsku nie myślę, chcę zdawać na reżyserię dźwięku na Politechnikę Wrocławską”, opowiada. Mimo to cieszy go, że dostał kategorię A. „W razie potrzeby będę mógł bronić kraju”, stwierdza z dumą. I dodaje, że nie po to tylu ludzi zginęło, walcząc za Polskę, aby teraz w razie napaści na nasz kraj uciekać, zamiast bronić ojczyzny.

STABILNA PRACA

Z przyznaną kategorią młodzi ludzie trafiają do Małgorzaty Maryniak, przedstawicielki WKU. „Pytam ich, czy są zainteresowani służbą w armii. Wielu nie wyklucza, że zawodową karierę zwiążą z mundurem i pytają m.in. o możliwości studiowania w szkołach wojskowych”. Pani Małgorzata informuje ich, że warto odwiedzić 14 marca organizowane w Ostrołęce targi szkolnictwa wojskowego,

aby dowiedzieć się szczegółów od przedstawicieli uczelni. „Zawsze też można przyjść do nas po dodatkowe informacje”.

Chętnych do wojska armia kusi pewnym dochodem i stabilnym zatrudnieniem. „Na początek szeregowy zawodowy może liczyć na 2,4 tys. zł pensji na rękę, do tego dochodzi dodatek mieszkaniowy. Zależnie od miejsca zamieszkania dostanie w sumie np. w Przasnyszu 3 tys. zł na rękę, a w Warszawie ok. 3,5 tys. zł”, podaje mjr Koźnica. Po pozytywnym przejściu kwalifikacji chętni trafiają na czteromiesięczną służbę przygotowawczą. Kolejnym etapem są Narodowe Siły Rezerwowe, po których można ubiegać się o służbę zawodową. „W zeszłym roku powołaliśmy 50 szeregowych zawodowych, do uczelni wojskowych zdawało 34 chętnych, ale dostały się tylko cztery osoby”.

O możliwość służby w siłach zbrojnych pytają szczególnie absolwenci klas wojskowych i mundurowych. „Takie klasy istnieją w Ostrołęce w Zespole Szkół Zawodowych nr 2 i II Społecznym LO im. Tony’ego Halika, a także w szkołach w Kadzidle, Przasnyszu i Makowie”, wylicza ppłk Gemza. Jednym z „mundurowych” uczniów jest Tomasz Dubaj z trzeciej klasy Technikum Mechanicznego w ZS nr 2. „Chcę iść do wojska, myślę o Wyższej Szkole Oficerskiej Wojsk Lądowych we Wrocławiu”, deklaruje. Jak opowiada, podobają mu się zajęcia wojskowe i ćwiczenia na poligonach. „Mam kategorię A, i po maturze wrócę tutaj złożyć papiery”, obiecuje.

Ostatnim etapem kwalifikacji jest odebranie z rąk Eweliny Kudybar książeczki wojskowej. „Poszło szybko i bez stresu”, cieszy się Łukasz Rozwadowski. Choć ma już 23 lata, dopiero teraz zjawił się przed komisją. „Pracowałem za granicą i znów tam wracam”, wyjaśnia. Obowiązek stawienia się do kwalifikacji mają bowiem także osoby, które nie ukończyły 24 lat, a do tej pory, np. z powodów zdrowotnych czy wyjazdu, nie przechodziły kwalifikacji. Wzywane są też panie urodzone w latach 1992–1997, które mają umiejętności przydatne do czynnej służby wojskowej, oraz tegoroczne absolwentki szkół i uczelni medycznych, weterynaryjnych i kierunków psychologicznych. Jak wyjaśniają pracownicy WKU, dziewczęta zapraszane są osobno, zwykle w przedostatni dzień pracy komisji, aby nie krępowały się obecnością chłopców. „W tym roku stawi się ponad 30 pań, wśród nich jedna ochotniczka z klasy wojskowej, która chce się zgłosić do pełnienia służby”, podaje major.

Jest wczesne popołudnie, kiedy komisja kończy na dziś pracę. Jutro rano spotkają się w tym samym składzie. „W tym roku na naszym terenie kwalifikacja potrwa do 8 kwietnia”, informuje ppłk Gemza. ■

PLUT. PIOTR ŁĄCZYŃSKI


Data i miejsce urodzenia:

26 marca 1983 roku,
Ciechanów

W wojsku służy od: 9 maja 2006 roku.

Tradycje wojskowe: ojciec i brat są żołnierzami zawodowymi.

Edukacja wojskowa: zasadnicza służba wojskowa w CSŁil, szkoła młodszych specjalistów łączności. Kurs podoficerski SPWL w Zegrzu.

W umundurowaniu polskiego żołnierza

podobają mi się: w połowym jego funkcjonalność i niepowtarzalny, wyróżniający się na tle mundurów innych armii, kamuflaż. Galowy mundur to szyk, elegancja – strój, który budzi podziw i szacunek.

Zajmowane stanowisko: dowódca wozu dowodzenia.

Jednostka wojskowa: Centrum Szkolenia Łączności i Informatyki im. gen. bryg. Heliodora Cepy w Zegrzu.

Najlepsza broń: to broń precyzyjna, wyrządzająca najmniej szkód osobom postronnym, eliminująca tylko wskazany cel, karabin wyborowy kalibru 7,62 mm TRG22 Sako.

Zostałem żołnierzem, bo: od dzieciństwa o tym marzyłem. Z armią jestem związany od lat, bo mój ojciec jest oficerem, a brat podoficerem. Imponuje mi zawołanie kadeków szkoły rycerskiej „nic dla mnie, wszystko dla ojczyzny”. Staram się tą myślą kierować.

Misje i ćwiczenia:
XXX zmiana PKW UNIFIL w Libanie.

Gdybym mógł zmienić coś w wojsku: umożliwiłbym żołnierzom korpusu szeregowych zawodowych służbę dłuższą niż przez 12 lat. Uzależniłbym to od ich doświadczenia, wiedzy, nabytych umiejętności i sprawności fizycznej.



Przełomowe wydarzenia w życiu: przysięga wojskowa i kurs podoficerski w Szkole Podoficerskiej Wojsk Lądowych w Zegrzu. Ważna była także misja ONZ w Libanie, bo czułem wtedy, że moja praca jest naprawdę potrzebna i niosę komuś pomoc.



Moje największe osiągnięcie: w życiu prywatnym to narodziny synów: Antoniego i Franciszka. W zawodowym zaś tytuły „Podoficer 2010 Roku” w 1 Legionowskim Batalionie Dowodzenia i „Podoficer 2015 Roku” w Centrum Szkolenia Łączności i Informatyki w Zegrzu. Oba zostały mi nadane przez moich kolegów i przełożonych – a wyróżnienie przez własne środowisko to największa nagroda.

Co robię po służbie: spełniam się jako mąż i ojciec, daje mi to odskocznię od armii, wycisza i odpręża. W wolnych chwilach biegam i jeżdżę na rowerze.

OPRAC. MAGDALENA KOWALSKA - SENDEK
FOT. KRZYSZTOF BARAN

PIOTR BERNABIUK

Górale na bewupach

1 Batalion Strzelców Podhalańskich specjalizuje się w prowadzeniu operacji w górach. Jest jednak przygotowany do działań obronnych na terenie całego kraju, a także do służby w misjach poza jego granicami.

Ubiegły rok 1 Batalion Strzelców Podhalańskich zakończył ćwiczeniami sprawdzającymi zgranie i skuteczność bojową jednostki. Egzaminujący, płk Zenon Brzusko, dowódca 21 Brygady Strzelców Podhalańskich, nieustannie coś zmieniał, wprowadzał nowe zagrożenia, zastawiał zasadzki. Wszystko się odbywało na 100%. Żołnierze działali całym batalionem. Dowódcy plutonów zmechanizowanych kierowali ogniem artylerii samobieżnej. Kompania wsparcia strzelała z moździerzy. Używano broni przeciwpancernej. Po egzaminie, nie czeka-

jąc nawet na ocenę przełożonych, w batalionie przeanalizowano niedociągnięcia. Już 4 stycznia, wprost z balu sylwestrowego, jak żartowali podhalańczycy, wyjechali na poligon w Nowej Dębie, by na gorąco skorygować popełniane wcześniej błędy.

W trakcie planowania zajęć poligonowych, jeszcze przed wyjazdem, zadania były tak układane, żeby na miejscu wszystko

POZNAJCIE
Z NAMI SPECYFIKĘ
SŁUŻBY ŻOŁNIERZY W RÓŻ-
NYCH JEDNOSTKACH POLSKIEGO
WOJSKA. W CYKLU „WOJSKO
OD KULIS” PRZECZYTACIE O MARY-
NARZACH, PILOTACH,
LOGISTYKACH, ARTYLE-
RZYSTACH, PRZECIW-
LOTNIKACH CZY
CHEMIKACH.



tworzyło jedną całość. Dowódca, wykorzystując zgranie pododdziałów, urozmaicał zadania, tak żeby nakładały się na siebie szkolenia kompanii zmechanizowanych dowodzonych przez kpt. kpt. Marcina Sudka, Grzegorza Rudnickiego, Marka Włodarczyka oraz por. Mariusza Majkę. Żeby w pełni wykorzystać rozległe przestrzenie poligonu, żołnierze działali na bojowych wozach piechoty lub pieszo. Skrycie wykonywał tam też swą robotę pluton rozpoznawczy. Zwiadowcy por. Przemysław Zaprzeńskiego rozpoznawali ruchy wojsk, występując w kilku rolach jednocześnie – prowadzili rozpoznanie na rzecz dowódcy batalionu, dla jednej z ćwiczących kompanii działali jako patrol rozpoznawczy, dla drugiej jako zwiadowcy przeciwnika. Wynik rozgrywanych epizodów od początku do końca nie był znany. Żołnierze wiedzieli tylko to, że będą musieli odpowiedzieć na realne siły przeciwnika, który stara się ich wykryć. Toczyła się zatem gra, kto kogo przechrzty, kto kogo pierwszy wykryje i zaatakuje.

Robota wrzała również w sztabie batalionu. Ćwiczący tam oficerowie, słysząc rozmowy i meldunki w sieci łącz-

ności oraz otrzymując bieżące informacje od zwiadowców, śledzili i oceniali przebieg zdarzeń. Ppłk Rafał Iwanek, dowódca 1 Batalionu Strzelców Podhalańskich, uważa intensywne treningi zimowe za wyjątkowo pożyteczne: „Trudny teren, krótki dzień, niskie temperatury, do tego śnieg – wszystko to wpływa na psychikę żołnierzy. Jeśli damy sobie radę w takich warunkach, to w każdych innych będzie nam tylko łatwiej”.

W ZASADZCE

Majstersztykiem było zorganizowanie zasadzki i przeprowadzenie ataku na kolumnę bojowych wozów piechoty przez plutony 2 Kompanii Zmechanizowanej dowodzonej przez kpt. Marcina Sudka. Cztery pojazdy przeciwnika pokonywały trudny odcinek drogi czołgowej, gdy nagle nastąpiło uderzenie ogniowe. Zasadzka polegała na tym, że nie było widać prowadzących z ukrycia nawałę ogniową bewupów i przeciwpancernych spike'ów grupy wsparcia. Kpt. Sudek w swoim pododdziale ma żołnierzy służących w armii od pięciu do jedenastu lat, z doświadcze-



BROŃ I WYPOSAŻENIE

Indywidualnym wyposażeniem żołnierza jest karabinek Beryl kalibru 5,56 mm z pasywnym celownikiem noktowizyjnym PCS-6 oraz podwieszany granatnik GPBO-40 kalibru 40 mm. Broń zespołowa to karabin maszynowy UKM-2000 kalibru 7,62 mm z pasywnym celownikiem noktowizyjnym PCS-5/1 lub celownikiem termowizyjnym STC Rubin. Podstawowym wyposażeniem batalionu są bojowe wozy piechoty BWP-1, moździerz M-98 kalibru 98 mm i przeciwpancerne pociski kierowane Spike. Łączność jest zabezpieczana przez wozy dowodzenia ZWD-3 oraz BRDM-5. ■



niem misyjnym zdobytym w Iraku, Kosowie i Afganistanie. Na zimowym poligonie prowadził zajęcia taktyczne i ogniowe plutonami, przerabiając kolejno działania w obronie, w natarciu, a na zakończenie w zasadzce. Nie było to, jak zapewnia, nieustanne powtarzanie tych samych manewrów: „Prowadzimy szkolenie nieszablone. Cały czas trzeba intensywnie myśleć – szukać rozwiązań, przewidywać ruchy przeciwnika. Dowódcy plutonów mają jedynie określone rejon operacji, tło taktyczne i zadania. Wszystko pozostałe, łącznie z działaniami przeciwnika, jest niespodzianką”.

Ppor. Mirosław Smoleń, dowódca trzeciego plutonu, odgrywającego w tym epizodzie główną rolę, tłumaczy, na czym polegała trudność: „Ogromnie ważna była precyzja w przygotowaniu zasadzki, pełne unieruchomienie przeciwnika, uniemożliwienie mu otwarcia ognia. Chwilę bowiem po niszczącym ataku wchodziła do działania grupa szturmowa dowodzona przez kpr. Krzysztofa Bednarczyka, której zadaniem było przechwycenie radiostacji znajdującej się w jednym z zaatakowanych pojazdów”.

Mirosław Smoleń, przed sześcioma laty awansowany z chorążego na podporucznika, ma prawie dwudziestoletni staż służby i spory dorobek, jeśli chodzi o misje. Brał udział w operacjach bojowych, w tym w odpieraniu ataku na bazę w Ghazni w czasie afgańskiej XII zmiany. „Doświadczenia misyjne procentują”, opowiada. „Łatwiej teraz pracuje mi się z ludźmi. Tym bardziej że na XIII zmianę do Afganistanu poje-

chaliśmy składem sformowanym w kompanii, a większość żołnierzy była wcześniej na VI zmianie. Wspaniały zespół, wysokie morale i odporność psychiczna. Chcą coś robić. Szkoda by było, gdyby ci szeregowi mieli odejść do cywila”. Podporucznik zwraca także uwagę na różnice między służbą misyjną a szkoleniem w kraju: „Są istotne, bo w Afganistanie działaliśmy plutonem, a tu jesteśmy częścią batalionu. Na misji prowadziliśmy głównie działania patrolowe, a tu walkę bezpośrednią”.

Ppor. Smoleń, chociaż dowódca pododdziałem zmechanizowanym, wprowadza w działania, ze względu na tradycje i specyfikę jednostki, akcenty górskie. W 2011 roku startował z sukcesem w alpejskich zawodach Edelweiss Raid: „Udało się nam wówczas po raz pierwszy ukończyć tę trudną konkurencję, w której trzeba było m.in. pokonywać górski teren na nartach tourowych czy wspinać się w warunkach alpejskich. Była to dla mnie przygoda życia! Dzięki szkoleniu górskiemu możemy dziś w kompanii skompletować zespół, który poprowadzi trudną, »piątkową« drogę, zaporęczy ją i przeprowadzi całą kompanię”.

PRECYZYJNE RAŻENIE

W czasie gdy pododdziały bojowe batalionu prowadziły działania, strzelcy wyborowi, dowodzeni przez kpr. Grzegorza Derenia, ćwiczyli dwie najważniejsze, oprócz celnego strzelania na dużych odległościach, dziedziny swej służby – taktykę i obserwację.



TRZY PYTANIA DO

Rafała Iwanka

Jakich żołnierzy, o jakich predyspozycjach i przygotowaniu poszukuje 1 Batalion Strzelców Podhalańskich?

Przede wszystkim zmotywowanych, ukierunkowanych na służbę

w wojsku, która niejednokrotnie wymaga więcej zaangażowania niż inne zawody. Kandydat powinien wyróżniać się sprawnością psychofizyczną, umieć podejmować szybko decyzje oraz przyjmować i egzekwować roz-

kazy. Ponadto duży nacisk kładzie się na umiejętność pracy w grupie i poczucie odpowiedzialności.

Jak się dostać do służby w jednostce?

STRZELCY MOGĄ NAPROWADZAĆ I WYKORZYSTY- WAĆ WSPARCIE OGNIOWE ARTYLERII I LOTNICTWA

Taktyka strzelców, podzielonych na sekcje dowodzone przez kpr. kpr. Piotra Stręka, Łukasza Augustyna, Miłosza Koszelę i Łukasza Babora, polegała m.in. na skrytym, mimo sporego ruchu na poligonie, przedostaniu się w rejon, w którym mieli przygotować stanowiska do prowadzenia obserwacji i ewentualnego oddania strzału. Wydawać by się mogło, że działają w oderwaniu od pozostałych żołnierzy. W rzeczywistości byli kolejnym elementem w skomplikowanej układance, gdyż w swych dziennikach obserwacji zapisywali realne wydarzenia, a ćwiczący koledzy

z pododdziałów zmechanizowanych stanowili dla nich tło taktyczne. Zadaniem strzelców wyborowych w batalionie jest precyzyjne rażenie.

Bardzo często, nie tylko w górach, jeden z nich, a częściej cała sekcja, w której skład wchodzi dwie pary, może zatrzymać na długo kolumnę wojska. Przeciwnik, gdy giną niespodziewanie jego ludzie, traci pewność siebie. A to, przykładowo, stwarza batalionowi warunki do wykonania obejścia. Strzelcy stanowią również bardzo wydajny element w całej strukturze rozpoznania, bo mogą działać na wysuniętych stanowiskach, niemalże w ugrupowaniu przeciwnika, zbierając informacje niedostępne dla innych. Ponadto potrafią naprowadzać i wykorzystywać wsparcie ogniowe artylerii, także lotnictwa, na wezwanie.

NIEUSTANNE PRZEPROWADZKI

Gdy pododdziały bojowe rozgrywały epizody taktyczne, plutony dowodzenia ppor. Mateusza Rogosza oraz ochrony i regulacji ruchu ppor. Macieja Siudy poza linią walki rozwijały batalionowe stanowisko dowodzenia. Po zajęciu rejonu żołnierze urządzali namioty sztabowe, rozwijali łączność, przygotowywali system obrony. Wydawać by się mogło, że trudno o bardziej nudną robotę. Monotonia szybko jednak się kończyła, gdy ćwiczący w polu zwiadowcy lub jeden z plutonów zmechanizowanych dostawali zadanie przeprowadzenia na nich napadu. A jak już stanowisko dowodzenia zostawało wykryte, jego obsługa, nie czekając na atak, rozpoczynała pakowanie całego dobytku na pojazdy, po czym kolumna ruszała, by skryć się na kolejnej pozycji.

Czuwający nad tym dowódca kompanii dowodzenia kpt. Michał Kędra, który na czas działań bojowych od-



Kandydaci zainteresowani służbą w I Batalionie Strzelców Podhalańskich muszą przejść pozytywnie postępowanie kwalifikacyjne, które obejmuje: egzamin z wychowania fizycznego (obowiązkowo zdany na ocenę bardzo dobrą) oraz rozmowę kwalifikacyjną przed komisją, w której skład wchodzi dowódca pododdziałów. W ten sposób to dowódca kompanii sam dobiera sobie ludzi, z którymi później pracuje.

Na czym polega atrakcyjność służby w 1bsp?

Wpływa na to wiele czynników, m.in. urozmaicone szkolenie. W każdym roku staramy się, by w kompaniach zostały przeprowadzone kursy narciarskie, które najczęściej odbywają się w Bieszczadach lub w Zieleńcu, oraz wspinaczkowe w Kobylanach i Kotlinie Kłodzkiej. Żołnierze batalionu wielokrotnie wyjeżdżali już na mi-

sje poza granicami kraju, jak również na kursy i szkolenia zagraniczne. No i oczywiście jest jeszcze coś, co wyróżnia podhalańczyków spośród wszystkich żołnierzy – najpiękniejsze w Wojsku Polskim mundury galowe.



PPLK RAFAŁ IWANEK JEST
DOWÓDCĄ I BATALIONU
STRZELCÓW PODHALAŃSKICH.

1 BATALION STRZELCÓW PODHALAŃSKICH IM. GEN. BRYG. JÓZEFA KUSTRONIA



JEDNOSTKA DZIEDZICZY TRADYCJE
1 PUŁKU STRZELCÓW PODHALAŃSKICH.

26 maja 1993 roku zarządzeniem szefa Sztabu Generalnego WP został sformowany 1 Batalion Strzelców Podhalańskich, wchodzący w strukturę 21 Brygady Strzelców Podhalańskich. Jednostkę rozlokowano na terenie kompleksu koszarowego przy ulicy Lwowskiej w Rzeszowie. Rok później minister obrony narodowej polecił, aby 1 bsp przyjął imię gen. bryg. Józefa Kustronia.

Batalion dziedziczy tradycje 1 Pułku Strzelców Podhalańskich, który powstał 31 października 1918 roku z zapasowego batalionu galicyjskiego 20 Pułku Piechoty armii austro-węgierskiej – w Tarnowie. Pułk ten następnie przeniesiono do Nowego Sącza, który stał się jego miastem garnizonowym. 1 grudnia 1918 roku otrzymał nazwę 1 Pułk Strzelców Podhalańskich. Dla uczczenia tego wydarzenia 1 bsp co roku obchodzi w tym czasie swoje batalionowe święto.

8 grudnia 1996 roku na rynku Nowego Sącza dowódca 1 Batalionu Strzelców Podhalańskich otrzymał z rąk przedstawiciela prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej sztandar, ufundowany przez społeczeństwo ziemi sądeckiej i kombatanów 1 Pułku Strzelców Podhalańskich.

Batalion szkoli się przede wszystkim do działań w górach oraz rozjemczych. Jego żołnierze, przygotowując się m.in. do wykonywania zadań w rejonach misji pokojowych, brali udział w ćwiczeniach z żołnierzami jednostek górskich we Francji. Podhalańczycy szkolili się również w Wielkiej Brytanii, Norwegii, na Litwie i Ukrainie. Żołnierze 1 Batalionu dwukrotnie, w latach 2003 i 2004 (podczas IX i X zmiany), pełnili służbę w ramach Polskiego Kontyngentu Wojskowego w Kosowie. Następnie uczestniczyli w V i IX zmianie PKW w Iraku, jak również w VI i XIII zmianie PKW w Afganistanie. ■



daje swoje plutony do dyspozycji dowódcy batalionu, wspomina ubiegłoroczne ćwiczenia batalionowe: „W listopadzie i grudniu, na dwa tygodnie przed rozpoczęciem prowadzonego przez dowódcę brygady sprawdzianu, ćwiczyliśmy na okrągło, żeby się dograć. Dążenie do perfekcji się opłaciło, gdy już doszło do działania na bojowo, bo w ciągu kilku dni sześciokrotnie musieliśmy zmieniać rejon, przenosić stanowisko. A to już nie było takie proste jak teraz, bo wszystko mieliśmy rozwinięte, a realnie pracującym w namiotach sztabowcom musieliśmy zapewnić ciągłość dowodzenia. Nasza kolumna, transportująca ludzi i sprzęt, liczyła około 20 pojazdów”.

St. chor. Wojciech Sowa, uczestnicząc w strzelaniu z umieszczonego na wozie pomocy technicznej (WZT-2) wkm-u kalibru 12,7 mm, co rusz odbierał meldunki z konwoju transportującego bojowe wozy piechoty z poligonu Nowa Dęba do garnizonu. Przy okazji pokazał na-

grany telefonem przed paroma dniami filmik oraz zdjęcia obrazujące holowanie drogą czołgową jednej WZT-ki przez drugą. Żołnierze z jego kompanii zmechanizowanej, którzy tej akcji nie widzieli, mogą ją później obejrzeć na filmie. „Jako kompanijny patrol pomocy technicznej, jedziemy za naszym pododdziałem. W razie gdyby się przydarzyła drobna usterka, naprawiamy ją na miejscu i pojazd rusza za innymi. Jeśli nie dajemy rady, holujemy sprzęt do najbliższej drogi ewakuacji i podajemy gridy [namiary] do batalionowego patrolu rozpoznania i pomocy technicznej”, wyjaśnia.

W nagrany epizodzie WZT-ka rzeczywiście miała awarię, więc holowały jedna drugą, spięte na sztywno i na krótko. Na kilkudziesięciosekundowym filmie można zobaczyć niezwykle widowisko. Zryty gąsienicami trakt wznosił się stromo, chwilę potem równie gwałtownie opadał, więc wydawało się, że dwa kolosy zbudowane na podwoziach zabytkowych już dziś czołgów T-55,



BARTOSZ ROZANSKI

rocznik 1992, albo urwą łączące ich drągi, albo rozbiją się o siebie.

Chor. Sowa zapewnia, że nic takiego się nie zdarza. Chociaż sprzęt jest rzeczywiście bardzo stary, jeszcze daje radę. Przy okazji technik opowiada ciekawostki na jego temat: „Umocowany na pojeździe dźwig może podnieść do 10 t ciężaru, a jak holowany pojazd się mocno zakopie, to WZT-2 wbija lemiesz w grunt i cofa, wbija i cofa”. Pokonywanie „czołgówki” zawsze stanowi porządną szkołę jazdy dla kierowcy i dla dowódcy wozu.

KAMERA NA POLIGONIE

W myśl zasady „jeśli się czegoś nie utrwali, to to coś ucieknie” st. sierż. Ryszard Rzesutek, główny operator combat camery, dokumentuje przede wszystkim negatywne wydarzenia albo filmuje panoramicznie cały pododdział w działaniu: „Następnie mój dorobek omawiają uczestnicy akcji i ich przełożeni, po czym wyciągają

wnioski. Po takiej ocenie sytuacji te same błędy raczej nie są popełniane”. Podobny zwyczaj, jak zapewnia sierżant, przyjął się także na niższych szczeblach.

Z tej metody korzystają w górach strzelcy wyborowi. Zgodnie z zadaniem muszą przejść skrycie kilometrowy odcinek doliną wzdłuż drogi lub strumienia. W dzień i nocą. A na wzgórzach są rozmieszczeni obserwatorzy, którzy oglądają akcję z użyciem sprzętu optycznego lub termowizyjnego. Zadanie strzelców jest bardzo trudne, ale, jak się okazuje, możliwe do wykonania. Po analizie zapisu obserwatorów wiedzą, jak unikać zagrożenia wykrycia.

Dla dowodzącego dojrzałym wojskiem, wyzwaniem jest takie urozmaicenie zajęć, by nawet ci najstarsi nie popadali w rutynę. Dlatego każde szkolenie wplata się tutaj w działania taktyczne. W batalionie, jak zapewnia ppłk Iwanek, wiele rozmawiają o taktyce, sięgają do historii: „Analizujemy warianty taktyczne ćwiczonych zadań, uwzględniając możliwości batalionu. A to jest szczególnie cenne dla najmłodszej kadry, głównie dla oficerów myślących jeszcze jedynie z perspektywy swojego plutonu. Od początku muszą uchwycić sens działania w szerszym aspekcie, ze świadomością, że nie są na polu walki sami!”.

Dowódca batalionu dodaje, że w tych rozważaniach taktycznych ważny jest realizm, odniesienie do współczesnych konfliktów: „Widać w nich, jak często decydujący wpływ na przebieg zdarzeń mają małe ugrupowania. Nasycone środkami bojowymi, szczególnie przeciwpancernymi, przy odpowiedniej taktyce i determinacji, osiągają w walce znakomite efekty”. Ogromnie istotna jest też, zdaniem ppłk. Iwanka, troska o szczegóły, tworzenie wzorców i wykorzenianie złych nawyków. Przytacza przykład wzięty z konfliktu ukraińskiego: „Młody, niedoświadczony żołnierz telefonował z pierwszej linii walki do mamy, radośnie komunikując, że jeszcze żyje. A w chwilę potem był już martwy, bo na sygnał jego telefonu przeciwnik naprowadził rakiety”.

Świadomość żołnierzy, doświadczenie, zaangażowanie są w batalionie na każdym kroku odczuwalne. Widać, jak starsi służbą żołnierze reagują na błędy młodszych. Ci tę wiedzę chłoną. Przede wszystkim mają się od kogo uczyć, a na dodatek już na starcie przechodzą kurs adaptacyjny, cykl krótkich szkoleń zapoznających z batalionową rzeczywistością.

W wypadku tych starszych następuje zaś powrót do podstaw, norm szkoleniowych, zachowań na polu walki. Nazywa się to w batalionie deaorganizacją, bo niektórzy żołnierze tak przesiąknęli funkcjonowaniem w strukturach poza granicami kraju, że powrót do abc żołnierskiego rzemiosła wydaje się im uwstecznieniem. A to podstawa dyscypliny i sprawnego funkcjonowania w wojsku ■

Trzecianiec, niewielka miejscowość schowana w górach. To tu na terenie byłej jednostki nadwiślańskiej mieści się Ośrodek Szkolenia Górskiego. Ma to znaczenie, bo po jednostce pozostał kompleks starych budynków gospodarczych i magazynowych. Betonowe szkielety przyciągają żołnierzy różnych jednostek, chcących doskonalić swoje umiejętności. Magnesem są też Góry Sanocko-Turczańskie, z pozoru niewysokie, ale dzikie i pokryte lasem. To część Karpat Wschodnich granicząca od południa z Bieszczadami. Dzięki specyficznemu ukształtowaniu terenu żołnierze mają tam doskonałe warunki do prowadzenia ćwiczeń z rozpoznania i przetrwania w trudnych warunkach, a także sprawdzenia sprzętu wojskowego i doskonalenia posługiwania się nim w górach.

„Szkolą się tu żołnierze z naszej 21 Brygady Strzelców Podhalańskich, 25 Brygady Kawalerii Powietrznej, 6 Brygady Desantowo-Szturmowej, 5 Pułku Inżynieryjnego ze Szczecina, czyli z całej Polski”, wylicza st. sierż. Grzegorz Morszczyk, zastępca kierownika OSG, i zaraz dodaje: „Żandarmi z Tomaszowa Mazowieckiego też przyjeżdżają, 18 Pułk Rozpoznania z Białegostoku. No i oczywiście jednostki specjalne”.

Gdy w drugiej połowie stycznia odwiedziłem Trzecianiec, szkolił się tu Batalion Kawalerii Powietrznej z Leżnicy Wielkiej, wchodzący w skład 25 Brygady Kawalerii Powietrznej. Około 90 żołnierzy rozpoczęło ćwiczenia w śniegu i w kilkunastostopniowym mrozie, by po kilku dniach kończyć je przy nadal niskich, ale już dodatnich temperaturach i we wszechobecnym błocie.

NIE TRACISZ GŁOWY, TO SOBIE PORADZISZ

Pierwsze wyjścia zwiadowców w góry nie były łatwe. Cienka warstwa śniegu i mróz powodowały, że na górskich ścieżkach żołnierze ślizgali się jak na lodowisku. Jedyną skuteczną metodą schodzenia po bardziej stromych i zaladzonych zboczach było wówczas zsuwanie się z nich na siedząco. Roztopy przyniosły niewielką poprawę warunków, ponieważ wiele szlaków pokryło się błotem. Grzęzły w nich samochody terenowe, także dostawcze. Sprzęt i prowiant żołnierze musieli nosić na plecach.

„Musimy działać w różnych warunkach terenowych i atmosferycznych. Tu mieliśmy okazję przećwiczyć nieszablonowe działania taktyczne”, śmieje się kpt. Piotr Petrynowski, który dowodził ćwiczeniami. „Dzięki temu możemy się przygotować fizycznie i psychicznie do działania w terenie nam nieprzyjawnym. Taka jednostka jak nasza, aeromobilna, przerzucana w rejon działań drogą powietrzną musi zajmować stanowiska, poruszając się głównie pieszo. Dlatego przygotowanie terenowe, w tym górskie, jest dla nas bardzo ważne”.



KRZYSZTOF KOWALCZYK (2)



KRZYSZTOF KOWALCZYK

POCZUĆ GÓRY

Niewysokie Góry Sanocko-Turczańskie przy granicy
z Ukrainą to doskonałe miejsce do ćwiczeń
taktycznych oraz szkolenia z technik przetrwania
dla żołnierzy różnych formacji.





PATRYK CIELIŃSKI / DGRSZ

INSTRUKTORZY WYMAGALI OD ŻOŁNIERZY SKUPIENIA, BY W CIĄGU DWÓCH GODZIN POZNALI ONI OKOŁO 15 NAJWAŻNIEJSZYCH WĘZŁÓW

Wśród 90 żołnierzy 1 Batalionu szkolących się w Trzciancu byli przede wszystkim żołnierze z pododdziałów szturmowych, ale również ci o typowo artyleryjskich specjalnościach, którzy przygotowywali się do rozpoznania i prowadzenia ognia z moździerzy w warunkach górskich. Umiejętności doskonalili też łącznościowcy i logistycy. „W górach zasięg sprzętu łącznościowego jest zupełnie inny i żołnierze muszą się nauczyć działać przy takich ograniczeniach. Także logistycy muszą być świadomi, co ich czeka, gdzie i jak dowozić żywność i amunicję. Kierowcy muszą się uczyć jeździć po takich górach”, tłumaczył nam kpt. Petrynowski.

Żołnierze szkolili też umiejętności niezbędne podczas działań w górach wysokich. Takie możliwości daje im sztuczna ściana wspinaczkowa pod gołym niebem. Żołnierze 25 Brygady Kawalerii Powietrznej ćwiczyli techniki wspinania i asekuracji. Uczestniczyli też w zajęciach z ratownictwa na polu walki z uwzględnieniem wymagań terenu górskiego. W tym wypadku skorzystali ze starych obiektów magazynowych. Kilkukondygnacyjne tory przeszkód pokonywane z rannym na noszach, zjazdy na linie w szybach po zdemontowanych towarowych windach, nauka zakładania stanowisk ratowniczych, były dobrym uzupełnieniem ćwiczeń terenowych.

Batalion ma własnych instruktorów wspinaczki, żołnierzy, którzy uprawnienia zdobywali w cywilu np. na poznańskim AWF-ie, ale też w prywatnych ośrodkach szkolenia wspinaczkowego. To oni odpowiadają za przeszkolenie pozostałych. „Tutaj uczymy się budowy stanowisk wspinaczkowych: asekuracyjnych i ratowniczych. Są to stanowiska kierunkowe samonastawne, budowane przy użyciu lin lub taśm. Dzięki temu będziemy mogli nie tylko pokonywać takie przeszkody terenowe jak skały, ale też zjeżdżać z budynków, konstruować mosty linowe i za pomocą stanowisk ratowniczych robić układy wyciągowe”, opowiada nam instruktor plut. Dariusz Bieniek.

Chwali swoich żołnierzy za to, że szybko przyswajają wiedzę. Twierdzi, że są już przygotowani, by sprawdzić się w górach wysokich. „Każdy człowiek boi się wysokości. Ale jest ważne, by podchodzić do tego strachu na zimno. Jak umiesz się asekurować i nie tracisz głowy, to sobie poradzisz”.

Obok żołnierze ćwiczą ratownictwo w warunkach górskich. Zadanie: pierwsza pomoc po upadku żołnierza z wysokości. „Zaczynamy od zdjęcia hełmu i stabilizacji odcinka szyjnego kołnierzem ortopedycznym”, instruuje żołnierzy st. szer. Marcin Tkaczyk, ratownik medyczny w 1 Batalionie Medycznym 25 BKP. „Zawsze jak jest wypadek, trzeba brać pod uwagę możliwość naruszenia struktur kręgosłupa. Uraz to jest uraz. Nie ma znaczenia, czy zdarzył się na polu walki, czy w górach, czy w środkach komunikacji. Żołnierz wszędzie musi sobie poradzić”.

Opatrzanie i zabezpieczenie rannego to jeszcze nie koniec ćwiczeń. Żołnierze muszą go dostarczyć na noszach w bezpieczne miejsce. Oznacza to bieg po schodach trzy piętra w górę i pokonywanie dodatkowych poustawianych przez instruktorów przeszkód. Później muszą przebyć trasę z rannym jeszcze raz, tyle że w przeciwnym kierunku.

SA GÓRY, JEST ADRENALINA

Gdy dwie grupy żołnierzy ćwiczyły na terenie starych obiektów magazynowych, dwie kolejne doskonaliły w innych miejscach umiejętności typowo wspinaczkowe – na ścinie i wiązanie węzłów. Nauka wiązania węzłów przy temperaturze kilku stopni nie nastrajała żołnierzy optymistycznie. Instruktorzy wymagali skupienia i opanowania, by w ciągu dwóch godzin każdy poznał około 15 najważniejszych ich rodzajów. Oznaczało to żmudne powtarzanie tych samych czynności. Kluczka, wyblinka, półwyblinka, ósemka z pojedynczym i podwójnym kolu-

chem, zderzakowy i podwójny zderzakowy, ratowniczy, to tylko niektóre z węzłów, jakie ćwiczyli żołnierze. „Wiązanie ich jest podstawą, żeby rozpocząć szkolenie wspinaczkowe. Trzeba to umieć, żeby przywiązać się bezpiecznie liną do uprząży. To są podstawy, które każdy musi opanować. Dopiero po zdobyciu tych umiejętności żołnierz może przystąpić do dalszych ćwiczeń”, tak motywuje kolegów st. szer. Krzysztof Majtczak, w brygadzie instruktor wspinaczki.

Wiele werwy wykazywali żołnierze ćwiczący na sztucznej ścianie. Wspinaczka na świeżym powietrzu zdecydowanie poprawiała ich nastrój i pozwalała rozgrzać się, choć dłonie kurczowo ściskające chwytaki nadal pozostawały sine z zimna. „To nie pierwsza moja wspinaczka. Ćwiczyłem już wcześniej tu na poligonie, w Trzciańcu. Lęku nie czuję już żadnego. Chętnie spróbowałbym wspinaczki gdzieś w wyższych skałach czy górach. Myślę, że na następny wyjazd właśnie tego typu już się załapię”, nie krył w rozmowie z nami st. szer. Grzegorz Ptak, który właśnie pokonał jedną z treningowych dróg wspinaczkowych. „Co w Trzciańcu robi na tobie największe wrażenie?”, spytałem szeregowego, gdy już odwiązał się od liny. „Zmiana otoczenia, góry są przepiękne i jest adrenalina. Tu jest inaczej niż u nas w jednostce. Cały urok jest w tym, że miejsce jest odludne, nie ma tu takich atrakcji jak restauracje czy dyskoteki. Tu można poczuć prawdziwą naturę i to ma swój urok. Miasto mamy na co dzień, dlatego dobrze jest się wyrwać do lasu, w góry, na takie szkolenie.

MOŻEMY POCZUĆ GÓRY W NOGACH

Zachwyt górami idzie w parze z programem ćwiczeń taktycznych, jakie dla żołnierzy przygotowali dowódcy. Poligon w Trzciańcu to 800 ha górskiego terenu, lasów i bezdroży, ale żołnierze dzięki zgodzie nadleśnictwa mogą wędrować znacznie dalej: na nartach lub pieszo. „Dziś zadanie postawione drużynie to przygotować bazę plutonową, czyli rejon do zajęcia”, opowiada ppor. Leszek Fraga, dowódca plutonu szturmowego, gdy jego żołnierze przemieszczają się w szyku wzdłuż górskiego zbocza. „Teren został rozpoznany, stwierdzono, że nie nadaje się do zajęcia i zadanie zostało zmienione. Ten rejon jest zbyt odkryty i widoczny od strony północnej, nie zapewnia zatem dobrych warunków do maskowania. Łatwo tu może zaskoczyć nas atak przeciwnika, bo może nas podejść z drugiej strony stoku”, stwierdza po chwili Fraga.

Jeśli kolejny wyznaczony rejon do zajęcia okaże się bezpieczny, żołnierze będą mieli chwilę odpoczynku i czas na reorganizację. Dowódcy plutonów i drużyn wskażą im nowe współrzędne marszu i postawią kolejne zadanie. Może to będzie wyjście do zasadzki lub natarcia

czy rajd na wyznaczony obiekt – w tej chwili żaden z żołnierzy nie zna planów szykowanych przez dowódców.

Podczas ćwiczeń, które obserwujemy, niektórzy niosą spore plecaki. Jak się okazuje, mają w nich tylko podstawowe wyposażenie i niewielkie racje żywnościowe. Tylko strzelcy wyborowi dodatkowo niosą karimaty, na których w razie potrzeby zajmą pozycje, składając się do strzału. „W wypadku dłuższych marszów, które też ćwiczymy, zabieramy ze sobą więcej sprzętu: dodatkową parę butów, śpiwór, sprzęt survivalowy, spore zapasy wody i racji żywnościowych, kuchnie turystyczne, termosy”, wymienia Fraga. „Przy dłuższych marszach, kiedy dana grupa nie wraca w rejon dyslokacji przynajmniej przez jedną dobę, żołnierze mają w plecakach dodatkowo od 20 do 30 kg”, wyjaśnia. Tak długie akcje ćwiczy się niezależnie od pogody. „Żołnierz jest tak przygotowany, że musi odpowiadać za siebie. Dlatego moi ludzie mają namioty jednoosobowe albo tzw. bivi bagy – wodoodporne worki zakładane na grube śpiwory. To nam wystarczy na przetrwanie jednej nocy, nawet w mrozie i w śniegu. Ale im dłuższy jest nasz marsz w takich warunkach, tym z każdym dniem jest coraz trudniej, bo sprzęt i ubrania mokną, a nie ma jak ich wysuszyć”.

Oprócz pododdziałów szturmowych w górach wokół Trzciańca ćwiczą też żołnierze o specjalności artyleryjskiej. Przygotowują się do rozpoznania i prowadzenia ognia z moździerzy, co jest utrudnione w warunkach górskich. „Mamy tu sporo przeszkód terenowych, co powoduje kąt zakrycia i trzeba dopasować działanie taktyczne do ukształtowania terenu”, ocenia dowódca plutonu ogniowego ppor. Krystian Mazurek. „Jak ustawiamy moździerze do strzelania, to góry utrudniają obserwację przeciwnika, a także samo strzelanie. Dlatego musi nas wspierać drużyna dowodzenia, która na stoku przeciwległym dla naszego stanowiska góry będzie kontrolować, czy nasz ogień jest skuteczny. Tu w Trzciańcu możemy doskonalić działania drużyny dowodzenia i sprawdzać sprzęt w warunkach górskich”.

Doświadczeni żołnierze mogą się poruszać w górach z realną prędkością zaledwie 4–5 km/h, bo gęsty las, błoto i inne przeszkody zwalniają tempo marszu. Gdy w patrolu są młodzi, niedoświadczeni żołnierze, prędkość ich poruszania zmniejsza do 2–3 km/h. Choć są to góry niewysokie, to utrudniają przemieszczanie się. Ciągłe podejścia i zejścia ze sprzętem są uciążliwe i w tym wypadku kluczowe jest przygotowanie kondycyjne żołnierzy. „Lubimy te ćwiczenia. W jednostce mamy tylko płaski teren, a tu możemy poczuć góry w nogach. Wysiłek daje żołnierzom do myślenia i motywuje ich do dalszych treningów. Ten, kto dostanie w kość, bardziej się cieszy, gdy później ma wolne”, uśmiecha się ppor. Fraga. ■

PIOTR BERNABIUK

Z mózgiem na Mnicha

Po wielu godzinach, a nawet kilku dniach górskiego marszu żołnierz powinien być nadal w dobrej formie, gotowy do walki, urządzenia zasadzki czy prowadzenia obserwacji.

W górach, przy niskich temperaturach i obfitym śniegu, nie tylko pokonywanie dystansu, lecz także samo przetrwanie jest dużym wyzwaniem. Ponadto maszerujący pododdział musi się liczyć z zagrożeniem ze strony przeciwnika, nie zawsze więc jego dowódca może wybrać najdogodniejszą trasę. A po wielu godzinach czy nawet kilku dniach wysiłku droga nie kończy się w zaciszu schroniska. Po osiągnięciu punktu docelowego żołnierze muszą być w dobrej formie, gotowi do walki, urządzenia zasadzki albo prowadzenia obserwacji.

Ppor. Szczepan Pietraszek, od lat uczestniczący w górskich wyścigach i zawodach taktycznych, zwraca uwagę na różnicę między sportowym a taktycznym podejściem do wielkiego wysiłku. „W trakcie rywalizacji możemy paść z wysiłku na mecie, ale dajemy z siebie wszystko, by osiągnąć jak najlepszy wynik. Wyruszając w góry na czele plutonu, muszę gdzieś w sobie przestawić manetkę z jazdy sportowej na terenową, tym bardziej że będziemy maszerować



wali ze znacznym obciążeniem”, wyjaśnia. Jak się do takiego zadania przygotować? Według podporucznika, dowódcy plutonu zmechanizowanego, najlepszym przygotowaniem do marszów w górach są... marsze w górach: „Doświadczenie zbierane latami w dziesiątkach, jeśli nie setkach wypraw i marszów połączonych z taktyką podpowiada dobre rozwiązania w najbardziej zaskakujących sytuacjach”.

UMIĘTNOŚĆ PRZEWIDYWANIA

Walka o sukces podczas działań taktycznych w zimowych górach rozpoczyna się kilka dni przed wyprawą, od planowania marszrut i doboru ekwipunku. Po otrzymaniu zadania pierwszą rzeczą jest zapoznanie się z prognozą pogody oraz wprowadzenie poprawki na jej zmienność i nieprzewidywalność, bo w wyższych partiach gór w każdej chwili może nastąpić jej załamanie – niespodziewanie oślepi nas wichura ze śnieżycą, w efekcie temperatura odczuwalna spadnie o dziesięć stopni, nawałnica przegrodzi drogę zaspami. W innej wersji, coraz bardziej typowej dla naszych zim, ale wcale nie korzystniejszej, marznący deszcz wspomagany wichrem przemoczy wszystko, co mamy na sobie, szlak zamieni się w ślizgawkę, poruszanie się po stromych odcinkach trasy stanie się ryzykowne lub wręcz niemożliwe.

Na etapie planowania rozpoczyna się gra między minimalizmem a dążeniem do zabrania ze sobą wszystkiego, co może okazać się przydatne. Padają wtedy pytania: czy zabrać raki? Czy wziąć rakiety śnieżne? A może zespół powinien dołączyć do ekwipunku linę do poręczowania najtrudniejszych odcinków trasy i wzajemnej asekuracji? Należy pamiętać, żeby idąc na cały dzień w góry, nie taszczyć ze sobą namiotu, ale zastanowić się, jak przetrwać, jeśli wbrew planom, wypadnie nam nocleg. Następuje więc kolejna seria pytań. Czy zabrać śpiwór i płachtę? I lekką łopatę do śniegu, bo być może trzeba będzie sobie kopać jamę?

Ppor. Pietraszek podpowiada rozwiązania: „Nie będziemy urządzali na jedną noc dla całego plutonu szałasów, które konstruuje się godzinami. Zamiast liczyć na rozpalenie ognia, zabieramy przynajmniej jedną kuchenkę benzynową dobrej jakości na trzech żołnierzy, a każdy z nich powinien mieć termos. Warto też zainwestować w puchowe papucie, które wkłada się na stopy, wchodząc do śpiwora, a manierka napełniona gorącą wodą może pełnić funkcję termoforu... W praktyce pakujemy więc to, co najlżejsze i absolutnie niezbędne, gdyż w marszu górkim ciężar dobija znacznie bardziej niż kilometry”.

A jeśli zabrakło nam wyobraźni i podczas noclegu nie będziemy w stanie zapewnić sobie komfortu? To jest pod ręką kolejna mądrość wywodząca się z praktyki – często

lepiej kontynuować marsz, niż marznąć na niedającym efektywnego wypoczynku postoju.

PROSTOWANIE DRÓG

Doświadczeniem jest podyktowany także schemat marszu i odpoczynków. Jeśli w ciągu dnia pokonujemy do 30 km, należy robić dziesięciominutowe przerwy po pierwszej, drugiej, czwartej i piątej godzinie wysiłku, a po trzeciej – godziną przerwę na posiłek. W ten sposób, bez forsowania tempa można taki dystans pokonać w mniej więcej osiem godzin, a na koniec ludzie będą w dobrej formie, gotowi do dalszych działań. Jeśli jednak zespół ma maszerować kilka kolejnych dni, nie należy planować więcej niż 40 km dziennie.

Taki podstawowy schemat musimy jednakże przełożyć na warunki górskie zimą, uwzględniając różnice wzniesień, stromość podejść i zejść, warunki atmosferyczne, i przeliczać wszystko na czas, a nie na kilometry. A przy tym pamiętać, że o tempie i efektywności marszu decyduje najsłabszy z żołnierzy. W górach, zimą, ludzi się nie zostawia po drodze. Dwie, trzy takie „kotwice” mogą zniweczyć śmiałe plany.

Pokrzyżować je mogą również błędy w nawigacji, w której nie tylko należy uwzględnić trzeci wymiar – wysokość, lecz także konfigurację terenu. Znakomitym wsparciem, oprócz nieodzownej mapy, będzie GPS. Współpracujące z satelitami urządzenie pomoże nam wyznaczać punkty i precyzyjnie określać ich wysokość. Jednakże ppor. Pietraszek zaleca zachowanie przezorności: „Pokonując na ślepo trasę za jego wskazaniem, możemy się wpakować w spore kłopoty. Powinniśmy się opierać na mapie, oczywiście aktualnej i w dogodnej skali. Prostuśjąc drogi lub szukając własnych ścieżek, należy się skupiać przede wszystkim na warstwicach i ciekach wodnych. Gdy prowadzę marsz, jak najdłużej staram się trzymać wypukłych form terenu, jak tylko to możliwe, iść wzdłuż grani. Zejście w dół wcześniej czy później spowoduje wylądowanie w strumieniu poprzegradzanym niezliczonymi wiatrołomami i wieloma odnogami pomniejszych strumyków. W zimie, w Bieszczadach, głęboki jar, w którym połowa powalonych drzew jest przykryta śniegiem, stanowi zapowiedź ekstremalnej przygody. Schodząc wzdłuż strumienia, szybko zaczynamy mieć dość. Idąc leśnymi stokówkami, zapewne dołożymy drogi, ale szybciej i z mniejszym wysiłkiem osiągniemy cel”.

Dla zespołu przeprawiającego się zimą przez góry, oprócz dobrych butów, konieczne jest wyposażenie w sprzęt umożliwiający marsz. Nie można wychodzić bez raków, czekana, nie mówiąc już o kijkach. Nadto tempo marszu bez tego wyposażenia dramatycznie spadnie. W skrajnych warunkach do zera!



SZUKANIE KOMFORTU I CIEPŁA CZĘSTO POWODUJE ZBIOROWĄ HIBERNACJĘ. TRACI SIĘ CZUJ- NOŚĆ I NIE DO- STRZEGA NIE- BEZPIECZEŃSTW

Gdy jest głęboki puch, obciążony piechur w nim tonie, dlatego znakomitą pomocą są rakiety śnieżne. Można z nich korzystać po krótkim instruktażu, zapewniają dużą mobilność, szczególnie w terenie lesistym. Wadą ich jest wolne tempo marszu i trudności, kiedy maszerujemy wzdłuż stoku. A narty? Na skitourach, nartach przystosowanych do zjazdu i podchodzenia, wyszkolony zespół może przemieszczać się bardzo szybko i sprawnie, szczególnie na przetartych szlakach. Jednym z najbardziej efektywnych sposobów przemieszczania całych grup żołnierzy na deskach jest skijöring, czyli holowanie za pojazdami. Cóż, tak zaawansowanego narciarstwa trzeba się uczyć intensywnie przez kilka sezonów.

SKALNA ŚCIANA

Co zrobić, jeśli w terenie gór skalistych, chociażby w Tatrach, pluton, nie mogąc skorzystać z dróg alternatywnych, dojdzie do skalnej ściany? Zdaniem mł. chor. Janusza Paziewskiego żołnierze batalionu, ci o najwyższych kwalifikacjach, są w stanie poprowadzić trudną drogę wspinaczkową, chociażby na szczyt tatrzańskiego Mnicha, a następnie, używając systemów linowych, przetransportować tam np. lekki moździerz. I zaraz dodaje: „Wciąganie moździerza w trudno dostępne miejsce byłoby więc możliwe, ale bezcelowe, chociażby z powodu jego zasięgu. Bardziej sensowne wydaje się wysłanie w tak eksponowane miejsce sekcji wysuniętych obserwatorów, którzy precyzyjnie podadzą namiary celu, a potem ewentualnie skorygują ogień. Nie należy jednak zakładać scenariusza, w którym żołnierze będą się wspinać na skałę, a przeciwnik w tym czasie będzie do nich strzelał. Dzięki znajomości technik alpinistycznych można podczas działań taktycznych wybrać alternatywny wariant przejścia, niedostępnym dla innych terenem, również przez strome żleby, pionowe ściany skalne, a także dokonać z pododdziałem obejścia zablokowanej drogi albo osiągnąć punkt dogodny do prowadzenia ognia czy obserwacji. W praktyce bojowej umiejętności wspinaczkowe mogą być też znakomicie wykorzystane w czasie prowadzenia operacji w terenie zurbanizowanym”.

Sierż. Jacek Waśko uzupełnia: „W każdej kompanii zmechanizowanej batalionu znajdują się instruktorzy wspinaczki, poza tym większość żołnierzy pododdziału prze-

chodzić szkolenie wspinaczkowe, ucząc się m.in. zakładania uprzęży wspinaczkowej, wiązania węzłów, poruszania się po drodze zaporęcowanej, wykonywania zjazdów z autoasekuracją przy użyciu różnych przyrządów przez węzły i punkty asekuracyjne, a także asekurowania partnera. W praktyce bojowej żaden dowódca nie wybierze jednak ekstremalnie trudnych dróg wspinaczkowych. Jeśli są w stanie je pokonać tylko pojedynczy, znakomicie wyszkoleni żołnierze, to dla pozostałych jest ona w zasadzie nie do użycia”.

ZBIOROWA HIBERNACJA

Szczepan Pietraszek w swym opracowaniu „Podręcznik żołnierza – działania w warunkach zimowych” zwraca uwagę, że żołnierz musi nieustannie utrzymywać w sprawności broń i być gotowy do walki: „Niezależnie od sytuacji i warunków, nie może nawet na chwilę zapomnieć o ochronie części ruchomych karabinu, a także jego lufy i celowników, które należy trzymać z dala od śniegu i lodu. Musi pamiętać, że po wejściu do ciepłego pomieszczenia nastąpi na karabinie kondensacja pary wodnej, która po wyniesieniu na mroź zamarznie”.

Pisze też o ubraniu i termoregulacji: „Ubram się stosownie do pogody i wysiłku na trasie, ale zawsze, na ile można, lekko, w dwie warstwy odzieży oddychającej, trzecią wkładając tylko na postojach. Zimą wkładam tylko bieliznę termoaktywną o specjalnych właściwościach, a na nią ubranie ochronne – spodnie i kurtkę. Nie wkładam pod spód bawełnianej koszulki ani munduru. Jeśli pada silny deszcz i przemokłem, to trzymam się stosowanej w górach zasady – co na mnie zmokło, musi na mnie wyschnąć”.

A co się dzieje, gdy niedoświadczony żołnierz włoży na siebie wszystko, co ma i zacznie podmarzać? Mroź bardzo szybko będzie miał wpływ na jego psychikę: „Opatuleni przestają zwracać uwagę na otoczenie, ich myślenie i postrzeganie stają się leniwe, ospałe. Szukanie komfortu i ciepła powoduje pewnie często rodzaj zbiorowej hibernacji. Tracą czujność, nie dostrzegają niebezpieczeństw. Dlatego rolą dowódcy jest utrzymanie zespołu w ruchu, motywowanie do działania, uświadamianie żołnierzom, że mimo trudnych warunków nie uczestniczą w zimowej wybieżce, lecz mają zadanie do wykonania”.

JAROSŁAW
RYBAK

Medialny front



Wiele się w wojsku zmienia, zmieniają się też media, które poświęcają armii swoją uwagę. O ile jednak statystyczny żołnierz jest teraz o niebo bardziej profesjonalny od swojego kolegi, który w mundurze chodził przed dekadą czy dawniej, o tyle w dziennikarstwie jest odwrotnie. Oczywiście wiadomo, że media się tabloidyzują, materiały muszą być coraz krótsze i bardziej sensacyjne. Zdaję sobie sprawę, że nawet w „poważnych” telewizjach ze zwykłą informacją wygrywa infotainment, czyli rozrywka z nutą informacji, w której autora bardziej interesuje sposób przekazania newsa niż jego treść. Ale pamiętam też, z dawnych czasów, że nawet w tabloidzie dało się pisać lekkie, ale merytorycznie poprawne teksty. Wraz ze zmieniającymi się mediami każdy, kto prowadzi blog albo wyśle do jakiejś redakcji zdjęcie zrobione komórką, od razu nazywa się „dziennikarzem”.

I tu dochodzimy do kolejnego problemu. W tzw. mediach popularnych na palcach można policzyć redakcje, które mają „dziennikarzy wojskowych”, czyli na stałe zajmujących się tematyką militarną. Kiedyś każda szanująca się redakcja miała przynajmniej jednego. Jeszcze mniej palców potrzeba, żeby w redakcjach policzyć żurnalistów „starego pokolenia” (o specjalistycznych tytułach nie wspominam, bo to inna klasa). Od razu przepraszam koleżanki zaliczone do nestorów – piszę o doświadczeniu zawodowym, a nie wieku.

Niestety, wraz z pączkowaniem redakcji, portali i nieustannym ruchem w zawodzie – wszyscy piszą o wszystkim. To słychać i widać. Oczywiście nigdy nie było idealnie. Pamiętam artykuł z 2007 roku w jednym z największych tygodników o tym, jak w nowym F-16 myszy przegryzły instalację elektryczną. Sporo emocji wywołał też materiał w dużym dzienniku. Autorka przekonywała, że talibowie mają nowe typy min – zapalające. Dowód? Po wybuchu pojazdy się zapalały. W tym samym roku duża rozgłośnia radiowa podała, że na poligonie dwóch żołnierzy przejechał czołg. Co do szkód spowodowanych przez myszy, nie pomagały wyjaśnienia rzecznika MON-u, że każdy kto widział z bliska samolot F-16 wie, iż gryzoń nie ma szansy wejść na pokład. Chyba, że jest pupilem pilota ukrytym w jego kieszeni. Nic nie dały też tłumaczenia, że po wybuchu „ajdika” przyczyną pożaru jest reakcja fizyko-chemiczna, a nie substancja zapalająca. Rozgłośnia również nie sprostowała błędnej informacji, po prostu zapomniano o temacie. Jak skomentować taką bezmyślność dziennikarzy? Inna rzecz, że niekiedy ich sprzymierzeńcami bywają bezrefleksyjni przedstawiciele wojska, którzy zamiast gasić medialne pożary w zarodku, je rozniecają.

Co nas czeka? Media będą się zmieniać, ale nie na lepsze. Na szczęście MON – w porównaniu z innymi ministerstwami – ma olbrzymi atut. Dysponuje kilkoma dużymi portalami, popularnymi profilami społecznościowymi, własnymi tytułami prasowymi. Zatrudnia też doświadczonych fachowców. I to jest szansa na rzetelne dotarcie do opinii publicznej z informacjami.



JAROSŁAW RYBAK JEST PUBLICYSTĄ
ZAJMUJĄCYM SIĘ PROBLEMATYKĄ BEZPIECZEŃSTWA. AUTOREM KSIĄŻEK O POLSKICH
JEDNOSTKACH SPECJALNYCH. BYŁ RÓWNIEŻ RZECZNIKIEM PRASOWYM MON I BBN.

Zderzenia z paragrafem

Nasi eksperci rozwiązują Wasze problemy z interpretacją przepisów prawnych. Zachęcamy do zadawania pytań: niezbednik@zbrojni.pl

PIĄTKA Z OPINIOWANIA

W trakcie opiniowania służbowego przełożony wystawił podwładnemu żołnierzowi ocenę bardzo dobrą (piątkę) pomimo uzyskanej przez niego oceny niedostatecznej (dwójki) ze sprawdzianu sprawności fizycznej. Złamał tym samym art. 26 ust. 8 ustawy pragmatycznej, zgodnie z którym w tej sytuacji ocena z opiniowania nie może być wyższa niż dostateczna (trójka). Czy w takim wypadku opiniujący ponosi odpowiedzialność dyscyplinarną, czy karną? Czy istnieje jakakolwiek możliwość zmiany tej oceny – jeżeli opiniowany nie odwołał się od niej, a od jej wystawienia upłynęło ponad 14 dni?

→ **Przełożony ponosi odpowiedzialność dyscyplinarną, a nawet karną.** W przedstawionej sprawie mają zastosowanie przepisy rozporządzenia ministra obrony narodowej odnoszące się do opiniowania żołnierzy zawodowych, jak również zawarte w ustawie o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych. Zgodnie z art. 26 ust. 11 ustawy żołnierzowi zawodowemu przysługuje prawo wniesienia odwołania od opinii służbowej do wyższego przełożonego w ciągu 14 dni od dnia jej doręczenia. Odwołanie wniesione po tym terminie nie podlega rozpoznaniu. Upływ tego okresu powoduje, że nie ma prawnych możliwości do wzruszenia treści opinii służbowej. Rozporządzenie nie wprowadziło bowiem regulacji prawnych, na których podstawie możliwe byłoby uruchomienie trybów nadzwyczajnych, które co do zasady mają zastosowanie w wypadku, gdy mamy do czynienia z decyzją administracyjną w rozumieniu przepisów kodeksu postępowania administracyjnego – vide art. 145 i art. 156 kpa. Opinia służbowa nie jest jednak decyzją administracyjną w rozumieniu art. 104 kodeksu

postępowania administracyjnego (kpa), a do postępowania w sprawie opiniowania żołnierzy zawodowych nie stosuje się jego przepisów. Tym samym żołnierz, wobec którego wystawiono taką opinię i nie wniesiono od niej odwołania, może legitymować się oceną, która została w niej wystawiona.

W przedstawionej sytuacji żołnierz, który sporządził opinię z naruszeniem przepisów ustawy i rozporządzenia, ponosi odpowiedzialność dyscyplinarną, choćby dopuścił się tego naruszenia w sposób nieumyślny. Ponadto, o ile okoliczności sprawy tak wykażą, może on odpowiadać również karnie. Jednak, aby móc postawić mu zarzut popełnienia przestępstwa, o którym mowa w art. 271 §1 kodeksu karnego – należy wykazać, że jako osoba uprawniona do wystawienia dokumentu w postaci opinii służbowej, celowo poświadczył w nim nieprawdę. Nadmienić przy tym należy, że wystawienie oceny dostatecznej w opinii służbowej stwarza prawną przesłankę do zwolnienia żołnierza zawodowego z zawodowej służby wojskowej. Jest to decyzja uznaniowa. Do postępowania w sprawie zwolnienia ze służby mają zastosowanie przepisy kodeksu postępowania administracyjnego. ■

ROBERT KŁOSIŃSKI

Podstawy prawne: ustawa z 11 września 2003 roku (DzU 2010 nr 90 poz. 593 z późn. zm.) – art. 8 ust. 1, art. 26 ust. 8, ust. 11, art. 112 ust. 1 pkt. 4; rozporządzenie ministra obrony narodowej z 26 maja 2014 roku w sprawie opiniowania żołnierzy zawodowych (DzU 2014 poz. 764) – §8 ust. 2; ustawa z 6 czerwca 1997 roku „Kodeks karny” (DzU 1997 nr 88 poz. 553 z późn. zm.) – art. 271 §1–2; ustawa z 9 października 2009 roku o dyscyplinie wojskowej (DzU 2009 nr 190 poz. 1474 z późn. zm.) – art. 2 ust. 1, art. 16 ust. 1, art. 20 ust. 2, art. 22 ust. 2, art. 24.

MIESZKANIE DLA ŻOŁNIERZY

Chciałem zapytać o kwestię zakupu przez żołnierzy służby stałej mieszkania na kredyt z dopłatą w ramach programu „Mieszkanie dla młodych”. Czy żołnierz traci wówczas prawo do zakwaterowania lub otrzymywania świadczenia mieszkaniowego?

→ **Zagadnienia „mieszkaniowe” dotyczące żołnierzy zawodowych zostały uregulowane w ustawie o zakwaterowaniu Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej Polskiej.** Zgodnie z jej art. 21 ust. 1 żołnierz zawodowemu z dniem wyznaczenia na pierwsze stanowisko służbowe do dnia zwolnienia z czynnej służby wojskowej przysługuje prawo do zakwaterowania na czas pełnienia tej służby w miejscowości, w której ją pełni, w miejscowości pobliskiej albo w innej miejscowości za jego zgodą. Prawo do zakwaterowania następuje w formie przydziału kwatery albo innego lokalu mieszkalnego, przydziału miejsca w internacie albo kwaterze internatowej lub wypłaty świadczenia mieszkaniowego. Żołnierz służby stałej wybiera na swój wniosek jedną z tych form zakwaterowania.

Ustawa określa także przesłanki negatywne, wykluczające realizację prawa do zakwaterowania. Jedną z nich jest nabycie przez żołnierza zawodowego lub jego małżonka od Skarbu Państwa, Agencji Mienia Wojskowego albo jednostki samorządu terytorialnego lokalu mieszkalnego z bonifikatą lub z uwzględnieniem pomniejszenia w cenie nabycia. Należy dodać, że przez lokal mieszkalny w brzmieniu zgodnym z ustawą o zakwaterowaniu Sił Zbrojnych RP należy rozumieć samodzielny lokal mieszkalny znajdujący się w dyspozycji Agencji Mienia Wojskowego.

Wobec powyższego jedynie nabycie lokalu mieszkalnego od jednego z wymienionych podmiotów skutkuje utratą prawa do zakwaterowania w rozumieniu art. 21 ust. 6 pkt 3 ustawy o zakwaterowaniu. O ile bowiem dofinansowanie przez państwo wkładu własnego (o którym mowa w ustawie z 27 września 2013 roku o pomocy państwa w nabyciu pierwszego mieszkania przez młodych ludzi, regulującej program „Mieszkanie dla młodych”) stanowi swego rodzaju pomoc publiczną,

o tyle zakup mieszkania w ramach tego programu nie może być rozumiany jako „bonifikata” ani „pomniejszona cena nabycia”, o których mowa w art. 21 ust. 6 pkt 3 ustawy o zakwaterowaniu.

Należy również pamiętać o utracie prawa do zakwaterowania w miejscowości, w której żołnierz zawodowy pełni służbę przez czas jej trwania, w razie gdy nie zamieszkuje on w kwaterze albo innym lokalu mieszkalnym dłużej niż trzy miesiące z przyczyn niewynikających ze stosunku służby lub innych niezależnych od niego.

Odnosząc się do świadczenia mieszkaniowego, będącego jedną z form zakwaterowania, należy wziąć pod uwagę, że nie przysługuje ono m.in. żołnierzowi: przeniesionemu do rezerwy kadrowej, który nie wykonuje zadań służbowych; przeniesionemu do dyspozycji, zwolnionemu z wykonywania zadań służbowych; oraz wyznaczonemu do pełnienia służby poza granicami państwa, korzystającemu z prawa do nieodpłatnego zakwaterowania w lokalu mieszkalnym albo równoważnika pieniężnego na wynajęcie takiego lokalu.

Z powyższego jasno wynika, że zakup przez żołnierza służby stałej mieszkania na kredyt z dopłatą w ramach programu „Mieszkanie dla młodych” nie powoduje utraty prawa do zakwaterowania w żadnej z form, w tym w formie świadczenia mieszkaniowego. Jest to zgodne ze stanowiskiem Agencji Mienia Wojskowego, według którego żołnierz może przeznaczyć otrzymywane świadczenie mieszkaniowe na zaspokojenie potrzeb mieszkaniowych we własnym zakresie i nie musi dokumentować, na co przeznaczył otrzymane środki finansowe. ■

DAMIAN MAZANOWSKI

aplikant radcowski Kancelaria Radców Prawnych SC
K&J Przymęccy

Podstawy prawne: ustawa z 22 czerwca 1995 roku o zakwaterowaniu Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej Polskiej (DzU 2015 poz. 746 z późn. zm.) – art. 1a ust. 1 pkt 1, art. 21 ust. 1–3, 6, 8 pkt 1, art. 48d ust. 2; ustawa z 27 września 2013 roku o pomocy państwa w nabyciu pierwszego mieszkania przez młodych ludzi (DzU 2015 poz. 1865 z późn. zm.) – art. 2 pkt 8, art. 3.

Porady zamieszczane na łamach „Polski Zbrojnej” mają charakter informacyjno-doradczy i nie stanowią wiążącej interpretacji i wykładni prawa.

ODWOŁANIE OD ORZECZENIA KOMISJI

Po miesiącu przebywania na zwolnieniu lekarskim zostałem skierowany na wniosek dowódcy do Rejonowej Wojskowej Komisji Morsko-Lekarskiej w Gdańsku. Kardiolog po zrobieniu dodatkowych badań napisał „chory może służyć na swoim stanowisku”. Pomimo dobrych wyników komisja orzekła, że jestem niezdolny do służby – „N” (§38 pkt 7). Od orzeczenia tego odwołałem się do Centralnej Wojskowej Komisji Lekarskiej w Warszawie. Po dwóch miesiącach otrzymałem odpowiedź, że podtrzymuje ona zaskarżone orzeczenie i że mogę jedynie w ciągu 30 dni złożyć skargę do sądu administracyjnego. Jeśli RWKML nie podierała się aktualnymi wynikami, a komisja w Warszawie nawet nie wezwwała mnie na dodatkowe badania, czy można to jakoś zaskarżyć? Czy jeśli wpisano mi trzecią grupę inwalidzką bez związku ze służbą wojskową, to czy należy mi się renta? Jestem podoficerem z ośmioletnim stażem. Mam pięcioro dzieci, a moja żona jest bezrobotna. Odejście z zawodowej służby wojskowej byłoby dla mnie ciosem.

➔ **Od ostatecznego orzeczenia wojskowej komisji lekarskiej dotyczącego zdolności do zawodowej służby wojskowej przysługuje skarga do wojewódzkiego sądu administracyjnego.** Należy ją faktycznie złożyć w ciągu 30 dni, licząc od dnia następnego, po którym zostało doręczone orzeczenie komisji lekarskiej.

Jednocześnie trzeba podkreślić, że w skardze nie powinno się zarzucać komisji lekarskiej wadliwej oceny stanu zdrowia, ponieważ kwestie te są wyłączone spod kontroli sądowej. Zarzuty powinny dotyczyć wyłącznie błędów komisji dotyczących procedury orzekania. Oznacza to, że jeżeli w trakcie orzekania lekarz specjalista pozytywnie wypowiedział się, co do dalszej zdolności do służby żołnierza zawodowego – to komisja lekarska była zobligowana do wzięcia takiej opinii pod uwagę. Oczywiście komisja może się nie zgodzić z opinią lekarza specjalisty. Wówczas musi zlecić przeprowadzenie dodatkowych badań przez innego specjalistę. Cięży na niej również obowiązek szczegółowego uzasadnienia negatywnej oceny pozytywnej opinii wydanej wobec orzekanego. Jeżeli komisja nie dopełni tych obowiązków, można powiedzieć, że w trakcie orzekania doszło do istotnych naruszeń przepisów o postępowaniu przy orzekaniu i takie naruszenie zarzucić w skardze do sądu administracyjnego. Trzeba jednak pamiętać, że uchylenie orzeczenia komisji lekarskiej przez sąd nie powoduje automatycznego powrotu do służby wojskowej, ale jedynie stwarza możliwość do ponownej oceny stanu zdrowia żołnierza.

Analizując przypadek żołnierza, należy uznać, że mogło dojść do istotnych błędów proceduralnych. Szczególnie, że komisja lekarska nie wezwwała orzekanego na ponowne badania lekarskie, co wynika wprost z procedury orzekania, gdzie jest mowa o tym, że postępowania toczące się przed komisjami lekarskimi jest dwuinstancyjne. Dwuinstancyjność orzekania oznacza, że każda z instancji powinna osobno przeprowadzić czynności orzecznicze mające na celu sprawdzenie, czy żołnierz faktycznie ze względów zdrowotnych nie będzie mógł pełnić zawodowej służby wojskowej.

W sytuacji, gdy wojskowa komisja lekarska orzeknie niezdolność do służby wojskowej – jest to jednoznaczne z tym, że dowódca jednostki wojskowej jest zobligowany do zwolnienia żołnierza z zawodowej służby wojskowej z dniem uprawomocnienia się określonego orzeczenia komisji lekarskiej. Jednostka wojskowa jest również zobowiązana do wystawienia wszelkich wymagalnych dokumentów, które żołnierz przedstawia do właściwego wojskowego biura emerytalnego, by ustalić prawo do renty inwalidzkiej. Nie ma znaczenia dla ustalenia tego prawa fakt, że wojskowa komisja lekarska uznała, że brak jest związku inwalidztwa ze służbą.

Reasumując, w omawianym przypadku renta będzie przysługiwać żołnierzowi na czas określony w orzeczeniu komisji lekarskiej. Po upływie tego okresu dyrektor wojskowego biura emerytalnego skieruje byłego żołnierza zawodowego na badania kontrolne do komisji, która ponownie oceni stan jego zdrowia. Jeśli komisja nie stwierdzi inwalidztwa, żołnierz utraci prawo do renty inwalidzkiej i jednocześnie będzie mógł się starać o ponowne przyjęcie do zawodowej służby wojskowej po przeprowadzeniu badań lekarskich na jego wniosek. ■

ROBERT KŁOSIŃSKI

Podstawy prawne: rozporządzenie ministra obrony narodowej z 8 stycznia 2010 roku w sprawie orzekania o zdolności do zawodowej służby wojskowej oraz właściwości i trybu postępowania wojskowych komisji lekarskich w tych sprawach (DzU 2010 nr 15 poz. 80 z późn. zm.) – §22 ust. 1, §23 ust. 1, §29; ustawa z 11 września 2003 roku (DzU 2010 nr 90 poz. 593 z późn. zm.) – art. 111 ust. 1 pkt. 3, art. 115 ust. 2, art. 116 ust. 1–3; ustawa z 10 grudnia 1993 roku o zaopatrzeniu emerytalnym żołnierzy zawodowych oraz ich rodzin (DzU 1994 nr 10 poz. 36 ze zm.; tekst jednolity z 20 lutego 2013 roku w DzU 2013 poz. 666) – art. 19, art. 20 ust. 1 pkt. 3, art. 22 ust. 1 pkt. 3, art. 31 ust. 1; rozporządzenie ministra obrony narodowej z 10 lutego 2012 roku w sprawie trybu postępowania i właściwości organów w sprawach zaopatrzenia emerytalnego żołnierzy zawodowych oraz uprawnionych członków ich rodzin (DzU 2012 poz. 194) – §4, §5 ust. 1, §10 ust. 1; ustawa z 14 czerwca 1960 roku „Kodeks postępowania administracyjnego” (DzU 2000 nr 98 poz. 1071 z późn. zm.) – art. 15, art. 75 §1, art. 76 §1, art. 77 §1, art. 78 §1, art. 84 §1–2, art. 136.

NIEZBĘDNIK / Z WOKANDY

KONIEC TRAUMY ŻOŁNIERZA ZAWODOWEGO

→ **Wydaje się, że to ostatni pojedynek żołnierza z organem emerytalno-rentowym w sprawie należnej wojskowej renty inwalidzkiej.** Sprawa dotyczyła byłego żołnierza zawodowego, który po misji w Afganistanie nie mógł poradzić sobie z negatywnymi objawami klinicznymi dotyczącymi własnej osobowości. Mimo że we wstępnym badaniu u żołnierza rozpoznano objawy stresu pourazowego, to komisja lekarska uznała, że są to zaburzenia niezwiązane ze szczególnymi właściwościami i warunkami służby poza granicami kraju oraz że żołnierzowi nie należy się renta inwalidzka. Na nic zdali się opinie lekarzy prowadzących leczenie żołnierza. Komisja nie brała ich pod uwagę. Na podstawie orzeczeń wojskowych komisji lekarskich organ emerytalno-rentowy wydał decyzję odmowną w sprawie przyznania renty inwalidzkiej. Podkreślenia wymaga to, że wojskowe biuro emerytalne nie podjęło żadnych czynności mających na celu ustalenie, dlaczego występują tak diametralne różnice oceny stanu zdrowia żołnierza pod kątem przyczyn powstania schorzenia.

3 grudnia 2015 roku przed Sądem Okręgowym Pracy i Ubezpieczeń Społecznych w Szczecinie zapadł wyrok (sprawa o sygn. akt. VI U 694/14) zmieniający decyzję dyrektora Wojskowego Biura Emerytalnego w Szczecinie i przyznający byłemu żołnierzowi zawodowemu prawo do wojskowej renty inwalidzkiej w związku ze służbą. Ponadto sąd uznał, że inwalidztwo pozostaje w związku ze szczególnymi właściwościami i warunkami służby wojskowej i z tego tytułu żołnierzowi przysługuje zwiększenie podstawy świadczenia rentowego o 10%. Orzekł też odpowiedzialność dyrektora WBE w Szczecinie za wydanie wadliwej decyzji w sprawie. Oznacza to, że zainteresowanemu będą przysługiwać odsetki od kwoty spornej części świadczenia, poczynsz od wniesienia odwołania.

Sprawa trwała ponad trzy lata. Przeszła raz tok instancyjny i wróciła do ponownego rozpoznania z uwagi na błędy procesowe. Wyrok nie jest prawomocny, jednak WBE w Szczecinie podjęło już czynności mające na celu wypłatę renty inwalidzkiej i odsetek. ■

ROBERT KŁOSIŃSKI

RENTA DLA SAPERA

→ **Inwalidztwo byłego żołnierza zawodowego jest związane z jego wypadkiem w służbie poza granicami kraju, uznał sąd.** Sprawa dotyczyła byłego żołnierza zawodowego, który w trakcie pełnienia zawodowej służby wojskowej doznał wypadku w służbie poza granicami kraju. Pomimo tak oczywistego zdarzenia, wojskowa komisja lekarska nie uznała tego faktu jako powodującego inwalidztwo byłego żołnierza. Orzekła również, że schorzenie, które leczył on po wypadku, nie pozostaje w związku z samym wypadkiem. Żołnierz nie zgodził się z tak krzywdzącą, w jego ocenie, decyzją komisji i zaskarżył ją do Centralnej Wojskowej Komisji Lekarskiej w Warszawie. Ta podtrzymała stanowisko komisji pierwszej instancji. Na podstawie orzeczeń wojskowych komisji lekarskich dyrektor Wojskowego Biura Emerytalnego we Wrocławiu wydał decyzję, która została poddana kontroli sądowej.

W trakcie procesu sądowego biegli sądowi zgodnie uznali, że inwalidztwo jest związane z wypadkiem w służbie. 11 grudnia 2015 roku Sąd Okręgowy – Sąd Pracy i Ubezpieczeń Społecznych we Wrocławiu (sprawa o sygn. akt. VII U VII U 780/14) wydał wyrok, na mocy którego zmienił decyzję dyrektora Wojskowego Biura Emerytalnego we Wrocławiu. Tym samym przyznał byłemu żołnierzowi zawodowemu prawo do wojskowej renty inwalidzkiej drugiej grupy na stałe. Jednocześnie sąd uznał, że inwalidztwo należy przyznać w wysokości 70% podstawy wymiaru plus 10% podstawy wymiaru dla inwalidów, których inwalidztwo pozostało w związku z wypadkiem w służbie. Orzekł również, że inwalidztwo powstało od lipca 2012 roku, a zatem od tej daty należy wyrównać otrzymywane obecnie świadczenie emerytalne. Wyrok nie jest prawomocny. ■

ROBERT KŁOSIŃSKI

WETERANI PYTAJĄ

Jestem weteranem poszkodowanym. Ostatnio próbowałem skorzystać z dostępu do lekarza poza kolejnością. Przedstawiłem legitymację weterana poszkodowanego, ale kazano mi czekać w kolejce. Co mogę zrobić, aby respektowano moje prawa?

→ **Nie tylko przepisy ustawy o weteranach działań poza granicami państwa określają, jakie uprawnienia przysługują weteranom.** W tej ustawie zaznaczono jedynie, że weteranom przysługują świadczenia opieki zdrowotnej. Jednak szczegółowy opis rodzaju uprawnień dotyczących leczenia urazów i chorób nabytych podczas działań poza granicami państwa oraz osób uprawnionych został uregulowany w ustawie z 27 sierpnia 2004 roku o świadczeniach opieki zdrowotnej finansowanych ze środków publicznych oraz w jej aktach wykonawczych.

W ustawie jest mowa, że prawo do korzystania ze świadczeń zdrowotnych przysługuje uprawnionym na podstawie odrębnego od legitymacji weterana poszkodowanego dokumentu. Jest nim legitymacja osoby poszkodowanej poza granicami państwa. Jeśli weteran poszkodowany nie przedstawił takiej legitymacji, lekarz miał podstawę, aby nie udzielić mu świadczenia medycznego poza kolejnością.

Wniosek o przyznanie legitymacji osoby poszkodowanej poza granicami państwa należy kierować do ministra obrony narodowej (Departament Wojskowej Służby Zdrowia, ul. Królewska 1, 00-909 Warszawa). Trzeba do niego dołączyć: orzeczenie wojskowej komisji lekarskiej w sprawie zdolności do pełnienia zawodowej służby wojskowej albo zaświadczenie wydane przez lekarza prowadzącego leczenie, potwierdzające doznanie urazu lub choroby podczas służby poza granicami państwa, wydane po powrocie do kraju; protokół powypadkowy; dwie fotografie o wymiarach 30x35 mm, podpisane na odwrocie imieniem i nazwiskiem; zgodę na przetwarzanie danych osobowych.

Dokumenty powinny być złożone w oryginałach lub kopiach potwierdzonych za zgodność z oryginałem. Legitymację osoby poszkodowanej poza granicami państwa należy odebrać osobiście. Jeśli wnioskodawca ma problem z dokonaniem osobistego odbioru, może już we wniosku upoważnić inną osobę, której zostanie ona wydana.

Legitymacja osoby poszkodowanej uprawnia m.in. do:

- korzystania poza kolejnością ze świadczeń opieki zdrowotnej i świadczeń specjalistycznych w ambulatoryjnej opiece zdrowotnej obejmujących leczenie urazów i chorób nabytych podczas wykonywania zadań poza granicami państwa;

GDZIE SZUKAĆ POMOCY?

Legitymacja osoby poszkodowanej jest przyznawana uczestnikom działań poza granicami państwa, którzy doznali urazu lub choroby podczas pełnienia służby poza granicami państwa. Jej otrzymanie nie jest równoznaczne z posiadaniem statusu weterana poszkodowanego.

Jeśli uprawnienia w zakresie opieki zdrowotnej nie są realizowane oraz jeśli mają Państwo problemy z odbiorem legitymacji osoby poszkodowanej poza granicami państwa, prosimy o kontakt z Centrum Weterana Działań poza Granicami Państwa.

- korzystania poza kolejnością, w wypadku leczenia urazów i chorób nabytych podczas wykonywania zadań poza granicami państwa, ze stacjonarnych i całodobowych świadczeń opieki zdrowotnej innych niż wymienione. Weteran poszkodowany ma prawo do bezterminowego czasu trwania leczenia w zakresie świadczeń opieki zdrowotnej, o których mowa powyżej;

- otrzymywania świadczeń zdrowotnych niezakwalifikowanych jako świadczenia gwarantowane oraz odpłatnych świadczeń opieki zdrowotnej, w zakresie urazów i chorób nabytych podczas wykonywania zadań poza granicami państwa, pokrywanych z budżetu państwa w ramach części pozostającej w gestii ministra obrony narodowej;

- bezpłatnego zaopatrzenia w leki na czas leczenia urazów lub chorób nabytych podczas wykonywania zadań poza granicami państwa;

- bezpłatnych wyrobów medycznych, koniecznych do leczenia urazów lub chorób nabytych podczas wykonywania zadań poza granicami państwa.

Istotne jest to, że legitymacja osoby poszkodowanej, oprócz danych osobowych, zawiera także kod ICD-10 określający rodzaje schorzeń, na których leczenie przysługują uprawnienia przewidziane w przepisach. W praktyce oznacza to, że na przykład żołnierzowi, który podczas pobytu na misji doznał urazu słuchu oraz kolana, prawo do świadczeń opieki zdrowotnej udzielanych poza kolejnością będzie przysługiwało tylko jeśli chodzi o te uszczerbki. ■

IZABELA STELMACH, prawnik
Centrum Weterana Działań poza Granicami Państwa

Drodzy Czytelnicy, jeśli macie pytania dotyczące przepisów prawnych dla weteranów przysyłajcie je na adres: niezbednik@zbrojni.pl

EKSTREMALNE KULINARIA / TRUDNE



Grillowany pstrąg ze szczawikiem

Trzy ząbki czosnku, pół szklanki szczawiku, łyżeczka soli, łyżka oliwy z oliwek, dwa pstrągi

Z czosnku, oliwy, liści szczawiku i soli utrzeć pesto. Sprawić pstrągi, posolić je i nafaszerować pesto, które nada mięsu lekko kwaskowy

smak. Ryby owinać folią aluminiową posmarowaną oliwą i włożyć do piekarnika nagrzanego do 180°C. Piec 20–30 minut. Podawać z ziołowym masłem i pieczonymi ziemniakami.

Szczawik zajęczy, przypominający trójlistną koniczynę, to roślina pospolita, która rośnie w całym kraju. Lubi miejsca zacienione, zarosła, lasy liściaste i pola.

Młode listki zbieramy na wiosnę i wczesnym latem. Szczawik jest

kwaskowaty, ale delikatniejszy w smaku od szczawiu. Jego smak wzbogaca sałatki, zupy, twarożki, jogurty i majonezy. Można też przyrządzić z niego zupę. Jest bogaty w witaminę C, zawiera żelazo i szczawiany, dlatego nie powinien go jeść osoby z kamicą nerkową. Napar z liści leczy kaszel, pobudza trawienie i metabolizm, obniża gorączkę, działa żółciopędnie, moczopędnie, jest stosowany też przy zapaleniu dziąseł. AD



Z ŻOŁNIERSKIEGO KOTŁA

**PIOTR
BERNABUK**

Dowódca lekkostrawny

Panie poruczniku, czujemy się zaszczytzeni, że nasz dowódca plutonu wspólnie ze swoimi żołnierzami zasiadł do posiłku.

– Panie kapralu, przecież wszyscy jesteśmy żołnierzami...

– Pan porucznik jest naszym dowódcą od niedawna, ale już widać, że na każdym kroku świeci przykładem...

– Jeszcze w szkole oficerskiej uczono mnie zasady: za mną! A nie: na przód!

– Właśnie, chcielibyśmy we wszystkim brać przykład z dowódcy...

– Przepraszam, pomogę wyartykułować problem koledze kapralowi: czy panu porucznikowi smakuje obiad? Bo jakoś tak zupki ledwo, ledwo, z drugiego jedynie ziemniaczki i surówka.

– Pan sierżant chciał zapytać – że się wtrączę – czy to jakaś dolegliwość. Bo nie sądzę, żeby się nasz dowódca musiał odchudzać.

– Odchudzać? Nie, skądże.

– A może wegetarianizm pana porucznika dopadł? Znamy to schorzenie, bo był u nas taki szer. Stopa. Żarł roślinki, aż się zagłodził biedaczek. W wojsku został, ale odszedł gdzieś do mniej wymagających zajęć.

– Cóż, nie wiem, jak tu panom wyjaśnić, żeby źle nie zabrzmiało. Zdaje sobie sprawę, że prawdziwy wojownik najchętniej pożera mięso.

– I najchętniej, panie poruczniku, popija piwem.

– Właśnie. Tymczasem mnie się tak przytrafiło, że z natury jestem zwolennikiem potraw lekkostrawnych. Bez żadnej schizy, tak po prostu.

– Cóż, panie poruczniku, nikt nie jest doskonały.

– Mimo wszystko może pan być dobrym dowódcą, takim lekkostrawnym.



/ ŁATWE

Sałatka z kurczaka i liści buka

Pierś kurczaka, ser typu camembert, garść roszponki, pół sałaty lodowej, kilka rzodkiewek, filiżanka młodych listków buka, czerwona cebula, dwie mandarynki, łyżka sosu sojowego, dwie łyżki oliwy, sok z połówki cytryny, szczypta soli, olej do smażenia

Pierś kurczaka marynujemy pół godziny w sosie sojowym, smażymy na oleju na złoty kolor. Liście sałat myjemy, osuszmy i większe rwiemy na kawałki. Mandarynki obieramy i dzielimy na cząstki. Cebule obieramy i kroimy na cienkie piórka, a rzodkiewkę na talariki. Ser kroimy na trójkąty. Robimy dressing, łącząc oliwę z sokiem z cytryny i solą. Zielone składniki mieszamy ze sobą, dodajemy cebulę, rzodkiewki, na to pokrojonego kurczaka, mandarynki i ser. Polewamy dressingiem i delikatnie mieszamy.

Buk zwyczajny to drzewo o charakterystycznej gładkiej jasnopopielatej lub szarej korze. Jadalne są jego orzeszki zwane bukwią, a wczesną wiosną także młode, kwaskowate liście. AD



ARSENAŁ

/ PRZEGLĄD



Shenyang J-15
– prototypowe
samoloty
myśliwskie
na pierwszym
chińskim
lotniskowcu
„Liaoning”

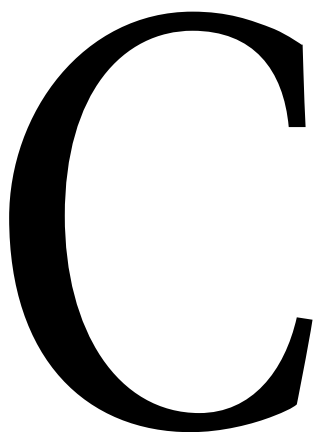
XINHUA NEWS/EAST NEWS

RAFAŁ CIASTOŃ

DYPLOMACJA LOTNISKOWCÓW

**Zbudowanie lotniskowca będzie takim
przełomem dla chińskiej marynarki wojennej,
jak pojawienie się w niej strategicznych okrętów
podwodnych typu Jin.**





Chiny, trzy lata po wprowadzeniu do służby pierwszego odkupionego od Ukrainy poradzieckiego lotniskowca, rozpoczęły budowę rodzimej jednostki tej klasy. Yang Yujun, rzecznik ministerstwa obrony, nie określił wprawdzie terminu wejścia nowego okrętu do służby, ale część zachodnich ekspertów przewiduje, że może to nastąpić już około 2019–2020 roku.

WEJŚCIE DO ELITY

W 2012 roku, gdy po ośmioletnim okresie remontu i przebudowy trafił do służby w marynarce wojennej Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej (People's Liberation Army Navy – PLAN) „Liaoning”, Chiny dołączyły do niewielkiego grona użytkowników lotniskowców. Był to efekt wieloletnich działań zapoczątkowanych wizją adm. Liu Huaqinga jeszcze z lat siedemdziesiątych ubiegłego stulecia. Tyle że wówczas pozyskanie okrętu lotniczego nie było ani konieczne, ani możliwe do zrealizowania. Sama koncepcja natomiast była o tyle słuszna, że aspiracje w tej dziedzinie są naturalną konsekwencją wzrostu zainteresowania Chin obszarami morskimi (ale też i uzależnienia od nich). Lotniskowce jednak nie działają samodzielnie. By móc wykorzystać taki okręt, należy dysponować w pełni oceaniczną flotą, tymczasem zbudowanie jej trwa wiele lat.

Przygotowując się do osiągnięcia nowych możliwości, Chiny w 1985 roku odkupiły od Australii wycofany ze służby lotniskowiec HMAS „Melbourne”, który przed złomowaniem został starannie zbadany przez inżynierów i projektantów. W 1998 roku ChRL nabyła dwa kolejne okręty tej klasy – od Ukrainy „Wariaga”, a od południowokoreańskiej spółki, która miała złomować okręt – krążownik lotniczy „Mińsk” (proj. 1143). Dwa lata później Pekin kupił od Rosji drugą jednostkę tego typu – „Ki-

jów”. „Wariag”, który miał się stać pływającym kasynem w Makau, nigdy nie dotarł do miejsca przeznaczenia. Po przyholowaniu w 2002 roku został zacumowany w Dalianie, gdzie po kolejnych dwóch latach ruszyła jego przebudowa. Wprowadzenie zmodernizowanego okrętu do służby odbiło się w świecie szerokim echem.

„Liaoning” nie jest jednak w pełni wartościową jednostką bojową, co wynika z braków funkcjonalnych samego okrętu i ograniczeń strukturalnych PLAN-u. Okręt stanowi mimo to doskonałą platformę, która umożliwia wyszkolenie pierwszej generacji pilotów lotnictwa morskiego, ale przede wszystkim pozwala na zapoznanie kadry dowódczej marynarki z zasadami operowania takimi okrętami. „Liaoning” pozostanie w służbie zapewne co najmniej dwie dekady. W tym czasie Chiny wejdą w posiadanie kilku kolejnych lotniskowców – Pekin podobno chce zdobyć od trzech do pięciu takich jednostek.

PYTANIA I ODPOWIEDZI

Dywagacje na temat budowy przez ChRL rodzimego lotniskowca pojawiały się w mediach w ostatnich latach co najmniej kilkakrotnie. Zastanawiano się m.in., czy będzie to jednostka o napędzie konwencjonalnym, czy też jądrowym; czy zostanie wyposażona w katapulty, czy w tzw. skocznię narciarską oraz jak silną grupą lotniczą będzie dysponować. Wypowiedź rzecznika ministerstwa obrony z grudnia 2015 roku rozwiązała część wątpliwości – okręt będzie konstrukcyjnie zbliżony do „Liaoninga”. Przy wyporności około 50 tys. t zostanie wyposażony nie w katapulty, lecz w skocznię, co ograniczy masę startową samolotów operujących z pokładu. Według wypowiedzi Yang Yujuna w skład grupy lotniczej nowej jednostki będą wchodzić zarówno produkowane obecnie J-15, czyli chińska wersja Su-33, jak i inne typy maszyn.



Slużba na nowoczesnym lotniskowcu będzie dla chińskich marynarzy i oficerów nie lada wyzwaniem.

Chociaż J-15 konstrukcyjnie jest oparty na uchodzącej za nowoczesną i dysponującą dużym potencjałem bojowym maszynie rosyjskiej, opinie na jego temat są raczej nieprzychylnie. Wielką bolączką Chińczyków zawsze była słaba jakość silników lotniczych, co przejawia się zarówno ich mniejszą mocą w stosunku do masy własnej, jak i krótszymi resursami. W wypadku maszyny pokładowej, dodatkowo startującej ze skoczni, może to ograniczać masę zabieranego na pokład paliwa i uzbrojenia.

Krytyczne opinie na temat J-15 pojawiały się w publikacjach nie tylko zachodnich, lecz także chińskich. Możliwe zatem, że „latający rekin” nie będzie docelowym myśliwcem pokładowym PLAN-u w kolejnej dekadzie. Według amerykańskich źródeł, Pekin pracuje nad myśliwcem skróconego startu i pionowego lądowania (STOVL), a więc podobnym do F-35B. Być może będzie to wersja J-31, który wizualnie bardzo przypomina JSF. I może to ta maszyna trafi na pokłady chińskich lotniskowców. Grupę lotniczą, liczebnie zbliżoną do tej z „Liaoninga”, a więc liczącą łącznie 36–48 maszyn, najprawdopodobniej będą uzupełniać śmigłowce Z-8/Z-18.

Nowy lotniskowiec, oznaczany jako typ 001A, mimo licznych podobieństw do radzieckiej konstrukcji pod wieloma względami będzie się od niej różnił. Różnice mają dotyczyć m.in. kształtu kadłuba, jego struktury wewnętrznej, wielkości i umiejscowienia tzw. wyspy czy wreszcie materiałów użytych do produkcji oraz systemów pokładowych i uzbrojenia. Deklarowana wyporność wskazuje, że – w odróżnieniu od superlotniskowców klasy Nimitz – głównym przeznaczeniem jednostki będzie zapewnienie parasola lotniczego zgrupowaniom floty, a nie projekcja siły z morza na ląd.

Należy zwrócić uwagę, że Chiny nie dysponują dziś maszynami pokładowymi innych klas niż myśliwce, tj. samolotami wczesnego wykrywania i dowodzenia, walki radioelektronicznej czy przeznaczonymi do zwalczania okrętów podwodnych. Brak też doniesień, by pracowano nad takimi konstrukcjami. Odrębną kwestią pozostaje, czy samolot klasy amerykańskiego E-2 byłby w stanie startować za pomocą skoczni.

W grudniowym wystąpieniu rzecznik chińskiego ministerstwa obrony mówił o jednym nowo budowanym lotniskowcu, ale media tajwańskie jeszcze we wrześniu donosiły o dwóch okrętach – bliźniak tego budowanego w Dalianie ma powstawać w Szanghaju. Nie byłoby w tym nic dziwnego, ponieważ chińscy oficerowie i teoretycy od dawna mówili o potrzebie posiadania co najmniej trzech lotniskowców, ale nieco zaskakująca może się wydawać decyzja o budowie dwóch jednostek tej samej klasy, z konwencjonalnym napędem i bez katapult.

Można wytłumaczyć na dwa sposoby, dlaczego Chińczycy odkładają w czasie budowę większych lotniskowców, opartych na nowoczesnych rozwiązaniach. Być może Pekin chce stosunkowo szybko zbudować nowe, w pełni operacyjne okręty, które umożliwią wykonywanie zadań stawianych przed flotą. Poza tym w ten sposób Chińczycy zdobędą doświadczenie w operowaniu takimi jednostkami. Nie można też zapominać o tym, że posiadanie lotniskowców jest świadectwem pozycji mocarstwowej.

Druga możliwość opiera się na założeniu, że Chiny zdecydują się nie na trzy, lecz na pięć lotniskowców (jak wspomniano, ta liczba również pojawia się w części opracowań), a kolejne już będą wyposażone w katapulty (tzw. typ 002) oraz napęd jądrowy (typ 003). Ten scenariusz →

wyduje się tym bardziej prawdopodobny, że kolejne okręty pojawiłyby się w linii najwcześniej w drugiej połowie lat dwudziestych lub, co bardziej prawdopodobne, na początku czwartej dekady XXI wieku, co mogłoby się zbiec z wycofaniem ze służby „Liaoninga”.

ROZGRYWKI STRATEGICZNE

W dyskusjach i publikacjach dotyczących potrzeby posiadania przez Chiny lotniskowców często powraca kwestia rozmieszczenia w 1996 roku przez Stany Zjednoczone dwóch lotniskowcowych grup uderzeniowych w rejonie Cieśniny Tajwańskiej, co miało związek z wywołanym przez ChRL wzrostem napięcia w relacjach między dwoma państwami chińskimi. Ta współczesna wersja dyplomacji kanonierek kojarzyła się politykom i wojskowym Państwa Środka z okresem wojen opiumowych i późniejszego podporządkowania cesarstwa państwom Zachodu, postrzeganym jako czas największego upokorzenia kraju. Należy jednak podkreślić, że nawet gdy się założy scenariusz próby siłowej reunifikacji tzw. zbuntowanej chińskiej prowincji Tajpej, okręty tej klasy nie są Pekinowi niezbędne. Tajwan znajduje się bowiem w zasięgu samolotów sił powietrznych. Oczywiście lotnictwo pokładowe przedstawiałoby wartość dodaną, jednocześnie jednak, występując przeciwko zgrupowaniu US Navy, sam lotniskowiec byłby mocno narażony na ataki.

Ze strategiczno-operacyjnego punktu widzenia większą korzyścią byłoby zapewne umieszczenie go w rejonach bardziej oddalonych od Tajwanu i Morza Wschodniocchińskiego, co zmuszałoby Stany Zjednoczone do rozproszenia własnych sił. W kontekście tajwańskim dla ChRL większe znaczenie ma rozwój tzw. strategii anty-dostępowej (anti-access/area denial – A2/AD), a więc rozmieszczanie w rejonie cieśniny systemów uzbrojenia zwiększających koszty zaangażowania państw trzecich, niż wystawianie na niepotrzebne ryzyko symboli własnej potęgi.

Rola lotniskowców i lotnictwa pokładowego będzie oczywiście wzrastać w każdym scenariuszu kryzysowym, w który nie będą się angażować Stany Zjednoczone. Choć biorąc pod uwagę siatkę sojuszy Waszyngtonu oraz znaczenie regionalnych morskich linii komunikacyjnych (SLOCs), niemal każda tego rodzaju sytuacja w regionie musiałaby wywoływać reakcję supermocarstwa.

POSIADANIE LOTNISKOWCA MA DLA CHIN ZNACZENIE NIE TYLKO MILITARNE, LECZ TAKŻE POLITYCZNE

Posiadanie lotniskowca procentuje jednak nie tylko w wypadku działań zbrojnych. Spory wydźwięk polityczny będą miały np. rutynowe patrole pełnione przez okręty tej klasy na spornych obszarach Morza Południowocchińskiego. Dysproporcja potencjału marynarek wojennych (oraz różnego rodzaju agencji oceanicznych) między ChRL a pozostałymi państwami regionu sprawia, że nawet obecność w tym rejonie jednego niszczyciela czy fregaty przyczynia

się do eskalacji napięcia. Nawet niemająca charakteru demonstracji siły dyplomacja lotniskowców będzie odbierana podobnie jak obecność okrętów amerykańskich w Cieśninie Tajwańskiej w 1996 roku.

NOWA JAKOŚĆ

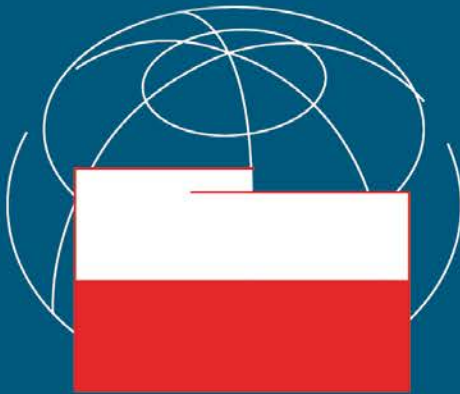
Chińczycy często posługują się terminem „operacje militarne inne niż wojna” (military operations other than war – MOOTW), do których zaliczają się m.in. pomoc humanitarna i wsparcie dla ofiar klęsk żywiołowych, ewakuacja ludności cywilnej z obszarów zagrożonych konfliktem, ochrona szlaków transportowych, w tym także walka z piractwem. Pamiętając o uzależnieniu gospodarki chińskiej od importowanych surowców, należy się spodziewać, że to właśnie rejsy związane z ochroną SLOCs oraz prezentacją bandery będą najczęstszymi misjami wykonywanymi przez lotniskowce i towarzyszące im jednostki. Będą to też okazje do zdobycia doświadczenia, w jaki sposób dowodzić grupą i jak skonfigurować jej skład, aby mogła ona działać jako w pełni samodzielny i efektywny zespół bojowy.

Dla chińskich stoczni zbudowanie od podstaw lotniskowca będzie nie lada wyzwaniem. Trudno dziś stwierdzić, czy rzeczywiście będą mogły sprostać mu w ciągu czterech lat, jak domniemają niektóre ośrodki. Jednocześnie z kolejnym wyzwaniem będzie zmuszony sobie poradzić przemysł lotniczy – musi udoskonalić J-15 lub przystosować do operowania z pokładu kolejny typ myśliwca. Wzbogacona o doświadczenia z eksploatacji „Liaoninga” marynarka w następnej dekadzie będzie je dalej rozwijać, tworząc grupy bojowe.

Zbudowanie lotniskowca typu 001A to dla PLAN-u taki przełom, jak pojawienie się strategicznych okrętów podwodnych typu Jin, będących, z jednej strony, pierwszą klasą boomerów, które osiągnęły gotowość operacyjną, z drugiej zaś – platformą służącą do zebrania doświadczeń w operowaniu nimi i przygotowaniu następców. ■

12.05.2016

Nowoczesne technologie



dla bezpieczeństwa kraju i jego granic

FOOTSTEP
PULL OUT

www.nowoczesnetechnologie.ztw.pl

TADEUSZ WRÓBEL

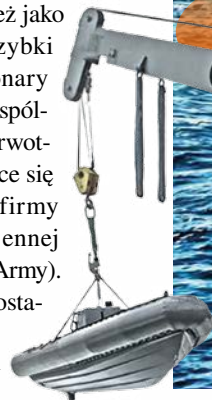
Na dalekie wyprawy

Amerykanie starają się zwiększyć możliwości działań ekspedycyjnych, szczególnie w rejonach, w których nie ma dostępu do infrastruktury portowej.

Sekretarz marynarki wojennej Ray Mabus 4 września 2015 roku zmienił nazewnictwo trzech typów nowych jednostek pływających podległych Dowództwu Wojskowego Transportu Morskiego (Military Sealift Comman – MSC). O zmianę tę wnioskował adm. Jonathan Greenert, szef operacji morskich US Navy. W ich nazwach znalazł się przymiotnik „ekspedycyjny”. W liście do Mabusy admirał podkreślił, że jednostki ekspedycyjne nie są przeznaczone do tych samych zadań co szturmowe desantowce. Przy wyjaśnianiu konieczności zmian nazewnictwa nowych typów okrętów odwołał się do rozkazu z lipca 1920 roku, w którym wprowadzono stosowane do dziś oznaczenia literowe okrętów US Navy. Wtedy literą „E” postanowiono określać jednostki expeditionary support, czyli wsparcia ekspedycyjnego. Innym powodem było to, że oprócz JHSV i AFSB, w amerykańskiej marynarce nie używa się czteroliterowych oznaczeń.

SZYBKIE PROMY

Jednym z typów, któremu zmieniono w minionym roku nazwę, jest wspólna jednostka wysokiej prędkości (Joint High Speed Vessel – JHSV), znana też jako typ Spearhead. Przemianowano ją na szybki transportowiec ekspedycyjny (Expeditionary Fast Transport) z prefiksem EPF. Słowo „wspólna” straciło sens, gdy zrezygnowano z pierwotnego planu, żeby szybkie promy, wywodzące się z cywilnego katamarana australijskiej firmy Austal, były zarówno w marynarce wojennej (US Navy), jak i w wojskach lądowych (US Army). W 2008 roku zakładano, że na początek zostanie zbudowane po pięć JHSV dla armii i floty. Budowę pierwszej rozpoczęto →



Łodzie hybrydowe zdejmowane są z pokładu za pomocą dźwigu.

załoga **41** pasażerowie **312**

długość **103 m**



USNS „Spearhead”

szerokość **28,5 m**



ładowność **544 t**

koje **104**



zanurzenie **3,83 m**

zasieg

2200 km



W zbiornikach
jest 378,5 tys.
litrów wody pitnej
i około 1,44 mln
litrów paliwa JP5.

szerokość
50 m

długość
239 m

USNS „John Glenn”

Niska i płaska platforma
przystosowana jest
do przewożenia
pojazdów, zaopatrzenia
oraz innego sprzętu.

wyporność
83 tys. t

zanurzenie
12 m

lądowisko dla śmigłowca

powierzchnia pokładu
transportowego – ponad
1800 m²

prędkość
43 w.

wysokość
4,7 m

rampa o nośności do
100 t

WALOREM EPF JEST PRĘDKOŚĆ I WIELKI PO- KŁAD TRANS- PORTOWY

w lipcu 2010 roku w amerykańskiej stoczni koncernu Austal w Mobile w stanie Alabama. Zanim tę jednostkę ukończono, US Army postanowiła przekazać swe przyszłe szybkie promy pod kontrolę US Navy.

Wodowanie i chrzest USNS „Spearhead” (JHSV 1) odbyły się 17 września 2011 roku. Po pomyślnym przejściu prób jednostkę przekazano marynarce wojennej 5 grudnia 2012 roku. Program ten miał już na starcie kilkumiesięczne opóźnienie, a koszty były wyższe, niż planowano. Niemniej jednak jest on kontynuowany. 14 stycznia 2016 roku US Navy przejęła szóstą jednostkę, USNS „Brunswick” (EPF 6), a przed końcem roku odbierze prawdopodobnie jeszcze siódmą, USNS „Carson City” (EPF 7). Dotychczas zamówiono dziesięć EPF. Procedurę zakupu jedenastej uruchomiono zaś w ostatnim kwartale 2015 roku.

Szybkie promy transportowe EPF mają 103 m długości i 28,5 m szerokości oraz zanurzenie 3,83 m. Cztery silniki wysokoprężne i tyle samo reduktorów zapewniają jednostkom o wyporności 2500 t możliwość osiągnięcia prędkości do 45 w. Im wyższe są fale, tym mniejsza prędkość. Przy stanie morza 4 jest to 15 w., a dla stanu wynoszącego 5 prędkość spada do zaledwie 5 w.

Walorem EPF jest nie tylko prędkość, lecz także wielki pokład transportowy o powierzchni ponad 1800 m² i wysokości 4,7 m oraz tylna rampa o nośności do 100 t. Dzięki tej ostatniej EPF może przewozić najcięższe pojazdy wojskowe, takie jak czołg podstawowy M1A2 Abrams. Na wyższym pokładzie są fotele dla 312 pasażerów. Jednostka może zapewnić im odpowiednie warunki pobytu w rejsach trwających nie dłużej niż cztery dni. EPF ma też zamontowane 104 koje i taka liczba osób może przebywać na pokładzie przez 14 dni. Transportowiec jest zdolny w krótkim czasie dostarczyć 544 t ładunku do miejsca oddalonego o 1200 Mm, czyli 2200 km.

Na pokładzie EPF znajdują się różnego typu łodzie hybrydowe i lądowisko dla śmigłowca. Szybki transportowiec nie dysponuje uzbrojeniem. Choć do jego obsługi przewidziano ponad 40-osobową załogę, w rzeczywistości tworzy ją tylko 22 cywilnych marynarzy.

PLYWAJĄCE NABRZEŻA I BAZY

Nazwy zmieniono nie tylko szybkim promom, ale także mobilnym platformom desantowym (Mobile Landing Platform – MLP), które teraz są ekspedycyjnymi dokami transferowymi (Expeditionary Transfer Dock) i mają nowy prefiks ESD. Kontrakt na budowę pierwszego okrętu

podpisano w końcu 2010 roku, a prace rozpoczęły się w następnym roku. US Navy zamierzała początkowo zamówić trzy MLP, a potem jeszcze czwarty i piąty okręt. Do ich konstrukcji wykorzystano projekt cywilnego tankowca typu Alaska. Budowę pierwszego MLP ukończono we wrześniu 2012 roku. USNS „Montford Point” (MLP 1) dostarczono w maju 2013 roku, a wstępną gotowość operacyjną

osiągnął on w ubiegłym roku. Wcześniej, w marcu 2014 roku, US Navy dostała drugą jednostkę tego typu, USNS „John Glenn” (MLP 2, a teraz ESD 2).

ESD mają 83 tys. t wyporności. Ich długość wynosi 239 m, szerokość 50 m i zanurzenie 12 m. Pomiędzy ulokowanymi na rufie nadbudówkami a dziobem rozciąga się niska i płaska platforma. Na nią mają być przeładowywane pojazdy, zaopatrzenie i innych sprzęt z transportowców, np. dużych ro-rowców lub EPF, które mają możliwości, by przekazywać ładunki bezpośrednio na poduszki (ESD ma ich trzy). Ma to zastosowanie w sytuacjach, gdy na obszarze działania amerykańskich sił lądowych nie ma dostępnego portu. W przypadku poduszkowców rampa pozwala im wjechać na pokład przeładunkowy ESD. Operacje przeładunku będą możliwe do stanu morza 3. Poza tym w zbiornikach ESD jest 378,5 tys. l wody pitnej i około 1,44 mln l paliwa JP5.

Trzeci z MLP, USNS „Lewis B. Puller”, US Navy dostała 2 czerwca 2015 roku. Ten okręt zbudowano według znacznie zmienionego projektu w stosunku do dwóch pierwszych jednostek. Według informacji stoczni, ma on 837 stóp długości, czyli 255,1 m. Dodano lądowisko dla śmigłowców i hangar, a także przestrzeń sypialne oraz składy paliwa i sprzętu. Tym samym zmniejszył się dolny pokład. Tak znaczące różnice konstrukcyjne w stosunku do pierwszych dwóch MLP spowodowały, że okrętowi nadano nową nazwę – pływającej wysuniętej bazy (Afloat Forward Staging Base – AFSB). Tę zaś zmieniono we wrześniu 2015 roku na mobilną bazę ekspedycyjną (Expeditionary Base Mobile) i oznaczono prefiksem ESB. W październiku 2015 roku ruszyła budowa drugiej pływającej bazy. Sekretarz marynarki wojennej Ray Mabus ogłosił 14 stycznia 2016 roku w Charleston w Wirginii, że będzie nosiła imię USNS „Hershel »Woody« Williams” (ESB 2) i ma być ukończona w marcu 2018 roku. Wprowadzone zmiany w jej konstrukcji mają pozwolić, aby z pokładu startowego o powierzchni 4831 m² mogły korzystać, oprócz śmigłowców, też samoloty MV-22 Osprey. Przewidziano miejsce dla 250 osób, niezależnie od załogi. ■



USA

Wydłużona służba A-10

U S A F

Sekretarz obrony USA Ash Carter zapowiedział 2 lutego, że będą fundusze na dalsze użytkowanie samolotów szturmowych A-10 Warthog, które stacjonują w bazie US Air Force Davis-Monthan, poinformowano na

stronie Tucson News Now. Na ich utrzymanie potrzeba 500 mln dolarów.

Według szefa Pentagonu, A-10 pozostaną w służbie co najmniej do 2022 roku. W ostatnich latach siły powietrzne podejmowały próby wy-

cofania A-10, ale spotykały się ze sprzeciwem w Kongresie. Zwolennicy „latających czołgów” podkreślają, że w obecnej sytuacji geopolitycznej siły zbrojne potrzebują samolotu bliskiego wsparcia. WR ■

RFN

Dwa do wyboru

Luftwaffe uruchomiła program zakupu następcy ciężkich śmigłowców transportowych CH-53G/GS/GA.



BUNDESWEHR

Przy okazji okazji odbywającej się w Londynie konferencji poświęconej lotnictwu śmigłowcowemu szef tego programu mjr Thomas Knäpper stwierdził, że w grę wcho-

dzą tylko dwie konstrukcje, poinformował w styczniu serwis Flightglobal. Pierwszą jest opracowana na zamówienie amerykańskiej piechoty morskiej najnowsza wersja obecnie używanej maszyny, czyli CH-53K King Stallion. Alternatywą dla niej jest CH-47F. Thomas Knäpper powiedział, że strona niemiecka chciałaby podpisać kontrakt na ciężkie śmigłowce już w 2018 roku, tak by ich dostawy rozpoczęły się w roku 2022. W grę wchodzi zakup co najmniej 40 maszyn. WW ■

DANIA

Kontrakt podpisany

Firma General Dynamics European Land Systems poinformowała, że 15 grudnia 2015 roku podpisała z duńską agencją zamówień i logistyki (Danish Defence Acquisition and Logistics Organization) kontrakt na dostawę 309 sztuk KTO Piranha 5. Jego wartość to około 600 mln dolarów. Do duńskich wojsk lądowych trafią pojazdy w sześciu wersjach specjalistycznych: transporter piechoty, samobieżny moździerz oraz wozy dowodzenia, ewakuacji medycznej, inżynieryjne i pomocy technicznej. Ich dostawy są przewidziane na lata 2018–2023. W

GENERAL DYNAMICS



nr 3 | MARZEC 2016 | POLSKA ZBROJNA

POLSKA

Eksportowy debiut

W drugiej połowie stycznia spółka Rosomak SA z Siemianowic Śląskich przekazała pierwszy kołowy transporter opancerzony **Rosomak** w wersji bazowej dla Zjednoczonych Emiratów Arabskich. Polski producent jest podwykonawcą kontraktu podpisanego przez fińską spółkę Patria Land Systems Oy. Umowa pomiędzy nią a Rosomakiem SA dotyczy wyprodukowania 40 pojazdów. Wartość kontraktu z Finami wynosi około 170 mln zł.

Zgodnie z wymaganiami bliskowschodniego klienta produkowane KTO są w wersji niepływającej, ale mają osłony balistyczne i przeciwnowowe o większej odporności niż w pojazdach w wersji podstawowej. Jak poinformowała siemianowicka spółka, umowa zawiera opcje wyprodukowania kilkudziesięciu następnych transporterów w różnych wersjach, w tym w odmianie wydłużonej. Wtedy łączna wartość zamówienia przekroczy 500 mln zł. WT

GWINEA RÓWNIKOWA

C-295 nad równik

Jak podał pod koniec stycznia serwis internetowy hiszpańskiej sieci radiowej Cadena SER, został zawarty nowy kontrakt na samoloty transportowe Airbus C-295. Dwie maszyny tego typu zamówiła Gwinea Równikowa. Umowa obejmuje przeszkolenie w Sewilli gwinejskich pi-

lotów. Serwis nie podał wartości kontraktu.

Według oficjalnych informacji producenta C-295 Airbus Defence & Space z grudnia 2015 roku, zamówionych było 165 tych maszyn, z których 144 już dostarczono. WRT ■



MALEZJA

Szturmowe wsparcie

Firma MF Helicopters Inc. poinformowała o zamówieniu na sześć lekkich rozpoznawczo-szturmowych śmigłowców MD 530G dla ministerstwa obrony Malezji.

Samoloty te otrzyma lotnictwo tamtejszych wojsk lądowych (Pasukan Udara Tentera Darat). Dostawy MD 530G rozpoczną się w ostatnim kwartale tego roku, a zakończą w pierwszym kwartale 2017 roku.

MD 530G jest najnowszą wersją śmigłowca z rodziny „530”. Pierwszy raz wzbił się w powietrze w 2013 roku. Jego maksymalna masa startowa wynosi 1701 kg. Silnik o mocy 650 KM zapewnia maksymalną prędkość 282 km/h. MD 530G może być uzbrojony w karabiny maszynowe kalibru 12,7 mm oraz kierowane lub niekierowane pociski rakietowe. TED ■

INDIE

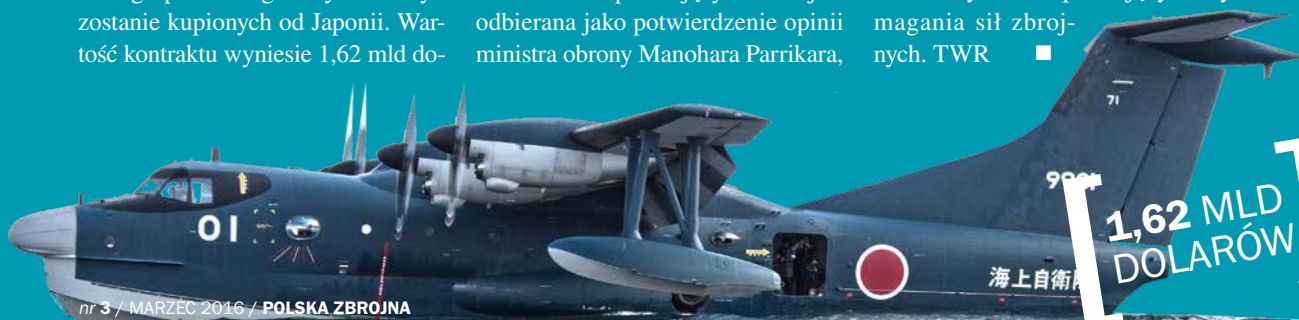
Nowy plan

Hindusi zmienili zasady zamówienia samolotów ratowniczych dla marynarki wojennej.

W Delhi zrezygnowano z montażu w kraju japońskich latających łodzi ShinMaywa US-2. Według nowego planu 12 gotowych maszyn zostanie kupionych od Japonii. Wartość kontraktu wyniesie 1,62 mld do-

larów. Według szacunków, marynarka wojenna i straż przybrzeżna potrzebują do 18 takich samolotów. Zmiana zasad zakupu latających łodzi jest odbierana jako potwierdzenie opinii ministra obrony Manohara Parrikara,

że indyjski przemysł obronny ma ograniczone możliwości szybkiej absorpcji nowych technologii i dostarczania wyrobów spełniających wymagania sił zbrojnych. TWR ■



nr 3 / MARZEC 2016 / POLSKA ZBROJNA



nr 27.

Major pilot samolotu MiG-29,
23 Baza Lotnictwa Taktycznego
(2014 rok)

rys. Monika Rokicka



NR 27.

UBIÓR SPECJALNY

MAJOR PILOT SAMOLOTU MIG-29 (2014 ROK)

Prezentujemy pilota samolotu myśliwskiego MiG-29 w ubiorze specjalnym. Podstawowymi jego elementami są kombinezon pilota wz. 606A/MON (typ ARF 220/1) wykonany z tkaniny trudnopalnej (ARS 220/1) w kolorze oliwkowym i spodnie przeciwprzeciążeniowe PPK-3 brązowe. Z lewej strony na kombinezonie pilota jest widoczna przypięta na rzep oznaka stopnia wojskowego, po prawej stronie – oznaka identyfikacyjna z nazwiskiem, na rękawie zaś – przynależności państwowej. Pilot ma na sobie uprząż do podpięcia spadochronu. Kolejnym elementem jego ubioru są trzewiki. W lewej ręce pilot trzyma hełm lotniczy typu ZSz-7AP z maską tlenową KM-34Ds2.



23 BAZA LOTNICTWA TAKTYCZNEGO

JEDNOSTKA W MIŃSKU MAZOWIECKIM
POWSTAŁA 1 STYCZNIA 2001 ROKU.

Podstawą jej sformowania był rozkaz dowódcy wojsk lotniczych i obrony powietrznej nr Pf-153 z 28 listopada 2000 roku. Baza wraz z 1 Eskadrą Lotnictwa Taktycznego zostały utworzone w miejsce reformowanego 1 Pułku Lotniczego „Warszawa”, który kontynuował tradycje powstałego w 1943 roku w Związku Sowieckim 1 Pułku Lotnictwa Myśliwskiego „Warszawa”. W 1993 roku pułk z Miń-

ska Mazowieckiego przejął tradycje siedmiu jednostek lotnictwa myśliwskiego istniejących w okresie międzywojennym oraz w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie. Są wśród nich 7 Eskadra Myśliwska im. Tadeusza Kościuszki z czasów wojny z bolszewikami w latach 1918–1921 oraz wstawiony udziałem w bitwie o Anglię 303 Dywizjon Myśliwski im. Tadeusza Kościuszki.

nr 28.

*Żołnierz,
12 Brygada
Zmechanizowana*



RAFAŁ
CIAŚOŃ

Okiełznanie atomu



Na poligonie Los Alamos, w stanie Nowy Meksyk, 16 lipca 1945 roku Stany Zjednoczone przeprowadziły pierwszą w historii próbę nuklearną. Trzy tygodnie później broń jądrowa dwukrotnie została użyta bojowo, a era nuklearna stała się faktem.

Ludzkość od zawsze dążyła do posiadania coraz to doskonalszej broni, takiej, która mogłaby zyskać miano ostatecznej, gwarantować zwycięstwo w każdym konflikcie i nad każdym przeciwnikiem. Taki charakter zyskała dopiero broń masowego rażenia. Jednak, z różnych względów, to nie śmiertelne bakterie i wirusy czy gazy bojowe odmieniły ostatecznie charakter relacji między mocarstwami, a w konsekwencji i wojen. Dokonały tego dopiero ładunki nuklearne. Ich niszczycielska siła i powodowany nią efekt sprawiły, że pełnoskalowy konflikt angażujący główne potęgi globu stał się czymś wręcz niewyobrażalnym. Jak ujął to określany mianem ojca amerykańskiej bomby jądrowej Robert Oppenheimer, „mocarstwa atomowe podobne są do dwóch skorpionów zamkniętych w butelce. Jeden może unicestwić drugiego tylko za cenę własnego zniszczenia”.

Konieczność pozyskiwania na potrzeby wyścigu zbrojeń coraz większych ilości materiałów rozszczepialnych poskutkowała budową w latach pięćdziesiątych XX wieku pierwszych siłowni jądrowych, które wkrótce zaczęły służyć także do produkcji energii elektrycznej. Pierwszą z nich, zlokalizowaną w Obnińsku nieopodal Moskwy, uruchomiono w 1954 roku. Ze względu na moc 5 MW była ona jednak w stanie zapewnić elektryczność wyłącznie na potrzeby tamtejszego instytutu atomowego. Trzy lata później oddano do użytku komercyjną elektrownię w Shippingport (USA).

W 1953 roku prezydent Dwight Eisenhower zapoczątkował program „Atom dla pokoju”, którego jednym z głównych założeń była pomoc państwom szukającym możliwości budowy reaktorów atomowych na potrzeby cywilne, głównie energetyczne. Jego beneficjentami stały się jednak m.in. takie kraje, jak Indie, RPA, Irak czy Izrael, które wykorzystały amerykańską pomoc nie tylko w celach cywilnych. Problemom pokojowego zastosowania energii atomowej poświęcono trzy międzynarodowe konferencje zorganizowane w Genewie w 1955, 1958 i 1964 roku, podczas których postulowano chociażby, aby siłownie jądrowe posłużyły do odsalania wody morskiej w rejonach ubogich w wodę pitną. Postępujący wyścig zbrojeń i stopniowy spadek fascynacji społeczeństw energią pozyskiwaną z atomu sprawił, że projekt „Nuplex” nie doczekał się realizacji. Energia jądrowa stała się jednak ważna dla wielu państw, niekiedy – jak w przypadku Japonii – pozbawionych paliw kopalnych. Atom był wówczas istotną składową bezpieczeństwa energetycznego.

Dziś w 31 krajach działa ponad 430 reaktorów jądrowych, o łącznej mocy 375 GW, co zaspokaja około 11% światowego zapotrzebowania. Kolejnych 70 jest w budowie. Ponadto w 56 krajach do celów naukowych jest wykorzystywanych około 240 reaktorów, a kolejne 180 napędza okręty. We Francji elektrownie jądrowe zapewniają ponad 70% zużywanej energii, w Belgii, Szwecji, Szwajcarii i kilku innych państwach jedną trzecią, podczas gdy w USA i Rosji około 20%. Zmierzchu ery cywilnego wykorzystania atomu nic dziś nie zapowiada, a znajdujące silny odźwięk medialny zapowiedzi odejścia od broni jądrowej można wręcz włożyć między bajki...



AUTOR JEST DOKTORANTEM AKADEMII OBRONY NARODOWEJ,
EKSPERTEM FUNDACJI IM. KAZIMIERZA PUŁASKIEGO.

STRATEGIE

/ NEWPORT – WARSZAWA



STRATEGIA WZMOCNIENIA

Z Tomaszem Szatkowskim

o wzmacnianiu wschodniej flanki, sojuszniczej
solidarności i obawach przed nową zimną wojną
rozmawia Małgorzata Schwarzgruber.



JAROSŁAW WIŚNIEWSKI



Czy jest Pan zadowolony z rezultatów spotkania ministrów obrony państw NATO, które odbyło się w połowie lutego w Brukseli?

Osiągnęliśmy to, co na tym etapie chcieliśmy osiągnąć. Najważniejsze jest przyjęcie dokumentu kierunkowego, który jednoznacznie rozstrzyga o trwałej obecności NATO na wschodniej flance. Ministrowie obrony z 28 państw sojuszu zgodzili się, że obrona wschodniej flanki powinna być oparta na odpowiedniej równowadze między „wzmocnieniem” a „wysuniętą obecnością”. Wysunięta obecność nie oznacza jednak, że będziemy tworzyć w regionie bazy na kształt tych, z którymi mieliśmy do czynienia w latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku. Jednocześnie jednak obecność w tym miejscu infrastruktury i oddziałów bojowych nie może być symboliczna – muszą one zostać zintegrowane z planami obrony i strukturami dowódczymi w sojuszu. Chodzi o ciągłą rotacyjną obecność oddziałów wojskowych, czyli zmienia się ich skład personalny, ale korzystają one ze stałych elementów logistycznych, a ich aktywność jest wpisana w plany obronne i struktury dowodzenia. Dotychczas obowiązywało założenie, że obrona wschodniej flanki bazuje na siłach narodowych oraz wzmocnienia. Teraz ministrowie uznali, że sytuacja geopolityczna i wojskowy bilans sił zmieniły się na tyle, że jest potrzebna zmiana tej formuły. To oznacza większą obecność NATO na wschodniej flance.

Co rozumiemy przez termin „siły wzmocnienia”?

To siły, które stacjonują w innych państwach członkowskich sojuszu i na flance wschodniej, zjawiają się dopiero wtedy, gdy dojdzie do kryzy-

su. Wzmocniona, wysunięta obecność wojskowa na wschodzie będzie międzynarodowa i rotacyjna, uzupełniana ćwiczeniami i wspierana przez struktury logistyczne.

Czy „więcej NATO na flance wschodniej” oznacza tylko większą liczbę żołnierzy?

To skrót myślowy. Chodzi o zdolności bojowe NATO na flance wschodniej – nie tylko o żołnierzy, lecz także o odpowiednią infrastrukturę, m.in. magazyny i składy broni, dowództwa NATO rozmieszczone w naszej części Europy, a także o przygotowanie polskich baz na przyjęcie żołnierzy innych państw podczas ćwiczeń. Przypomnę, że w 2014 roku zapadła decyzja o przygotowaniu infrastruktury dla sił szpicy NATO, które w razie kryzysu mają zostać przerzucone na wschód ze swych macierzystych krajów.

A jakie sprawy wymagają jeszcze doprecyzowania?

Przez najbliższe dwa, trzy miesiące sztaby wojskowe i organy dowodzenia sojuszu opracują szczegółowe rozwiązania, jak wdrożyć w życie polityczne decyzje, które zapadły na spotkaniu ministrów obrony w Brukseli. Wojskowi przygotowują różne scenariusze, dotyczące np. wielkości i rozmieszczenia sił, jakie mają zostać użyte, określają, jakie powinny być chociażby elementy wsparcia ogniowego czy jak wspomagać te siły przez konkretne działania. Ich propozycje zostaną zaakceptowane przez ministrów obrony państw NATO na spotkaniu w czerwcu.

Co dalej z planami ewentualnościowymi? Czy nie powinny zostać uzupełnione o zagrożenia asymetryczne i hybrydowe?

Przypomnę, że podczas zimnej wojny wschodnią flankę objęto stałymi planami obrony. Była rozbudowana sieć dowództw, a poszczególne kraje NATO miały przydzielone konkretne



JAROSŁAW WISNIEWSKI

Nie chcemy powrotu do czasów, gdy na zagraniczne operacje wysyłałiśmy duże kontyngenty żołnierzy. Koszty z tym związane hamują program modernizacji

zdania. Po zakończeniu zimnej wojny struktury dowodzenia zostały zredukowane. Uznano wówczas, że nie ma już stałego zagrożenia od strony wschodniej, nie aktualizowano też planów obrony. Gdy Polska weszła do NATO, musieliśmy się wręcz o nie bić. W ostatnich latach plany ewentualnościowe zostały w znacznym stopniu skonkretyzowane. Uwzględniają także zagrożenia hybrydowe, które nie występują w oderwaniu od konfliktów z użyciem broni konwencjonalnej.

Wojskowi muszą opracować mechanizmy szybkiego reagowania. W tym kontekście zapytam o rolę, jaką będzie odgrywał Wielonarodowy Korpus Północno-Wschodni?

Po szczycie NATO w Newport w 2014 roku zmieniła się rola korpusu w obronie wschodniej flanki i dowodzeniu szpicą. Odpowiada to naszym oczekiwaniom. Będziemy nadal dążyć do tego, aby wzmacniać zdolności tej jednostki. Chcemy pracować nad elementami dowodzenia niższego szczebla, które będą wspomagały dowodzenie korpusu w tego rodzaju operacjach. Chodzi na pewno o dowództwo szczebla dywizyjnego, które zamierzamy utworzyć na bazie struktur narodowych. Myślimy też o współpracujących z korpusem ośrodkach dowodzenia siłami morskimi i powietrznymi na wschodniej flance oraz o współdziałaniu z szerszym gronem państw, także spoza NATO, to znaczy ze Szwecją i Finlandią. Chcemy, aby korpus stał się pod względem dowodzenia i współpracy pewnego rodzaju hubem dla całej flanki wschodniej.

Nie będzie takich baz, jak u zachodnich członków sojuszu, ale rotujące się oddziały muszą mieć odpowiednią infrastrukturę. Zamierzamy ją budować?

Sprawdzamy, gdzie na wschodzie Polski pozostały nam ośrodki poligonowe czy koszarowe, które mogłyby stanowić taką bazę. Niestety, w ostatnich latach wiele z nich zlikwidowano.

W jaki sposób Polska włączy się do operacji przeciwko tzw. Państwu Islamskiemu?

Nasze zaangażowanie może dotyczyć głównie kwestii rozpoznania i szkolenia. Podtrzymamy także dotychczasowe formy wsparcia państw koalicji w walce z tzw. Państwem Islamskim. Konkretnie decyzje w tej sprawie zapadną w najbliższych tygodniach. Nie planujemy, by nasza obecność na tamtym teatrze działań miała charakter bojowy. Nie chcemy także powrotu do czasów, gdy na zagraniczne operacje wysyłałiśmy duże kontyngenty żołnierzy, bo koszty z tym związane hamują program modernizacji naszych sił zbrojnych i ograniczają możliwości użycia takich jednostek w kraju. Musimy także pokazać, że w kryzysie wywołanym niekontrolowanym napływem imigran-



Obecność żołnierzy sojuszu w Polsce nie może mieć tylko szkoleniowego charakteru

tów do Europy jesteśmy solidarni z naszymi sojusznikami. Stąd też decyżja, aby nad Morze Egejskie skierować natowskie okręty przeciwko organizacjom przestępczym zajmującym się przemytem imigrantów.

Wiadomo, że nasze starania o wzmocnienie obecności wojskowej na flance wschodniej popiera Wielka Brytania. Inne głosy dochodzą z Niemiec. Gen. Hans Lothar Domrose stwierdził, że niezrozumiałe jest wzmocnienie sił w tym regionie. Czy te różnice zdań nie zagrażają spójności sojuszu?

Gdy założymy, że reprezentantem polityki zagranicznej Niemiec jest ministerstwo obrony, to nie jest źle. Minister Ursula von der Leyen rozumie naszą sytuację i jest zainteresowana aktywnym wzmocnieniem przez Niemców wschodniej flanki. Na spotkaniu w Brukseli prezentowała postawę zbieżną ze stanowiskiem polskim, także w kwestii oceny działań Rosji. Odegrała też konstruktywną rolę w porozumieniu turecko-greckim, które zaowocowało wysłaniem sił NATO w rejon Morza Egejskiego. Mamy nadzieję, że ten głos będzie dominował, choć zdajemy sobie sprawę, że z Niemiec płyną różne sygnały.

W wypadku różnicy zdań zapewne decydujący będzie głos Stanów Zjednoczonych. Był Pan wraz z wiceministrem Bartoszem Kownackim niedawno w Waszyngtonie.

To była pierwsza wizyta ze strony kierownictwa MON-u w USA po wyborach, więc miała charakter zapoznawczy. Mogę powiedzieć, że Polacy i Amerykanie w podobny sposób oceniają zagrożenia, ale otwarte pozostaje pytanie, jak przełożyć się to na szczegółowe rozwiązania. Nasza wizyta zbiegła się w czasie z ogłoszeniem decyzji o zwiększeniu amerykańskiego budżetu na wzmocnienie flanki wschodniej NATO, co uważamy za krok w dobrym kierunku.

Ile dostaniemy z 3,4 mld dolarów, które Waszyngton chce przeznaczyć na ten cel? W amerykańskiej prasie pojawiły się informacje, że pieniądze te trafią głównie do republik bałtyckich i Rumunii.

Zależy nam, aby dostać z tej sumy jak najwięcej. Trwa dyskusja na ten temat. Część z tych pieniędzy na pewno trafi do Polski. Wspieramy amerykańską obecność w państwach bałtyckich i w Rumunii, ale jednocześnie uważamy, że z wojskowego punktu widzenia nie ma sensu zwiększanie obecności wojskowej tylko w republikach bałtyckich.

Bez wchodzenia w szczegóły planowania obronnego powiem tylko, że bez wielonarodowej obecności w Polsce może być trudno o obronę państw bałtyckich.

Pieniądze te zostaną też przeznaczone na rozmieszczenie w Europie ciężkiego sprzętu dla amerykańskiej dywizji, która ma liczyć 15–20 tys. żołnierzy. Ten sprzęt trafi do magazynów, głównie w zachodniej Europie z przeznaczeniem na czas wojny, a nie na ćwiczenia. Czy takie rozwiązanie nam odpowiada?

Uważamy, że obecność żołnierzy sojuszu w Polsce nie może mieć tylko charakteru szkoleniowego. Taka jest też konkluzja po spotkaniu ministrów obrony państw NATO. Musi być ona wpisana w plany obronne i struktury dowodzenia sojuszu. Inne decyzje wspierałyby przekaz, że są członkowie NATO dwóch kategorii. Mamy jednak zapewnienie Stanów Zjednoczonych, że nie jest to celem, a na wschodniej flance znajdzie się także sprzęt bojowy. Nie byłoby dobrze, gdyby na czas wojny znajdował się on tylko w magazynach państw Europy Zachodniej.

Pierwszą reakcją Moskwy było stwierdzenie tamtejszego ministerstwa spraw zagranicznych, że wzmocnianie wschodniej flanki NATO służy destabilizacji w regionie. O nowej zimnej wojnie mówił podczas konferencji bezpieczeństwa w Monachium premier Władimir Miedwiediew. Jak w takiej sytuacji rozmawiać z Rosją?

Na pewno nie z pozycji słabości. Nie będziemy blokować rozmów z Rosją, jeśli zostanie wzmocniona wschodnia flanki i gdy w ramach tych rozmów będziemy mówili też o Ukrainie. Ważne jest również wzajemne zaufanie oraz informowanie się o ćwiczeniach i ruchach wojsk, także o obecności broni nuklearnej. Tymczasem dziś nie wiemy, jak duże są rosyjskie taktyczne siły nuklearne i jak są one rozmieszczone, włączając w to Kaliningrad.

Czy na warszawskim szczycie NATO jest planowane spotkanie z Rosją?

Rozmawiamy o podjęciu takiego dialogu, o tym, na jakim forum i na jakim poziomie miałyby się on odbyć. ■

TOMASZ SZATKOWSKI

jest wiceministrem obrony narodowej. Ma wieloletnie doświadczenie w działalności związanej z zagadnieniami bezpieczeństwa narodowego, zwłaszcza dotyczącymi polityki obronnej i zbrojeniowej.



PRZEKAŻ 1% WETERANOM

Stowarzyszenie Rannych i Poszkodowanych w Misjach Poza Granicami Kraju

KRS 0000304771

Stowarzyszenie Kombatantów Misji Pokojowych ONZ

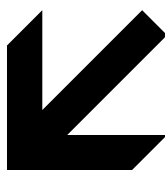
KRS 0000158391

TOMASZ OTŁOWSKI

Dżiny wojny

Puszczona w ruch machina wzajemnej wrogości i konfrontacji między Arabią Saudyjską a Iranem wymknęła się spod jakiegokolwiek kontroli.

**SIŁY ZBROJNE
ARABII
SAUDYJSKIEJ
są mniej liczne
niż Iranu, ale
zdecydowanie
nowocześniejsze
i, nie licząc Izraela,
najsilniej uzbrojone
w regionie.**



Rok 2016 nie zaczął się dla szeroko rozumianego Bliskiego Wschodu zbyt dobrze. I to nie tylko dlatego, że wciąż goreją nieopanowanym ogniem liczne wojny i konflikty, skutecznie destabilizując cały region, a islamski ekstremizm i terroryzm zbierają rekordowe żniwo. Początek roku przyniósł też gwałtowne pogorszenie relacji między Arabią Saudyjską a Iranem – dwoma głównymi pretendentami do roli regionalnego supermocarstwa, a także kandydatami do miana liderów duchowych świata islamu. To zaostrzenie relacji między Rijadem a Teheranem było na tyle gwałtowne i głębokie, że sprawiło, iż oba państwa stanęły niemalże na progu otwartej konfrontacji zbrojnej.

CZARA GORYCZY

Stosunki między tymi dwiema potęgami regionalnymi, aspirującymi do roli geopolitycznego hegemonu, opierały się głównie na wzajemnym wymuszonym tolerowaniu swego istnienia. Od chwili, gdy szyicki Iran przyjął (po rewolucji w 1979 roku) radykalnie religijny kurs w polityce wewnętrznej i zagranicznej, stało się jasne, że sunnicka Arabia Saudyjska jest niejako naturalnym strategicznym przeciwnikiem dla Teheranu. Nigdy jednak w ciągu tych 35 lat nie było tak blisko do wybuchu otwartej wojny między oboma krajami i ich regionalnymi sprzymierzeńcami. Nawet w czasie krwawej, wieloletniej (1980–1988) wojny Iranu z Irakiem udało się uniknąć konfrontacji na skalę całego regionu. Dzisiaj nie jest to już takie pewne, a sygnały napływające z obu stron Zatoki Perskiej sugerują, że adwersarze na serio biorą pod uwagę ewentualność przekształcenia się sporu z fazy polityczno-dyplomatycznej (i werbalno-propagandowej) w regularną, gorącą wojnę. I choć wybuch otwartego konfliktu militarnego nie jest w interesie żadnej ze stron, to bieg wydarzeń i raz wprawione w ruch tryby regionalnych procesów politycznych, ideologicznych i społeczno-religijnych mogą nagle zacząć żyć własnym życiem, wymykając się spod kontroli głównych mocodawców.

Geneza obecnego, gwałtownego zaostrzenia sytuacji wokół basenu Zatoki Perskiej jest złożona. Najczęściej przytaczane w tym kontekście wydarzenie – czyli egzekucja przez władze w Rijadzie lidera opozycyjnego, szyickiego szejka Nimra al-Nimra – stanowiło jedynie kroplę, która przelała czarę goryczy irańsko-saudyjskich animozji. Czara ta, gdy podążymy tropem metafory, nappełniała się jednak już od bardzo dawna. Tym samym na przyczyny pogorszenia się sytuacji w regionie składa się wiele różnych czynników. Oprócz tych natury czysto historycznej czy też religijnej, w grę wchodzi również elementy wynikające z ostatnich wydarzeń w tej części świata, a odnoszące się zwłaszcza do sytuacji w Syrii, Iraku, Je- ➔

REUTERS/FAHAD SHADEED/FORUM



menie czy walki z Państwem Islamskim. Wszystkie te problemy doprowadziły do skokowej eskalacji napięcia między Rijadem a Teheranem. Warto zatem na chwilę pochylić się nad tymi elementami, aby w pełni zrozumieć kontekst historyczny i równie stare, głębokie tło ideologiczno-religijne dzisiejszych wydarzeń.

ODWRÓCENIE SOJUSZY

Relacje polityczne i strategiczne między Arabią Saudyjską a Iranem tak naprawdę nigdy nie były przyjazne. Gdy w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku Wielka Brytania stopniowo ograniczała swą obecność militarną i geopolityczne zaangażowanie w rejonie Zatoki Perskiej, było oczywiste, że to właśnie na Arabii i Iranie będzie spoczywać odpowiedzialność za bezpieczeństwo całego obszaru. Iran, rządzony przez dynastię Pahlawich, dobrze wyczuł ówczesną koniunkturę międzynarodową, zbliżając się do Stanów Zjednoczonych. Bardzo szybko, w ciągu niespełna dekady, zaczął wybijać się do roli regionalnego hegemona, w krótkim czasie modernizując nie tylko sektor wydobywczy ropy naftowej i gazu ziemnego, lecz także siły zbrojne. Niestety, nie oznaczało to unowocześniania pozostałych dziedzin działania państwa, co legło u podstaw późniejszej katastrofy w postaci rewolucji islamskiej.

Aż do tego dramatycznego wydarzenia Iran był niekwestionowaną regionalną potęgą. Jego armia zaś należała do największych, najsilniejszych i najnowocześniejszych w regionie, ustępując tylko Izraelowi i częściowo Turcji. Iran stanowił też w tamtym czasie jeden wielki hub logistyczny dla amerykańskich sił zbrojnych, mających operować w tej części świata w razie wybuchu konfliktu z ZSRR – w kilkuset składach i magazynach zgromadzone tysiące sztuk różnego typu sprzętu militarnego i miliony ton zaopatrzenia. Iran był bowiem dla USA ważnym elementem projektowanej w Waszyngtonie tzw. południowej flanki na wypadek ewentualnego konfliktu z Sowietami. Wiele dóbr i zapasów zgromadzonych w tych magazynach jeszcze dzisiaj jest wykorzystywanych przez armię irańską, która wciąż ma wiele rodzajów amerykańskiego sprzętu i uzbrojenia...

W tym samym czasie Arabia Saudyjska, kierując się rygorystycznie interpretowaną doktryną wahhabizmu, która legła u podstaw powstania i istnienia tego państwa, podążała drogą swoistej autarkii. Zajęta głównie własnymi sprawami, rządząca w tym kraju dynastia Saudów zdawała się nawet do pewnego stopnia akceptować fakt, że to Iran jest regionalnym mocarstwem, blisko powiązany z możnymi tego świata. Tym samym aż do 1979 roku oficjalne relacje między obydwoma krajami można uznać za poprawne, choć z pewnością nie w pełni przyjazne. Obalenie szacha i przyjęcie przez nowe islamskie (szyickie)

władze w Teheranie agresywnego kursu w polityce międzynarodowej, szczególnie wobec sunnickich państw znad Zatoki Perskiej, błyskawicznie otrzeźwiło Rijad. To wtedy właśnie, na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych XX wieku Arabia Saudyjska wkroczyła na ścieżkę gwałtownej modernizacji, rozumianej bardziej w kategoriach szybkiego unowocześniania jej potencjału militarnego i ekonomicznego niż rozwoju cywilizacyjnego w rozumieniu świata zachodniego.

Głównymi politycznymi promotorami tego procesu stały się państwa zachodnie, zwłaszcza Stany Zjednoczone, które zaczęły postrzegać Arabię jako swego głównego partnera i sojusznika w tej części Bliskiego Wschodu, mającego niejako zastąpić utracony Iran. Tak więc, podobnie jak w latach siedemdziesiątych XX wieku w wypadku Iranu rządzonego przez szacha, dekadę później głównym sprzymierzeńcem Zachodu nad Zatoką Perską stała się Arabia Saudyjska (i inne sunnickie monarchie regionu).

Prawdziwym testem dla skuteczności i siły sojuszu saudyjsko-zachodniego stała się tzw. wojna tankowców, toczona w połowie lat osiemdziesiątych XX wieku między krajami arabskimi a Iranem, walczącym wówczas z Irakiem. Amerykańska interwencja na wodach Zatoki Perskiej i wzięcie pod ochronę tankowców (głównie saudyjskich), atakowanych przez Irańczyków na wodach międzynarodowych, to pierwsze praktyczne działanie sojuszu Rijadu z Waszyngtonem.

Kolejnym sprawdzianem okazała się późniejsza o kilka lat kampania militarna przeciwko Irakowi, który w 1990 roku najechał na maleńki Kuwejt i go zajął. Międzynarodowa, sojusznicza operacja „Pustynna burza”, przygotowana i poprowadzona z terytorium Arabii, stanowiła kulminację współpracy między USA a arabskimi państwami znad Zatoki. Utrwaliła też strategiczne i militarne zbliżenie krajów skupionych w Radzie Współpracy Zatoki (Gulf Cooperation Council – GCC) z Zachodem. Długofalowe efekty tej sytuacji ostatecznie nie były jednak pozytywne. Dość wspomnieć, że zainstalowanie i utrzymywanie przez ponad dekadę amerykańskich baz wojskowych na saudyjskiej ziemi było bezpośrednią (choć nie najważniejszą i niejedyną) przyczyną wypowiedzenia Ameryce wojny przez Osamę bin Ladena i jego Al-Kaidę w 1996 roku. Być może nie byłoby zamachów 11 września 2001 roku, gdyby nie polityka zbliżenia między USA a Królestwem Saudów.

DZWONKI ALARMOWE

Gdy w 1979 roku w Iranie, w wyniku społecznej rewolucji, obalono rządy szachinszacha Rezy Pahlawiego, a władzę w kraju szybko przejęli radykałowie szyicki kierowani przez ajatollaha Ruhollaha Chomeiniego, mar-



Siły zbrojne Arabii Saudyjskiej

214,5 tys.
personel

-  czołgi – około 1 tys.
-  transportery opancerzone (APC/AFV) – około 5 tys.
-  artyleria (wraz z MLRS) – 900
-  samoloty bojowe – 340
-  samoloty transportowe – 62
-  śmigłowce – 255
-  okręty wojenne – 27
-  okręty i łodzie patrolowe – 68
-  siły strategiczne – od kilkudziesięciu do 100 rakiet balistycznych typu CSS-2 i CSS-5 (produkcji chińskiej)
- o zasięgu do 2,5 tys. km

Siły zbrojne Iranu



520 tys.
personel

 formacje nieregularne i paramilitarne – do 2 mln

-  czołgi – 1,6 tys.
-  transportery opancerzone (APC/AFV) – 1,4 tys.
-  artyleria (wraz z MLRS) – 3 tys.
-  samoloty bojowe – 320
-  samoloty transportowe – 130
-  śmigłowce – 570
-  okręty wojenne – 110
-  okręty podwodne – 18
-  okręty i łodzie patrolowe – 150
-  siły strategiczne (kilkaset rakiet balistycznych różnych typów, o zasięgu od 300 do 2,6 tys. km)

Źródła: Institute for National Security Studies, <http://www.inss.org.il/index.aspx?id=4513>; www.stratfor.com

ginalny do niedawna aspekt rywalizacji i konfrontacji szyicko-sunnickiej ponownie nabrał żywotnego znaczenia dla rozwoju wydarzeń w całym regionie. Tym bardziej że szyicki Iran otwarcie zaczął dążyć do przejęcia duchowej władzy nad całą ummą (społecznością wierznych w islamie). Królestwo Saudów – którego monarcha pieczętuje się wszak dumnym tytułem strażnika dwóch świętych meczetów (czyli Mekki i Medyny) – nie mogło pozostać bierne wobec tak jawnego przejawu asertywności ze strony szyitów, od wieków uważanych przez sunnitów za heretyków.

Gdy na początku lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku Irańczycy zaczęli otwarcie eksportować swą rewolucję wszędzie tam, gdzie żyły liczące się społeczności szyickie (a więc głównie do Libanu i Iraku), w Rijadzie rozdzwończyły się dzwonki alarmowe. To wtedy zrodziły się koncepcje promocji islamu w wydaniu wahhabickim, będące od-tąd sztandarowymi działaniami Saudyjczyków nie tylko w samym regionie bliskowschodnim, lecz także w skali całego globu. Już później, po upływie dwóch, trzech dekad, okaże się, że te saudyjskie inicjatywy (polegające głównie na fundowaniu islamskich szkół, „ośrodków kultury” i meczetów) służą w istocie promowaniu islamskiego konserwatyizmu, stanowiącego doskonale ideologiczne i teologiczne podglebie dla ruchów ekstremistycznych i terrorystycznych.

W samym regionie bliskowschodnim minione ponad 35 lat to okres narastającej ideowej, politycznej i strate-

gicznej konfrontacji pomiędzy Rijadem a Teheranem i ich regionalnymi sojusznikami. To także czas wybuchu licznych wojen zastępczych (proxy wars), w których oba mocarstwa walczyły ze sobą cudzymi rękoma i za pomocą sił trzecich. Pierwszym takim konfliktem była wojna w Libanie, zwłaszcza w jej schyłkowej fazie. Po niej przyszły kolejne: Jemen, Syria, Irak, Bahrajn, a nawet – do pewnego stopnia – Afganistan.

ESKALACJA KONFLIKTU

Dzisiaj nie ulega już wątpliwości, że zarówno władze Arabii Saudyjskiej, jak i Iranu do pewnego momentu z pełną świadomością i premedytacją szły ścieżką eskalacji wzajemnych uprzedzeń, animozji i konfrontacji, upatrując w tym konkretnych korzyści dla swych interesów w szeroko rozumianym regionie. Taka polityka podgrzewania atmosfery, choć ryzykowna, jawiła się obu stronom jako korzystna, głównie ze względu na podtrzymywanie mobilizacji swych zwolenników i sojuszników. Wszak nic lepiej nie służy zwieraniu własnych szeregów, niż jasno zdefiniowany i stanowiący ewidentne zagrożenie przeciwnik. Do tego przeciwnik nie tylko w wymiarze polityczno-strategicznym, lecz przede wszystkim religijnym.

Poza tym dla Saudów była to doskonała okazja do wizerunkowego przykrycia ich ostatnich niepowodzeń w regionalnej rozgrywce geopolitycznej – przede wszystkim faktycznej utraty wpływu na przebieg wydarzeń w Syrii →

IRAN MA SZAN- SĘ WYROŚNĄĆ NA POWAŻNEGO PARTNERA SPO- ŁECZNOŚCI MIĘDZYNARO- DOWEJ NA BLISKIM WSCHODZIE

po podjęciu przez Rosję jesienią 2015 roku zbrojnej interwencji w obronie reżimu Al-Asada, ale także coraz gorzej idącej saudyjskiej operacji w Jemenie, która z zapowiadanej łatwej i szybkiej kampanii stała się przewlekłą wojną, coraz bardziej przekształcając się w „saudijski Wietnam”. Nie bez znaczenia są także kwestie ekonomiczne – spadające notowania ropy naftowej na rynkach światowych oznaczają dramatyczne zmniejszenie wpływów do budżetu królestwa, opartego niemal w 75% na dochodach ze sprzedaży ropy i gazu. A perspektywy otwarcia bogatego w te surowce rynku irańskiego mogą jeszcze tylko pogorszyć sytuację Rijadu.

Z kolei dla władz Iranu strategia nakręcania konfrontacji z Saudami miała rekompensować na użytek własnej opinii publicznej daleko idące ustępstwa na rzecz Zachodu w toku negocjacji porozumienia w sprawie programu nuklearnego, prowadzonych z grupą mocarstw („P5 + 1”). Nie bez znaczenia był też kontekst zaplanowanych na 26 lutego 2016 roku wyborów do Madżlisu (parlamentu) i Zgromadzenia Ekspertów. Rywalizacja między konserwatystami a reformatorami – od wielu lat kształtująca irańską scenę polityczną – w tym roku sięgnęła zenitu m.in. w kontekście wspomnianego porozumienia z Zachodem i możliwego otwarcia się Iranu na świat. Eskalacja konfliktu z sunnitami i Rijadem jawiła się więc obecnej władzy w Teheranie jako wentyl bezpieczeństwa, skupiający uwagę społeczeństwa na wydarzeniach zewnętrznych, a jednocześnie dający sposobność udowodnienia, że rząd irański realizuje twardą politykę zagraniczną.

Jak jednak wszystko na to wskazuje, pod koniec 2015 roku taka strategia zaczęła wymykać się spod kontroli – i to obu adwersarzom równocześnie. Raz uwolnione demony (albo raczej, bliższe regionalnej poetyce, dziny) zaczęły żyć swym własnym życiem. Puszczona w ruch machina wzajemnej wrogości i konfrontacji wymknęła się spod kontroli. Będąca jawną antyirańską prowokacją egzekucja szejka Al-Nimra i późniejsze żywiołowe reakcje społeczeństwa Iranu są na to ewidentnymi dowodami. Zresztą, obecne władze w Rijadzie – od niewiele ponad roku kierowane przez nowego króla Salmana – zdają się w przyspieszonym tempie demontować efekty wcześniejszych dekad umiarkowania, przewidywalności i rozważnej strategii działania Arabii w regionie. W ciągu ostatnich kilkunastu miesięcy Arabia Saudyjska z gwaranta stabil-

ności na Bliskim Wschodzie nieoczekiwanie zamieniła się w jeden z czynników destabilizacji sytuacji w tej części świata. Z kolei Iran, przez całe dekady traktowany jak regionalna czarna owca, nagle ma szansę wyrosnąć na poważnego i – co najważniejsze – przewidywalnego partnera społeczności międzynarodowej na Bliskim Wschodzie. Partnera nie tylko w wymiarze ekonomicznym i biznesowym, lecz także strategicznym – czyli gwaranta stabilności i jedności

Iraku, sprzymierzeńca w walce z kalifatem Państwa Islamskiego i poważnego gracza w kontekście wygaszania konfliktu w Syrii. Bez wątplenia jest w całej tej sytuacji coś paradoksalnego; coś, co zakrawa na chichot historii.

Co gorsza, istnieją coraz większe obawy, że zdesperowani Saudyjczycy, którym wali się dotychczasowy dorobek ich regionalnej polityki, mogą podjąć próbę ucieczki do przodu. Takim szaleńczym krokiem mogłoby się stać właśnie sprowokowanie otwartego konfliktu z Iranem – jako próba ukazania tego państwa w niekorzystnym świetle i ściągnięcia nań odium odpowiedzialności za kolejną wielką wojnę w regionie.

Rijad może kalkulować, że w takim scenariuszu uzyskałby nie tylko wsparcie swych arabskich sojuszników sunnickich, lecz także mniej lub bardziej otwarte zrozumienie ze strony Izraela oraz części elit i opinii publicznej Zachodu, wciąż postrzegających – jak republikanie w USA – Islamską Republikę Iranu jako największe zagrożenie na Bliskim Wschodzie. Jak pokazują jednak oficjalne zestawienia potencjałów militarnych obu państw, taka wojna nie byłaby ani łatwa, ani krótkotrwała, a jej wynik – nawet uwzględniając możliwe wsparcie dla Saudów ze strony przynajmniej części Zachodu – wcale nie byłby oczywisty i jednoznacznie przesądzony. Tym bardziej że konflikt błyskawicznie przerodziłby się w niemal globalne starcie sunnicko-szyickie, z katastrofalnymi dla wielu regionów świata konsekwencjami.

Pytaniem bez odpowiedzi pozostaje jednak na razie, czy schorowany i nie najmłodszy już saudyjski król Salman ibn Abd al-Aziz al-Saud zdaje sobie w pełni sprawę z tych szerszych kontekstów sytuacji, w jakiej znajduje się obecnie jego kraj. Najbliższe miesiące najpewniej pokażą, czy po roku swych niezbyt udanych rządów saudyjski monarcha i jego otoczenie zdołają uniknąć wpadnięcia w pułapkę, którą w istocie sami zastawili. ■

**MIĘDZYNARODOWE TARGI
MEDYCYNY WOJSKOWEJ
I RATUNKOWEJ**



**22-23 KWIETNIA 2016
WARSZAWA**

WWW.MME.ZTW.PL

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER, TADEUSZ WRÓBEL

Cięcia i inwestycje

Po wielu chudych latach Niemcy zwiększą wydatki na armię. Do 2030 roku chcą przeznaczyć 130 mld euro na dozbrojenie Bundeswehry.



WNiemczech 1 lipca 2011 roku zawieszono obligatoryjną służbę wojskową, co było zwieńczeniem prawie 20-letniego procesu ewolucji Bundeswehry – od siły przeznaczonej do obrony przed sowiecką agresją na terytorium własne i sojuszników z NATO do wojsk ekspedycyjnych, zdolnych do działań daleko od granic kraju. Nowa koncepcja przeznaczenia niemieckich sił zbrojnych spowodowała ich redukcję do 185 tys. żołnierzy. I ten poziom osiągnięto już w 2010 roku. Wprowadzana wówczas reforma miała obniżyć koszty utrzymania Bundeswehry przy jednoczesnym zwiększeniu jej mobilności i interoperacyjności.

BRAK OCHOTNIKÓW

Siły zbrojne naszego zachodniego sąsiada po przejściu na zaciąg ochotniczy mają jednak poważne problemy kadrowe. Marynarce wojennej np. brakuje podoficerów wyspecjalizowanych w obsłudze sonarów na okrętach podwodnych. W rezultacie w 2014 roku z czterech niemieckich okrętów podwodnych pływały tylko dwa, bo pozostałych nie miał kto obsługiwać.

Potrzeby niemieckiej armii wynoszą 15 tys. ochotników rocznie. Tymczasem od lat brakuje chętnych do włożenia munduru, bo sektor cywilny ma bardziej atrakcyjną ofertę. Według oficjalnych danych 31 grudnia 2015 roku, w czynnej służbie było 177 069 wojskowych. Przy czym 8792 z nich to tzw. wolontariusze wojskowi, czyli ochotnicy, którzy zdecydowali się na krótkookresową służbę, trwającą od siedmiu do 23 miesięcy (od 24 miesięcy zaczyna się służba kontraktowa). W tej sytuacji mało prawdopodobne jest zwiększenie liczebności Bundeswehry, choć badania opinii publicznej wykazują, że obecnie jest na to przyzwolenie społeczne. Z najnowszych sondaży instytutu demoskopijnego YouGov wynika, że Niemcy chcą mieć silniejszą armię. Za zwiększeniem liczebności Bundeswehry opowiedziało się 56% ankietowanych.

Jest to jednak zgoda warunkowa, bo Niemcy dopuszczają większe zaangażowanie Bundeswehry, o ile nie ma ono charakteru militarnego. W ostatnich miesiącach takim humanitarnym zaangażowaniem armii jest pomoc uchodźcom, którzy masowo przybywają do Nie-

miec. W operacji tej bierze udział ponad 7 tys. żołnierzy, ponad dwa razy więcej niż służy obecnie w misjach zagranicznych. Pomoc polega m.in. na zakwaterowaniu w koszarach czynnych jednostek Bundeswehry i kwaterach polowych na poligonach ponad 40 tys. imigrantów oraz wydaniu im z magazynów tysięcy łóżek polowych i posiłków. Wojskowi o wykształceniu prawnym i administracyjnym wspierali urzędników Federalnego Urzędu ds. Migracji i Uchodźców.

Wspomaganie przez Bundeswehrę sił porządkowych,

które nie radzą sobie z uchodźcami, zakłóca tok szkolenia bojowego i sprawia, że armia musi ograniczyć niektóre ćwiczenia. Dlatego pełnomocnik Bundestagu ds. obrony Hans-Peter Bartels przestrzegł przed pokusą potraktowania czasowej pomocy Bundeswehry jako jednego z jej stałych obowiązków. W wywiadzie dla gazety „Die Welt” przypomniał, że podstawowym zadaniem sił zbrojnych jest zapewnienie krajowi bezpieczeństwa. Służby prasowe Bundeswehry, a także minister obrony Ursula von der Leyen przyznają, że choć pomoc uchodźcom może wpływać na

rutynowe ćwiczenia i szkolenie żołnierzy, to nie ucierpią zobowiązania sojuszników Niemiec w ramach NATO, bo priorytetem pozostają wyszkolenie bojowe i misje zagraniczne.

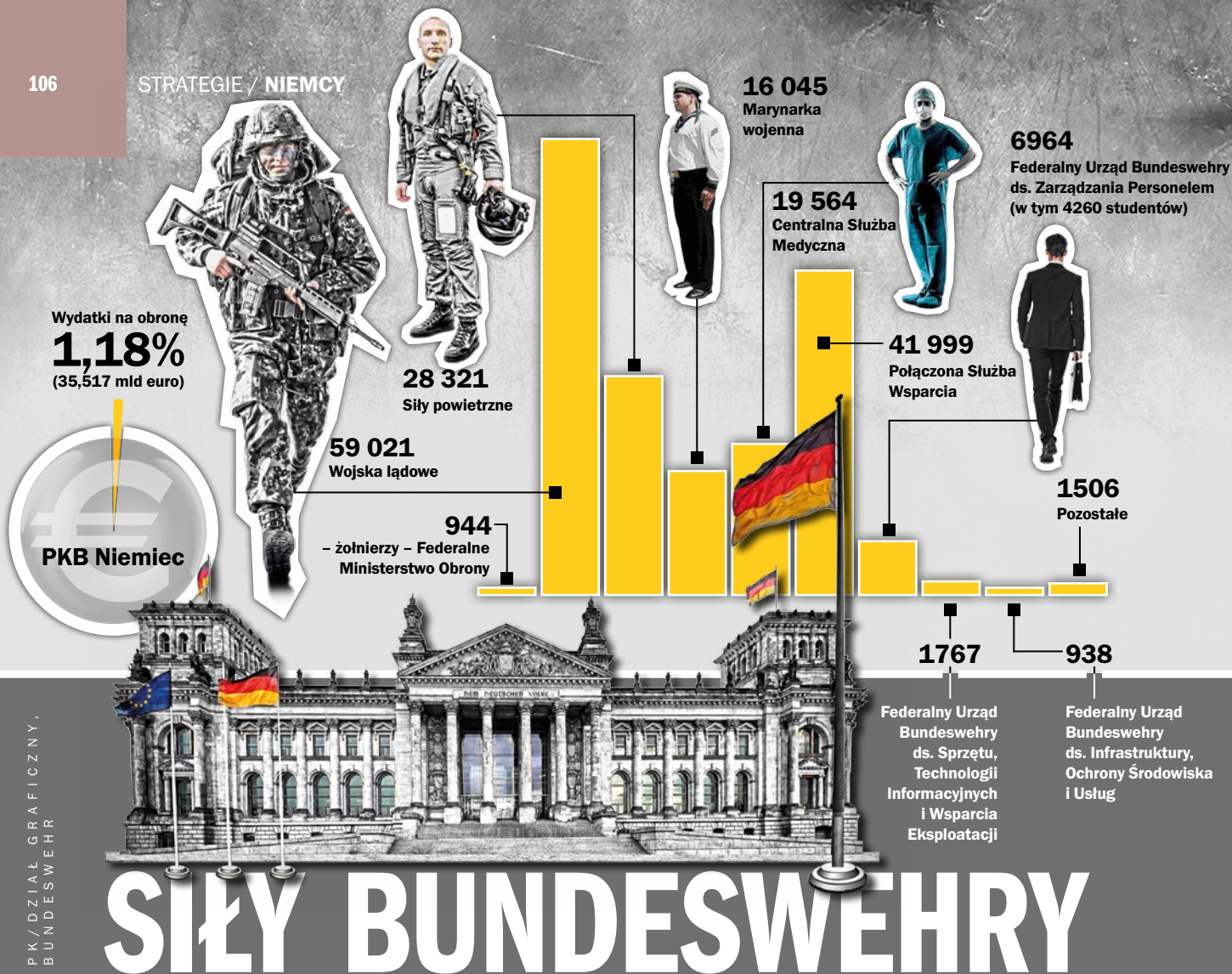
KŁOPOTY ZE SPRZĘTEM

Od pewnego czasu w niemieckich mediach pojawiają się informacje o złym stanie sił zbrojnych. Ograniczone środki finansowe mają wpływ na stan gotowości bojowej Bundeswehry. W 2011 roku w ramach oszczędności zdecydowano się m.in. na ograniczenie w niektórych rodzajach wojsk potrzebnego uzbrojenia i sprzętu tylko do 70% stanu etatowego. Dotyczyło to m.in. jednostek ciężkich, pancernych i zmechanizowanych.

Niemcy, których wojska lądowe podczas zimnej wojny stanowiły trzon sił obronnych Europy Zachodniej, zredukowały ich liczebność do 59 tys. żołnierzy. Komponent ciężki tworzą dziś dwie dywizje pancerne (tylko z nazwy), w których sześciu brygadach jest zaledwie pięć batalionów czołgów. Przy czym w czasie po-



BRAKUJE CHĘTNYCH DO WŁOŻENIA MUNDURU, BO SEKTOR CYWILNY MA BARDZIEJ ATRAKCYJNĄ OFERTĘ



koju jeden z nich ma rozwinięte tylko dwie kompanie, które są przydzielone do dwóch innych batalionów. Jednostki piechoty zmechanizowanej, znane jako grenadierzy pancerni, zredukowano natomiast do dziewięciu batalionów. Ogromne cięcia nastąpiły też w artylerii. Obie dywizje mają tylko trzy dywizjony wyposażone w samobieżne armatohaubice PzH 2000 kalibru 155 mm i wyrzutnie raketowe Mars II. Czwarta taka jednostka znajduje się w brygadzie francusko-niemieckiej.

Sytuacja na Ukrainie spowodowała, że resort obrony zdecydował się wzmocnić siły lądowe dodatkowym uzbrojeniem. Podpisany został kontrakt na 131 ośmio-kołowych pojazdów pancernych Boxer, z dostawą w latach 2017–2020. Wraz z tymi kupionymi w 2006 roku Bundeswehra będzie miała 403 boxery. 24 czerwca 2015 roku formalnie do służby wszedł też nowej generacji bojowy wóz piechoty Puma. Pierwotnie zamierzano kupić 405 tych pojazdów, ale później zamówienie zredukowano do 350 sztuk. Pumpy mają do 2020 roku zastąpić ponad 40-letnie pojazdy Marder w batalionach grenadierów pancernych.

Nie lepsza jest kondycja niemieckich sił powietrznych. W mediach głośno jest o problemach nowo wprowadzanych statków powietrznych. Sprawa ta wróciła po podjęciu przez Niemcy politycznej decyzji o dołączeniu do koalicji zwalczającej tzw. Państwo Islamskie w Syrii i Iraku. Otóż okazało się, że wysłanie sześciu samolotów rozpoznawczych Tornado nie jest łatwe, bowiem choć niemieckie siły powietrzne mają jeszcze 93 maszyny tego typu, to tylko 29 z nich może być użyte operacyjnie. Co więcej, stwierdzono, że złe oświetlenie kokpitu uniemożliwia tym samolotom wykonywanie nocnych lotów nad Syrią.

Parlamentarna komisja obrony ujawniła, że nie lepiej jest w wypadku innych typów maszyn Luftwaffe. Ze 114 myśliwców Tornado do użycia nadawało się tylko 38. Podstawowym samolotem transportowym Niemców, jak na razie, jest C-160 Transall. Mają ich 50 sztuk, ale mogą wykorzystać tylko 21.

Jeszcze gorzej sytuacja przedstawia się w lotnictwie wojsk lądowych. Spośród 40 najnowszych śmigłowców wielozadaniowych NH-90 operacyjnych było zaledwie

„ARMIA JEST W PUNKCIE ZWROTNYM.

NIE MOŻE BYĆ
WIĘCEJ CIĘĆ”, ZACY-
TOWAŁO BARTELSA
W SWYM SERWISIE
INTERNETOWYM
DEUTSCHE WELLE.
POLITYK TEN
STWIERDZIŁ,
ŻE W WOJSKU
„BRAKUJE NIEMAL
WSZYSTKIEGO”

pięć, a w wypadku 43 uderzeniowych maszyn Tiger – tylko siedem. Podobne kłopoty ma lotnictwo morskie, w którym służą znacznie starsze śmigłowce; Sea King Mk 41 dostarczono w latach 1972–1975. Według danych parlamentu, gotowość operacyjna wynosi w ich przypadku od trzech do pięciu na 21 sztuk. Z pokładowych śmigłowców Sea Lynx, używanych od 1981 roku, operacyjne są tylko cztery z 22.

Problemy Bundeswehry ze sprzętem wynikają z kilku przyczyn. Podczas misji w Afganistanie oraz w operacjach w Afryce samoloty i śmigłowce transportowe (Transall, CH-53) były intensywnie eksploatowane. Kolejny powód to wprowadzana od 2011 roku reforma Bundeswehry oraz kryzys gospodarczy, które wymusiły spore oszczędności.

Niemcy mają także narastające kłopoty z terminową realizacją dużych projektów zbrojeniowych (m.in. z produkcją samolotów transportowych A400M) – były spore opóźnienia w dostawach, co sprawiało, że nowe uzbrojenie stawało się droższe. Analitycy przewidują, że problemy niemieckiej armii ze sprzętem będą-

cym w pełnej gotowości operacyjnej mogą potrwać jeszcze kilka lat.

FINANSOWY ZASTRZYK

Ważna jest wysokość nakładów, jakie Niemcy przeznaczają na obronę. Jak podało NATO, w 2015 roku wyniosły one 35,517 mld euro. Kwota imponująca, ale stanowiąca zaledwie 1,18% PKB Niemiec. Pełnomocnik Bundestagu ds. obrony Hans-Peter Bartels podał natomiast 26 stycznia 2016 roku, podczas prezentacji raportu rocznego komisji obrony Bundestagu, że było to 1,16%. Wydatki obronne były zatem co prawda o 768 mln euro większe niż w 2014 roku, ale pod względem procentowego udziału w PKB odnotowano spadek. W kwestii struktury wewnętrznej budżetu, choć Niemcom udało się zejść w 2015 roku z kosztami utrzymania personelu poniżej 50%, to wydatki na sprzęt od lat są znacznie poniżej zalecanych 20%. Statystyki sporządzane przez NATO podają, że w minionym roku było to 13,3%. Bartels zasugerował, że sytuację poprawiłby nawet niewielki wzrost nakładów na obronę, do poziomu 1,2% PKB.

Pod koniec stycznia, kilka dni po publikacji krytycznego raportu pełnomocnika Bundestagu ds. obrony, który wykazał, że niemal we wszystkich dziedzinach Bundeswehry ma niedobory (zarówno w kadrze, jak i w wyposażeniu) minister obrony Ursula von der Leyen podała, że na zakupy sprzętu do 2030 roku zostanie przeznaczonych 130 mld euro, a nakłady na obronę powinny rosnąć o 3–4 mld euro rocznie. Realizacja tych planów oznaczałaby podwojenie wydatków na wojsko, co – wzięwszy pod uwagę wewnętrzną politykę kraju – nie będzie łatwe do zrealizowania.

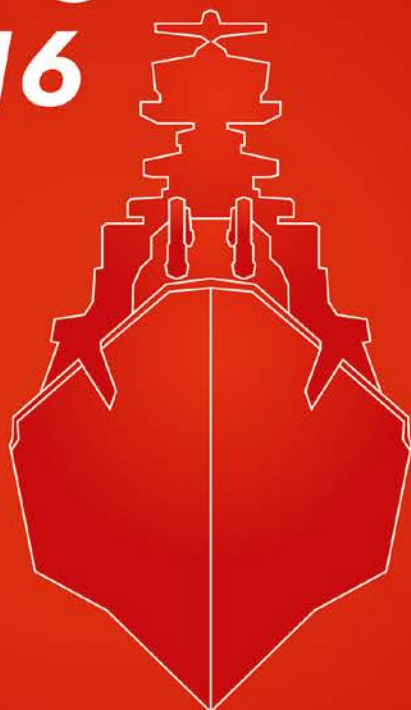
Zrozumienie dla planów resortu obrony wykazał minister finansów Wolfgang Schäuble, który stwierdził, że Niemcy „muszą więcej zainwestować, zarówno w bezpieczeństwo wewnętrzne, jak i zewnętrzne” kraju. Zapewnił, że jest gotowy do udzielenia odpowiedniego wsparcia. Choć niemiecka opinia publiczna uważa, że konflikty powinny być rozwiązywane na drodze politycznej, to kryzysy wokół Europy sprawiają, że politykom łatwiej będzie przeforsować kosztowny plan dofinansowania armii.

To od wysokości funduszy przeznaczonych w najbliższych latach na funkcjonowanie Bundeswehry będzie zależał wykonywanie zadań, które stawiają przed żołnierzami politycy. A tych w obecnej sytuacji geopolitycznej jest wiele: włączenie się do operacji przeciwko Państwu Islamskiemu na Bliskim Wschodzie, udział w misjach pokojowych w Afryce oraz w siłach natychmiastowego reagowania NATO, a także zwiększona aktywność na wschodniej flance NATO związana z agresywnymi działaniami Rosji. ■

20-22.06.2016 | Gdańsk | AMBEREXPO

14. Bałtyckie Targi Militarne

 **BALT
MILITARY
EXPO
2016**



 **USEALS**

WYSTAWA BEZZAŁOGOWYCH SYSTEMÓW
MORSKICH POWIETRZNYCH LĄDOWYCH

PARTNER MEDIALNY

Polska Ziemia

Wojsko

MORZA

max

**VII Międzynarodowa Konferencja
Naukowo-Techniczna**



**TECHNOLOGIE
MORSKIE
DLA OBRONNOŚCI
I BEZPIECZEŃSTWA**



ORGANIZATORZY

 **MTG**
Międzynarodowe
Targi Gdańskie SA

 **CTM**

 **PGZ**



 **MTG**
Międzynarodowe
Targi Gdańskie SA


DYREKTOR PROJEKTU: **MAREK BUCZKOWSKI**
TEL. 58 554 92 13, 693 448 814, FAX 58 554 93 13
MILITARY@MTGSA.COM.PL
WWW.BALTMILITARY.PL



BIURO ORGANIZACYJNE: **MONIKA DOMAGAŁA**
TEL. 58 666 54 81
NATCONFERENCE@NATCONFERENCE.EU
WWW.NATCONFERENCE.EU

ANDRZEJ
WILK

Rosja na poligonie



W lutym minęły trzy lata od pierwszego tzw. niezapowiedzianego sprawdzianu gotowości bojowej armii rosyjskiej. Od tego czasu Putinowskie wojsko praktycznie nie schodzi z poligonów, a niezapowiedziane sprawdziany, czyli „wniezapne prowierki”, przeplatają się z planowymi. Rosyjscy żołnierze ćwiczą wszędzie – od obwodu kaliningradzkiego po Kuryle i od Arktyki po południowe rubieże byłego imperium sowieckiego. Na zmniejszenie intensywności szkolenia nie wpłynęło zaangażowanie Sił Zbrojnych Federacji Rosyjskiej ani na Ukrainie, ani w Syrii. Co więcej – zajęcie Krymu, ofensywa w Donbasie w sierpniu 2014 roku oraz bombardowania Syrii sprawiają wrażenie, jakby stanowiły jedynie kolejne fazy procesu szkolenia, przeniesienie ćwiczeń poza granice Rosji, w warunki – z perspektywy Moskwy – maksymalnie zbliżone do realnych działań wojennych.

W sytuacji permanentnych i wszechobecnych ćwiczeń na całym terytorium Federacji Rosyjskiej uwagę opinii publicznej zwracają te, które rosyjska machina propagandowa uznała za stosowne nagłośnić, wskazując jednocześnie – wprost lub w komentarzach tzw. niezależnych ekspertów – potencjalne kierunki akcji zbrojnej, do której ćwiczący żołnierze mają się przygotowywać. W ostatnich tygodniach zadanie takie wyznaczono „wniezapnej prowierce” w Południowym Okręgu Wojskowym (8–12 lutego) oraz ćwiczeniom 76 Dywizji Desantowo-Szturmowej z Pskowa (15–20 lutego). W pierwszym wypadku wskazano kierunek syryjski, a na głównego adresata „przesłania” wytypowano Turcję, choć kierując ćwiczeniami z zajętego dwa lata temu Krymu, Rosjanie przypomnieli się również Ukrainie. W drugim wypadku nikt w Moskwie nie ukrywał, że to „odpowiedź” na „agresywne” działania NATO w krajach bałtyckich. O ile żadnego z przedstawionych potencjalnych kierunków działań armii rosyjskiej nie można wykluczyć, o tyle nagłośnione ćwiczenia, podobnie jak dziesiątki innych przeprowadzonych w lutym, miały charakter zdecydowanie bardziej uniwersalny. Jednym z elementów szkolenia rosyjskich „desantników” na poligonach w obwodzie pskowskim było przygotowanie żołnierzy do planowanych wiosną ćwiczeń w Arktyce. Za najistotniejszy element „wniezapnej prowierki” z kolei w Południowym Okręgu Wojskowym należy uznać testowanie systemów łączności i dowodzenia oraz logistyki na potrzeby ewentualnej dyslokacji wojsk drugiego rzutu strategicznego, które to zadanie dla wszystkich kierunków operacyjnych wykonują jednostki Centralnego Okręgu Wojskowego.

Ćwiczenia wojskowe pozostają jedną z nielicznych dziedzin funkcjonowania państwa rosyjskiego, których nie dotknęły problemy finansowe, z jakimi boryka się Rosja w związku z przedłużającym się obniżeniem cen ropy naftowej. Z perspektywy ostatnich lat coraz wyraźniej widać, że dla ekipy Putina stały się one – obok modernizacji technicznej Sił Zbrojnych FR i wychowania społeczeństwa w duchu militarnym – jednym z pomysłów na Rosję. Kwestią otwartą pozostaje, gdzie i kiedy po raz kolejny Moskwa uzna, że nie widzi innej możliwości zabezpieczenia swoich interesów niż przeniesienie „ćwiczeń” poza granice Federacji.



ANDRZEJ WILK JEST EKSPERTEM OŚRODKA STUDIÓW WSCHODNICH.



HISTORIA

/ ROZMOWA

AKTA NIEZASTRZEŻONE

Z dr. hab. Sławomirem Cenckiewiczem

**o najbardziej intrygujących zbiorach Centralnego
Archiwum Wojskowego, dostępie do jego akt
i trudnej historii polskiego wojska rozmawiają
Joanna Tańska i Krzysztof Kowalczyk.**



KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

Jaki ma Pan pomysł na Centralne Archiwum Wojskowe w nowym wydaniu?

Chcę zmienić sposób funkcjonowania całej sieci wojskowych archiwów. Mam na myśli przede wszystkim liberalizację dostępu do zbiorów, ale i wewnętrzne uporządkowanie archiwów. Na swoim przykładzie wiem, jak w CAW-ie traktowano archiwalia i historyków. W książce o płk. Ryszardzie Kuklińskim napisałem nawet, że to ostatnia reduta ludowego Wojska Polskiego, która czci jego pamięć i nie chce pokazać materiałów kładących się cieniem na jego historii. Moim celem jest więc otwarcie i uporządkowanie archiwów. Ale chciałbym też, by państwo polskie zaczęło chwalić się tym, co posiada i co się znajduje w naszych zbiorach. Myślę oczywiście o tych materiałach, które są chlubą polskiego oręża, czyli pochodzących z okresu międzywojennego. Do tej pory nie były one w wystarczającym stopniu upowszechniane. Dlatego jedną z moich pierwszych decyzji była zmiana regulaminu udostępniania tych dokumentów, tak by badacze mieli do nich szerszy dostęp.

Obejmując to stanowisko, mówił Pan, że trudno szybko ocenić, co zawierają archiwa.

To niestety prawda. Zostając pełnomocnikiem, nie wiedziałem, że znajdę w CAW-ie akta personalne żołnierzy komunistycznego wywiadu wojskowego – Oddziału II i Zarządu II Sztabu Generalnego WP. One, z mocy prawa, powinny zostać przekazane do Instytutu Pamięci Narodowej. Za przetrzymywanie tego typu materiałów ponosi się odpowiedzialność karną.

Czy te teczki Pan znalazł?

Wysokich rangą oficerów Zarządu II Sztabu Generalnego: gen. bryg. Marka Dukaczewskiego, płk. Zdzisława Żyłowskiego i kadm. Czesława Wawrzyniaka, czyli późniejszej elity WSi. Ale znalazłem również akta płk. Nikofora Gołosnickiego, którego sowiecki Smiersz oddelegował w 1944 roku do stworzenia „polskiego”

wywiadu. By poznać kolejne nazwiska, trzeba przeprowadzić audyt, a w zasadzie skontrum zasobów wojskowych. To mnóstwo pracy, bo oznacza konieczność spisania każdej teczki z każdego regału. Dopiero później będzie można porównać ten spis z istniejącymi ewidencjami. Sprawy komplikuje jeszcze trwający od 2011 roku remont i rozbudowa głównego gmachu archiwum wojskowego, nie mówiąc już o katastrofalnym stanie magazynu CAW-u w Wesołej, w którym żadne akta nie powinny się w ogóle znajdować. Grzyb, wilgoć, robactwo, gryzonie... to są warunki w jakich przechowywane są dokumenty polskiej generalicji i wojska z lat 1918–1939! To hańba!

Czemu prace idą tak wolno?

Nie chcę zbyt dużo mówić o tej sprawie, ale tempo prac, samo zaplanowanie budowy wzbudzą poważne wątpliwości. Jakby komuś zależało na tym, by remont nie skończył się zbyt szybko. Mam jednak nadzieję, że prace uda się przyspieszyć.

W jakim stanie są dokumenty archiwalne?

Po wizytacji magazynu w Wesołej nie mam zbyt optymistycznych wieści. To, co tam zobaczyłem, urąga wszelkim zasadom archiwistyki i jest oskarżeniem wobec wszystkich tych osób, które w przeszłości odpowiadały za stan archiwów wojskowych. Wspomnę tylko, że prawie 1,5 km akt w Wesołej stanowią materiały z okresu międzywojennego, a nawet wcześniejsze. Ich bezpieczeństwo fizyczne jest zagrożone, zarówno ze względu na warunki panujące w magazynie, jak i stan części tych archiwaliów. Coś ściska mnie za gardło, gdy oglądam materiały dotyczące Polskiej Organizacji Wojskowej. To jedne z najważniejszych dokumentów, jakie posiada polskie państwo. Jako historyk usiłowałem się do nich dostać w latach dziewięćdziesiątych. Odmawiano mi jednak dostępu, twierdząc, że są „w opracowaniu”. Tyle tylko, że kiedy tu



Interesuje mnie prawda w historii, oparta na faktach, a nie jałowe spory

przyszedłem, okazało się, że nikt się tą dokumentacją nie zajmował. Dziś jest ona w bardzo złym stanie i musi zostać poddana profesjonalnej ochronie – odgrzybieniu i opracowaniu. To będzie operacja ratunkowa. A mówimy o dokumentach często spisanych nie na papierze, ale na płótnie, które trzeba rozprasować. Należy o nie zadbać tym bardziej, że to co jest w naszych rękach, to tylko niewielka część całego zbioru dotyczącego POW-u. Niestety ta główna została wywieziona przez NKWD i znajduje się w kolekcji archiwaliów Federacji Rosyjskiej. Na przykład dokumentacja komendy kijowskiej POW-u, który stał się awangardą polskiego wywiadu na Związek Sowiecki w pierwszych latach po rewolucji 1917 roku. Rosjanie zaczęli ją udostępniać, ale w zasadzie nie Polakom.

Czy to, co znajduje się w naszych archiwach, może zmienić postrzeganie polskiego wojska?

Naszą chlubą jest oczywiście okres I wojny, wojna z bolszewikami, boje o Lwów z Ukraińcami i Wilno z Litwinami, czas międzywojnia. II wojny światowej już tak jednoznacznie nie można ocenić. Nie myślę rzecz jasna o 2 Korpusie gen. Andersa, Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie, AK czy NSZ-ecie, ale ze względu na wojsko, chciałem powiedzieć polskie, ale powinienem jednak powiedzieć ludowe Wojsko Polskie, które powołał Stalin w maju 1943 roku. Trudno mi uznać tę formację za część historii naszego oręża. Ale nawet z LWP musimy wydobyć to, co może być dzisiaj dla nas powodem do dumy, np. historie płk. Ryszarda Kuklińskiego i ks. Jerzego Popiełuszki, przymusowo wcielonego do armii w ramach represji wobec polskiego duchowieństwa. Przez ten pryzmat jesteśmy w stanie ukazać prawdziwy charakter LWP. Chcę, by współcześni badacze napisali jego historię od nowa, ukazując szlak bojowy armii Berlinga, przymusowe branki wcielanych do

I i 2 Armii WP żołnierzy Armii Krajowej, udział LWP w „rozładowaniu lasów” z żołnierzami podziemia niepodległościowego, udział w Marcu ’68, Grudniu ’70 i stanie wojennym. LWP było jednym z fundamentów, na których zbudowano PRL! Chociaż upłynęło 26 lat od tego, co jedni określają mianem transformacji, a ja chciałbym – mimo wszystko – nazwać odzyskaniem niepodległości, ta kwestia wydaje się być lekceważona w wojsku. Proszę zajrzeć do izb pamięci w jednostkach. Często obok portretów Piłsudskiego czy Andersa znajdują się tam wizerunki Spychalskiego, Rokossowskiego, Kieniewicza, Bordziłowskiego czy Żymierskiego. Nawet w miejscu, w którym rozmawiamy, na terenie Akademii Obrony Narodowej, jest aula im. gen. Józefa Kuropieski, który, będąc attaché wojskowym Polski Ludowej w Londynie, w 1945 roku zainicjował jedną z największych operacji wymierzonych w PSZ na Zachodzie i władze RP na uchodźstwie. Zwerbował trzech wysokich rangą oficerów – gen. Tatara, płk. Nowickiego i ppłk. Utnika, a ostatecznie za ich pośrednictwem komuniści przejęli znaczną część majątku legalnego rządu. Ta operacja kosztowała życie 20 żołnierzy, których komuniści zamordowali i wrzucili w bezimienne doły na Łączyce. Tacy ludzie jak Kuropieska, mimo że w ramach wewnętrznych porachunków komunistów sami stali się na jakiś czas ofiarami systemu, nie mogą być patronami naszej armii. To są rzeczy niepojęte. Z czasów pracy w IPN-ie pamiętam izbę tradycji w jednostce w Szczecinie, gdzie był czczony gen. Jaruzelski. Nie chciałbym, żeby główną polską uczelnię wojskową zdobiły sowieckie czołgi, a siedziba naszego archiwum mieściła się przy ulicy Czerwonych Beretów! Bo wiem, kim był ich współtwórca i patron gen. Rozłubirski! Polska ma jedną tradycję komandosów – to cichociemni i żołnierze gen. Sosabowskiego! Im należy się nasza pamięć!



Żołnierze LWP powtarzają, że przecież oni także walczyli dla Polski i zaprzeczanie temu jest dla nich krzywdzące.

Pogodzenie dwóch tradycji – LWP i Wojska Polskiego jest niemożliwe. Jeśli ci żołnierze mogą czegoś bronić, to tylko własnych życiorysów lub osób, które w tym wojsku służyły, a które nie zgadzały się z jego ideami i funkcjami definiowanymi zawsze jedynie przez pryzmat obrony komunizmu (zarówno w sferze wewnętrznej, jak i zewnętrznej). Wyciągamy z historii LWP indywidualne przykłady niezgody na to, co się w tym czasie działo.

Dużo jest takich przypadków?

Jestem pewien, że tak.

Apelował Pan do poprzedniego szefa resortu obrony Tomasza Siemoniaka, by wystąpił do USA o akta, które płk Ryszard Kukliński przekazał CIA. Czy ministra Macierewicza też będzie Pan do tego namawiał?

Oczywiście. Już nawet z nim o tym rozmawiałem. Uważam, że polskie państwo ma w sprawie Kuklińskiego wciąż wiele do zrobienia. To, co stanowi świadectwo pracy i rozległej wiedzy Kuklińskiego – myślę o olbrzymiej dokumentacji Zarządu Operacyjnego I Sztabu Generalnego LWP, która znajduje się w zbiorach Centralnego Archiwum Wojskowego i podległej nam wojskowej sieci archiwalnej – musi zostać upowszechnione. Wspomnieć należy, że duża część akt Zarządu Operacyjno-Strategicznego (później Zarządu I Operacyjnego SG) z lat 1957–2000 znajduje się w Archiwum MON-u w Modlinie i stanowi łącznie 1306 jednostek archiwalnych, tzn. ponad 26 m bieżących archiwaliów. Ale to nie wszystko, bo przecież wiele materiałów dotyczących planowania strategicznego, czyli inwazji LWP na Zachód w ramach Frontu Nadmorskiego wojsk Układu Warszawskiego, znajduje się również w CAW-ie i innych placówkach wojskowej sieci archiwalnej (m.in. w Archiwum Wojskowym w Oleśnicy).

KRZYSZTOF ZUCZKOWSKI



Polskie państwo ma w sprawie Kuklińskiego wciąż wiele do zrobienia

Upublicznienie i upowszechnienie wiedzy (również poprzez zainicjowanie projektów naukowych dotyczących sił zbrojnych PRL-u) na temat rzeczywistego charakteru LWP i jego roli w strukturach Układu Warszawskiego, a także pozycji i stanu wiedzy płk. Kuklińskiego, dadzą polskim władzom realną możliwość zwrócenia się do Amerykanów o przekazanie nam – choćby w formie kopii – materiałów, które dał im „Jack Strong”. Dopiero wówczas ziści się to, o czym pisałem w książce „Atomowy szpieg”: „Występując o odtajnienie i przekazanie do Polski spuścizny wywiadowczej Kuklińskiego, inicjując poważne badania naukowe na temat LWP, zrealizujemy wreszcie ostatni akt woli płk. Ryszarda Kuklińskiego. Jesteśmy mu to winni. Zbyt wiele czasu już straciliśmy”.

Kiedy zatem ujawni Pan polską część akt?

W zasadzie to już się stało, bo akta Zarządu Operacyjnego są w większości jawne i znajdują się w Modlinie, a druga ich część w IPN-ie. Tyle że jawność, a wydobywanie tego i obejrzenie, to dwie różne rzeczy. Chcę w tym roku na szczycie NATO zorganizować wystawę, która będzie pokazywać, czym była zniewolona Polska w Układzie Warszawskim. To jest jeden ze sposobów przekonywania Amerykanów, by odtajнили i przekazali nam swoje dokumenty o Kuklińskim. Tym bardziej że ostatnio ujawnili oni swoje plany uderzenia atomowego na PRL z 1959 roku.

To co Polska może ujawnić?

Przypomnijmy, że Radosław Sikorski, jako szef MON-u w pierwszym rządzie PIS-u, przekazał tzw. akta Układu Warszawskiego do

IPN-u, ale część z tych dokumentów, która dotyczyła planowanej wojny z Zachodem, została później decyzją Sztabu Generalnego ponownie utajniona, i tak jest do dziś. Ja już zrobiłem rekonesans w sprawie tych materiałów i myślę, że większość z nich zostanie ujawniona. Nie ma powodu, by dokumenty dotyczące planowanej wojny LWP w ramach Układu Warszawskiego przeciwko Danii i Niemcom czy krajom Beneluksu były dziś tajne. Wtedy będziemy mogli powiedzieć Amerykanom: „też ujawnicie swoje archiwa”, bo do tej pory udostępnili oni 4 tys. dokumentów, z czego tylko jeden dokument – list z sierpnia 1972 roku – wyszedł spod ręki Kuklińskiego. Reszta to są materiały przetworzone przez analityków CIA.

Czy ujawnienie wszystkich dokumentów o Kuklińskim skończy w Polsce dyskusję o tym, czy był zdrajcą, czy bohaterem?

Być może, choć mnie interesuje prawda w historii, oparta na faktach i źródłach, a nie jałowe spory i bicie na alarm przez wychowanków Jaruzelskiego w rodzaju gen. Puchały.

Szef MON-u Antoni Macierewicz chce, by archiwa dotyczące wojska, znajdujące się w zbiorze zastrzeżonym IPN-u, były jawne. Czy w Wojsku Polskim są oficerowie, którzy mogą się bać ich zawartości?

Są dwie grupy zawodowe, które mają olbrzymie kłopoty związane z oświadczeniami lustracyjnymi. To dyplomaci i wojskowi, w tym często ci z najwyższego szczebla: ze Sztabu Generalnego i departamentów MON-u. Biuro Lustracyjne IPN-u często kwestionuje ich oświadczenia, zarzucając generałom tzw. kłamstwo lustracyjne. Jawność tych materiałów służy oczyszczeniu armii z komunistycznej agentury, która przez ukrywanie dokumentów może się stać elementem gry obcych służb i szantażu. Są też sprawy, które z różnych powodów pogrobowcy LWP starali się ukryć przed opinią publiczną. W zbiorze zastrzeżonym IPN-u ukryto np. akta agenta Zarządu II Sztabu Generalnego WP o pseudonimie „Dick”, czyli Grzegorza Żemka, dyrektora generalnego Funduszu Obsługi Zadłużenia Zagranicznego. Tego typu materiały pokazują, jak ważne informacje znajdują się czasem w tym zbiorze.

Czy sprawa FOZZ-u to najgłośniejsza afera, na której temat można znaleźć dokumenty w zbiorze zastrzeżonym wojska?

Nie tylko. To, co mnie porusza jako badacza, to powołanie w MSZ-ecie specjalnej komórki z udziałem wojskowych służb wywiadowczych LWP, zajmującej się przejmowaniem spadków po Polakach, którzy zmarli



WIZYTÓWKA

SŁAWOMIR CENCKIEWICZ

Jest potomnie na Zachodzie. Jedną z takich spraw została opisana przeze mnie w książce „Długie ramie Moskwy”. Dotyczyła Arie-go Lipszycy – polskiego obywatela z okresu międzywojennego, który wyjechał do Kanady. Gdy zmarł w Toronto w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku, Zarząd II Sztabu Generalnego wyty-pował agenta o pseudonimie „Laufer”, który przed sądem udowodnił, że jest spadkobiercą Lipszycy. Kto prowadził tego agenta? Pułkownik, a potem generał Konstanty Malejczyk, jeden z szefów WSI. Akcja przejmowania spadków była działaniem o charakterze przestępczym. O tym, że był to proceder, a nie jednostkowe działanie, świadczy fakt, że gen. Roman Misztal, szef Zarząd II SG, który niestety służył w armii również po 1989 roku, wydał w latach osiemdziesiątych specjalną instrukcję o sposobie przejmowania takich majątków. Pieniądze trafiały do funduszu operacyjnego, a jak już się walił system, to do prywatnych kieszeni. Tego typu rzeczy nigdy nie powinny znaleźć się w zbiorze zastrzeżonym IPN-u, bo to jest sposób ukrywania przestępczych działań służb wojskowych PRL-u.

Wiemy, że trwają prace nad zniesieniem zbioru zastrzeżonego. Czy jego ujawnianie może mieć wpływ na bezpieczeństwo państwa?

Czysto teoretycznie – tak. Hipotetycznie mogą być sytuacje, choć ja nie znam takiego przypadku, że np. jakiś Irakijczyk w czasie budowy elektrowni w latach osiemdziesiątych został zwerbowany przez Zarząd II Sztabu Generalnego, a po latach stał się tłumaczem polskiego kontyngentu w Iraku. Ale jeśli są w zbiorach IPN-u takie materiały, które narażają obecny stan bezpieczeństwa państwa na jakikolwiek szwank, to powinny być chronione przepisami dotyczącymi ochrony informacji niejawnych. Zbiór zastrzeżony IPN-u stał się polem do niesłychanych nadużyć.

Jako pełnomocnik ministra obrony ds. reformy archiwów wojskowych chce Pan powołać Wojskowe Biuro Historyczne.

To jest mój dalekosiężny cel, żeby powstało Wojskowe Biuro Historyczne, które miałoby trzy piony: Centralne Archiwum Wojskowe, Centralną Bibliotekę Wojskową i Wydział Badań Naukowych. Najpierw muszę jednak zreformować Centralne Archiwum Wojskowe, którego struktura jest dysfunkcyjna, a stan części zasobów katastrofalny.

Jest doktorem habilitowanym nauk historycznych, profesorem i wykładowcą akademickim, publicystą. W 2006 roku pełnił funkcję przewodniczącego Komisji ds. Likwidacji Wojskowych Służb Informacyjnych. 5 stycznia 2016 roku został pełnomocnikiem ministra obrony narodowej ds. reformy archiwów wojskowych i dyrektorem Centralnego Archiwum Wojskowego.

Czym, pańskim zdaniem, powinni się zająć historycy biura?

Palącą potrzebą jest zainicjowanie projektów badawczych związanych z LWP. Warto podkreślić, że obecnie nawet w IPN-ie nie ma takiego projektu. Chciałbym to zmienić, inicjując tego typu studia w Wojskowym Biurze Historycznym, a wcześniej w CAW-ie.

Tylko takie?

Oczywiście nie, ale jeśli miałbym np. dziesięć etatów naukowych, to chciałbym, żeby powiedzmy połowa tego składu badała historię LWP. Oczywiście trzeba też pamiętać o okresie wojennym i międzywojennym.

Czy dzięki temu, że został Pan szefem CAW-u, rozpocznie Pan własne badania w tej dziedzinie?

Na pewno, ale nie podporządkuję instytucji, którą kieruję, własnym badaniom i zainteresowaniom. Ja tu siedzę do nocy, ale proszę mi wierzyć, że mam tyle pracy, że naukowo prawie nic nie zrobiłem.

Ostatnio opublikował Pan tekst o gen. Dukaczewskim. Jacy będą kolejni bohaterzy Pana artykułów?

Chciałem zwrócić uwagę na zjawisko ukrywania niektórych dokumentów przed opinią publiczną. A czy będą kolejne podobne artykuły? Sam nie wiem...

Minister Antoni Macierewicz mówił w Sejmie na jednym z posiedzeń Komisji Obrony Narodowej, że będzie tworzona lista oficerów związanych z WSI. Czy taka lista powstaje we współpracy z CAW-em?

Jeżeli ministerstwo się zwraca o akta jakichś żołnierzy, a robi to czasem, to zgodnie z prawem mamy obowiązek je przekazać.

Kiedyś jako historyk nie mógł Pan się dobić do CAW-u, a teraz kieruje Pan tym archiwum...

Tak, to bardzo miłe dla mnie uczucie i w pewnym sensie dowód na sprawiedliwość. Ale nie kieruję się żadną potrzebą zemsty. Im jestem starszy, tym łagodniejszy. Z mojej perspektywy najważniejsze jest uporządkowanie archiwów. Tak, żeby „dobra zmiana”, do której doprowadzimy w wojskowej sieci archiwalnej, była nieodwracalna. Otwarcie archiwów i wpuszczenie do nich dużej liczby badaczy i dziennikarzy spowoduje, że ktokolwiek obejmie po mnie stanowisko, nie będzie mógł już tej zmiany odkręcić. ■

1% OD PODATKU DOCHODOWEGO



1% OD PODATKU DOCHODOWEGO

wspiera nasze działania pomocowe na rzecz
środowiska rannych i poszkodowanych w misjach
NATO, ONZ i UE oraz rodzin poległych.

KRS 000030 4771

Stowarzyszenie Rannych i Poszkodowanych w Misjach Poza Granicami Kraju działa na rzecz konsolidacji środowiska rannych i poszkodowanych.

Reprezentuje i chroni ich interesy, wspiera potrzebujących i udziela pomocy finansowej.

Dba o dobre imię żołnierzy i pracowników pełniących służbę w polskich kontyngentach wojskowych.

Jego członkami są żołnierze służby czynnej, żołnierze w stanie spoczynku i pracownicy wojska.

Stowarzyszenie współpracuje z resortem Obrony Narodowej i innymi instytucjami państwowymi oraz organizacjami krajowymi i zagranicznymi zajmującymi się tą problematyką.

*Aby pamiętać o poległych
bądź rannych i poszkodowanych
przelewać krew
dla ojczyzny i ucieleśniać.*



**STOWARZYSZENIE RANNYCH I POSZKODOWANYCH
W MISJACH POZA GRANICAMI KRAJU**

ul. Wawrzyniaka 5, 70-393 Szczecin
zarzad@stowarzyszenierannych.pl • www.stowarzyszenierannych.pl



Jeszcze kilka lat temu wiedza o żołnierzach antykomunistycznego podziemia zbrojnego w Polsce była dostępna jedynie nielicznym środowiskom historyków dziejów najnowszych i pasjonatów historii. Po raz pierwszy określenie „Żołnierze Wyklęci” pojawiło się na początku lat dziewięćdziesiątych XX wieku w kręgu Ligi Republikańskiej. W 1993 roku użyto go w tytule wystawy „Żołnierze Wyklęci – antykomunistyczne podziemie zbrojne po 1944 r.”, zorganizowanej na Uniwersytecie Warszawskim. Budzący niekiedy kontrowersje zwrot „wyklęci” miał pokazać, jak w nowym, demokratycznym już państwie bohaterowie zbrojnego oporu przeciwko komunizmowi pozostają nadal w zapomnieniu, wykluczeni z publicznej dyskusji o Polsce.

Prawdziwym przełomem w historii tych, którzy podjęli w 1944 roku nierówną walkę z systemem komunistycznym było uchwalenie 3 lutego 2011 roku przez Sejm RP ustawy o ustanowieniu 1 marca Narodowego Dnia Pa-

1944 nawiązywał do wejścia do Polski Armii Czerwonej i początków instalowania w kraju systemu komunistycznego. 1963 z kolei to data śmierci ostatniego z Wyklętych – zabitego 21 października 1963 rok sierż. Józefa Franczaka, ps. „Lalek”.

Żołnierze Wyklęci podjęli bądź kontynuowali walkę z narzuconym Polsce nowym systemem politycznym, uznając go za przejaw zniewolenia narodu polskiego i podporządkowania kraju ZSRR. Nieodłączną cechą ich żołnierskiego wizerunku był mundur Wojska Polskiego lub uniform angielski typu battle dress, dopełniany orzełkiem w koronie i ryngrafem przedstawiającym Matkę Boską Częstochowską lub Matkę Boską Ostrobramską na tle gołda polskiego.

„Nie jesteśmy żadną bandą, tak jak nazywają zdrajcy i wyrodni synowie naszej ojczyzny”, pisał w rozpowszechnianej na Pomorzu ulotce mjr Zygmunt Szendzielarz „Łupaszko”. „Wypowiedzieliśmy walkę na śmierć lub życie

KRZYSZTOF SZWAGRZYK

Z ryngrafami na piersi

Liczbę zabitych w walce, zamordowanych i straconych na podstawie wyroków sądów specjalnych Żołnierzy Wyklętych ocenia się dziś na kilkanaście tysięcy.

mięci „Żołnierzy Wyklętych”. W bardzo krótkim czasie Żołnierze Wyklęci stali się powszechnie znani w Polsce, a zainteresowanie nimi przybrało takie rozmiary, że należy ich już uznać za ważny element świadomości narodowej. Są także rozpoznawalną częścią współczesnej popkultury, w której pamięć jest wyrażana w niezliczonej ilości audycji, biegów, koncertów, konferencji, konkursów, marszów, murali, odczytów, programów telewizyjnych, przeglądów, publikacji, rajdów i spotkań. Za jej skrajne, symboliczne daty uznano lata 1944–1963. Rok



tym, którzy za pieniądze, orderzy lub stanowiska z rąk sowieckich mordują najlepszych Polaków domagających się wolności i sprawiedliwości”.

Najważniejsze, a zarazem najliczniejsze struktury podziemne zorganizowała Armia Krajowa oraz powstałe już po jej rozwiązaniu i kontynuujące jej tradycję: ściśle zakonspirowana organizacja NIE, Delegatura Sił Zbrojnych na Kraj oraz Wolność i Niezawisłość. Drugą podziemną siłą były oddziały obozu narodowego: Narodowe Siły Zbrojne, Narodowa Organizacja Wojskowa i Narodowe Zjednoczenie Wojskowe.

W lesie trwały formacje zbrojne niepodporządkowane żadnym organom centralnym lub mające z nimi luźny kontakt, jak Ruch Oporu Armii Krajowej, Armia Krajowa Obywatelska, Wielkopolska Samodzielna Grupa Operacyjna „Warta”, Konspiracyjne Wojsko Polskie, podhalańskie zgrupowanie „Ognia”, czyli mjr. Józefa

**Zygmunt Szendzielarz,
ps. „Łupaszko”**



**„WYPOWIEDZIELI-
ŚMY WALKĘ NA
ŚMIERĆ LUB ŻYCIE
TYM, KTÓRZY ZA
PIENIĄDZE, ORDERY
LUB STANOWISKA
Z RĄK SOWIEC-
KICH MORDU-
JĄ NAJLEP-
SZYCH POLA-
KÓW”, ZYGMUNT
SZENDZIELARZ
„ŁUPASZKO”**



**Ppor. Łukasz
Ciepliński
ps. „Pług”**

(na zdjęciu z lewej
na czele oddziału,
1939 rok)



Kurasia, czy wywodzące się z Wileńszczyzny i walczące na Podlasiu i Pomorzu 5 oraz 6 Wileńska Brygada AK. Walczyły też niemające zwierzchnictwa organizacyjnego oddziały lokalne stworzone oddolnie przez ludzi zagrożonych aresztowaniem, dla których kontynuacja walki stawała się jedyną, często złudną szansą na przeżycie.

W skrajnie trudnych warunkach przyszło toczyć boje oddziałom polskim pozostałym na utraconych wschodnich kresach Rzeczypospolitej. Symbolem ich oddania sprawie polskiej i najwyższej ofiary stali się partyzanci ppor. Anatola Radziwonika, ps. „Olech”, poległ na Nowogródzczyźnie 12 maja 1949 roku w walce z jednostkami sowieckimi.

O sile antykomunistycznego podziemia świadczy długa lista stoczonych walk i przeprowadzonych akcji zbrojnych. Otwierają je działania, w wyniku których poszczególne oddziały były zdolne do samodzielnego opanowania niektórych miast. Na pewien czas Żołnierze Wyklęci opanowali m.in.: Grajewo, Hrubieszów, Janów Lubelski, Kozienice, Łosice, Maków Mazowiecki, Ostrołękę, Parczew, Radom, Radomsko i Żywiec. Do historii przeszły miejsca bitew stoczonych przez partyzantów, takie jak Kuryłówka na Rzeszowszczyźnie, gdzie 7 maja 1945 roku połączone oddziały NOW-u pod dowództwem mjr. Franciszka Przysiężniaka, ps. „Ojciec Jan”, przez wiele godzin walczyły z jednostkami NKWD. Straty po stronie wroga wynosiły prawie 60 zabitych.

W innej bitwie, 24 maja 1945 roku w Lesie Stockim w powiecie Puławy, zwycięską walkę z połączonymi siłami NKWD, KBW, UB i MO stoczyli żołnierze ze zgrupowania mjr. Mariana Bernaciaka, ps. „Orlik”. To samo ugrupowanie 27 lipca 1945 roku przeprowadziło na linii kolejowej Radom – Dęblin głośną akcję na pociąg przewożący więźniów politycznych do zakładu karnego we Wronkach; uwolniono wówczas ponad 130 więźniów. 8 lipca 1945 roku natomiast żołnierze słynnej 1 Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki musieli pod Ogółami na Białostocczyźnie uznać wyższość oddziałów ze zgrupowania Armii Krajowej Obywatelskiej. W nocy z 20 na 21 maja 1945 roku przeprowadzono też brawurową akcję rozbicia obozu NKWD w Rembertowie. Wykonał ją oddział samoobrony pod dowództwem ppor. Edwarda Wasilewskiego „Wichury” z Obwodu Mińsk Mazowiecki AK – DSZ. Nie mniejszym echem nie tylko w kraju odbiło się rozbicie 18 sierpnia 1946 roku więzienia św. Michała w Krakowie, dokonane przez połączone siły oddziałów „Ognia” i „Siekiera”.

Częstymi celami ataków podziemia były obiekty uważane za symbole komunistycznego terroru – siedziby urzędów bezpieczeństwa rozbite m.in. w Kępnie, Limanowej, Makowie Mazowieckim, Mławie, Nowym Targu,

Pabianicach i Puławach. Równie często Żołnierze Wyklęci podejmowali próby opanowania więzień. Dwie największe akcje przeprowadzono latem 1945 roku.

W nocy z 4 na 5 sierpnia około 200 partyzantów AK – WiN pod dowództwem kpt. Antoniego Hedy, ps. „Szary”, rozbiło więzienie w Kielcach, uwalniając z niego około 350 osadzonych. Wkrótce potem, 9 września, oddziały pod dowództwem Stefana Bembińskiego, ps. „Harnaś”, opanowały więzienie w Radomiu. Bramy i mury zakładów karnych zniszczono także m.in. w Białej Podlaskiej, Biłgoraju, Janowie Lubelskim, Puławach, Szamotułach, Tarnowie i Zamościu.

Jak szacują dziś historycy, w latach 1944–1956 przez wszystkie struktury antykomunistycznego podziemia przeszło od 120 do 180 tys. ludzi, najwięcej spośród wszystkich krajów zniewolonej przez komunizm Europy.

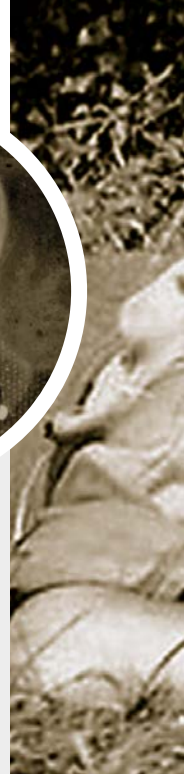
APARAT TERRORU

Walkę z Żołnierzami Wyklętymi prowadził stworzony przez instruktorów sowieckich służb specjalnych „polski” aparat bezpieczeństwa: Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego wraz z Korpusem Bezpieczeństwa Wewnętrznego, jednostki Wojska Polskiego i Milicji Obywatelskiej. Dowódcze stanowiska w „bezpiece” zajmowali absolwenci specjalnego kursu NKWD w Kujbyszewie, przedwojenni komuniści, członkowie komunistycznej partyzantki, zdemobilizowani oficerowie i żołnierze ludowego Wojska Polskiego, kierowani przez kilkusetosobowy zespół sowieckich doradców „sowiecików”. „Polskie” struktury wspomagały w walce sowieckie oddziały specjalne prowadzące w podbitym kraju działania pacyfikacyjne i likwidacyjne.

W latach 1944–1946, aby uzyskać nowe narzędzia w walce z podziemiem, władze komunistyczne wydały wiele represyjnych aktów prawnych, przewidujących m.in. możliwość orzeczenia kary śmierci w kilkudziesięciu przypadkach. Na podstawie zapisów dekretu „O wymiarze kary dla faszystowsko-hitlerowskich zbrodniarzy winnych zabójstw i znęcania się nad ludnością cywilną, jeńcami oraz dla zdrajców narodu polskiego” z 31 sierpnia 1944 roku, „Kodeksu karnego Wojska Polskiego” z 23 września 1944 roku, dekretu „O ochronie państwa” z 30 października 1944 roku, dekretu „O przestępstwach szczególnie niebezpiecznych w okresie odbudowy państwa polskiego” z 16 listopada 1945 roku i jego modyfikacji z 13 czerwca 1946 roku, w pierwszej dekadzie po zakończeniu wojny orzeczono ponad 8 tys., w większości wykonanych, wyroków śmierci. Wśród tych,



**Ostatni partyzant
sierż. Józef
Franczak,
ps. „Lalek”**





**Danuta Siedzikówna,
ps. „Inka”**

których uśmiercono na podstawie specjalnego prawa liczba straconych partyzantów podziemia antykomunistycznego była kilkakrotnie większa od liczby skazanych na najwyższy wymiar kary zbrodniarzy hitlerowskich.

Niezlomne, nawet w obliczu śmierci, postawy Żołnierzy Wyklętych wiernie oddają słowa jednego z nich, mjr. Łukasza Cieplińskiego, utrwalone na grypsach pisanych krótko przed egzekucją w więzieniu mokotowskim w Warszawie wykonaną 1 marca 1951 roku: „Gdy mnie będą zabierać, to ostatnie moje słowa do kolegów będą: cieszyć się, że będę zamordowany jako katolik za wiarę świętą, jako Polak za Ojczyznę i jako człowiek za prawdę i sprawiedliwość”, pisał prezes IV Zarządu Głównego WiN-u. „Wierzę bardziej niż kiedykolwiek, że Chrystus zwycięży, Polska niepodległość odzyska, a pohańbiona godność ludzka zostanie przywrócona”.

ŻOŁNIERZE BEZ GROBU

Liczbę zabitych w walce, zamordowanych i straconych na podstawie wyroków sądów specjalnych Żołnierzy Wyklętych ocenia się dziś na kilkanaście tysięcy. Mimo upływu 25 lat od upadku komunizmu w Polsce nadal jest nieznaną ogromną większość miejsc, gdzie pogrzebano ich ciała. Władze państwowe minionego systemu i podporządkowany im aparat terroru uczyniły wszystko, aby nigdy nie odnaleziono szczątków przeciwników komunizmu. Przez 45 lat ostatecznie zlikwidowano na cmentarzach prawie wszystkie kwatery ze szczątkami więźniów okresu stalinowskiego, przeznaczając je pod ponowne pochówki lub też umieszczając na nich cmentarne śmietniki. Do końca istnienia systemu komunistycznego w Polsce aparat pań-

stwowy ściśle strzegł tajemnic związanych z powojennym terrorem, pozbawiając rodziny zamordowanych możliwości uzyskania wiedzy o ofiarach stalinizmu i miejscach ukrycia ich zwłok.

Z setek miejsc, w których są szczątki Żołnierzy Wyklętych, najbardziej znana stała się kwatera „Ł”, zwana Łączką, na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach, gdzie w latach 1948–1955 pogrzebano blisko 300 więźniów straconych na podstawie wyroków sądowych, wśród nich oficerów i żołnierzy Armii Krajowej, Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość”, Narodowych Sił Zbrojnych, Narodowego Zjednoczenia Wojskowego. O tym miejscu 27 września 2015 roku prezydent Andrzej Duda napisał: „powązkowska Łączka – to jeden z najbardziej wymownych symboli III Rzeczypospolitej. Tutaj przez blisko 70 lat spoczywały szczątki żołnierzy naszego ostatniego powstania: powstania antykomunistycznego”.

POWRÓT

Wbrew intencji sprawców historia Żołnierzy Wyklętych nie jest rozdziałem zamkniętym. W całej Polsce są odnajdywane i identyfikowane szczątki tych, po których ziemia miała być zrównana: mjr. Hieronima Dekutowskiego „Zapory”, Danuty Siedzikówny „Inki”, mjr. Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki”. Trwa powrót Żołnierzy Wyklętych, których postawę, losy i ich znaczenie dla potomnych w niezwykle trafny sposób ukazano w filmie „Popiełuszko. Wolność jest w nas” w reżyserii Rafała Wieczyńskiego. W pierwszych scenach filmu na oczach młodego Jerzego rozgrywa się dramat nieznanego bliżej oddziału antykomunistycznego na Podlasiu. Partyzanci uciekają przed obławą UB, KBW i wojska dowodzoną przez oficerów sowieckich. Gdy milkną ostatnie strzały, przyszedł błogosławiony pyta ojca:

- Czy tamci, co uciekali to bandyci?
- Nie.
- Żołnierze?
- Ani bandyci, ani żołnierze, raczej rycerze.
- Oni wygrają?
- Nie.
- Przegrają?
- Też nie.



KRZYSZTOF SZWAGRZYK

Doktor hab., historyk, badacz komunistycznego aparatu terroru, pełnomocnik prezesa IPN ds. poszukiwań nieznanych miejsc pochówku ofiar terroru komunistycznego 1944–1956, kierujący ekshumacjami m.in. na kwaterze „Ł” Cmentarza Powązkowskiego Wojskowego w Warszawie.



JAKUB NAWROCKI

Wyklęci bracia

Oddział „Jastrzębia” i „Żelaznego” przeprowadzał tak śmiałe akcje przeciwko władzy komunistycznej, że do jego likwidacji powołano specjalną grupę.

WWW.REDISBAD.PL

Stój! Kto idzie? Nie zwracając uwagi na pytanie, »Jastrząb« idzie dalej, mówiąc do wartownika: Stań na baczność durniu, nie widzisz, że my z Chełma! Przy słowach tych mija go spokojnie i idzie w kierunku drzwi wartowni. [...] Jeden z ubeków rozpoznał »Jastrzębia«. Blednie okropnie, łyżka wypada mu z ręki na stół. Ubeki zrozumieli przestrasz swojego kolegi, lecz w tym momencie »Jastrząb« rozkazuje: Wszyscy ręce do góry! Ubeki wahają się podnieść ręce, ale widok kilkunastu skierowanych luf zmusza ich do tego, jednak jeden stojący blisko tylnych drzwi szybko wyskakuje z myślą, ażeby powiadomić resztę. Nie ma rady, plan opanowania UB po cichu spala na panewce, wobec tego »Jastrząb« i wraz z nim znajdujący się wewnątrz chłopcy otwierają w tę grupę ogień, a wyskoczywszy z powrotem na korytarz, rzucają do tego pokoju granaty”. Tak opisał w swym pamiętniku atak na siedzibę Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego we Włodawie brat „Jastrzębia”, „Żelazny”. Rodzeństwo Leon i Edward Taraszkiewiczowie przeprowadzili wiele tego typu operacji, za co stali się jednymi z najbardziej nienawidzonych przez komunistów partyzantów podziemia antykomunistycznego w Polsce.

WIEŻY KRWI

Leon i Edward urodzili się w Niemczech, w rodzinie emigrantów zarobkowych. W 1925 roku Taraszkiewiczowie wrócili do ojczyzny i osiedli we Włodawie. Po wybuchu II wojny światowej bracia zbierali i gromadzili porzuconą przez cofające się oddziały Wojska Polskiego broń. Zdarzało się, że w rodzinnych zabudowaniach schronienie znajdowali żołnierze z rozbitych oddziałów lub ci, którzy szukali drogi do formowanych oddziałów polskich we Francji.

Działalność Taraszkiewiczów skończyła się, gdy niemiecka policja znalazła ukrywaną przez nich broń. Rodzeństwo aresztowano. Najprawdopodobniej przypadek sprawił, że nie zostało zesłane do obozu koncentracyjnego. Żandarmi dopatrzili się „niemieckiego” pochodzenia Leona, Edwarda oraz ich brata Władysława (ten ostatni, siłą wcielony do Wehrmachtu, zginął najprawdopodobniej w rejonie Kowla w 1944 roku). Zesłano ich na roboty przymusowe. Leonowi udało się uciec i w 1942 roku powrócił w rodzinne strony. Szukając kontaktu z AK, natknął się na radziecki oddział partyzancki

kpt. Anatola Krotowa, do którego siłą go wcielono. Z czasem objął dowodzenie nad plutonem, został awansowany do stopnia porucznika, a nawet odznaczony Orderem Czerwonej Gwiazdy. Po przejściu frontu, chciał wrócić do normalnego życia. Dostał od komunistycznej władzy propozycję objęcia stanowiska komendanta UB we Włodawie, a nawet kierownika więzienia na Zamku Lubelskim. Zdecydowanie jednak odmówił współpracy. Zaczęto go szyszanować, w końcu został aresztowany. Znowu udało mu się jednak zbiec. Nawiązał kontakt z aktywnie działającym w tym rejonie podziemiem zbrojnym związanym z Armią Krajową, Delegaturą Sił Zbrojnych na Kraj i organizacją Wolność i Niezawisłość. Przyjął pseudonim „Jastrząb” i wkrótce został dowódcą jednego z oddziałów WiN-u, operującego w rejonie zachodniego Polesia i północnej Lubelszczyzny. W czerwcu 1945 roku powrócił z robót przymusowych jego brat Edward. Od razu włączył się w działalność konspiracyjną jako „Żelazny”.

NIEKONWENCJONALNY STYL

Od początku oddział WiN-u Leona Taraszkiewicza przejawiał dużą aktywność bojową. Jego dowódca stosował często niestandardowe metody walki z władzą komunistyczną. Rekwirował zatrzymane na drodze samochody ciężarowe, którymi urządził partyzancki rajd: przemierzając kilkadziesiąt kilometrów, w ciągu jednego dnia rozbrajał po kilka napotkanych po drodze posterunków milicji. „Jastrząb” dowodził akcjami rozbicia aresztów UB, m.in. w Parczewie w lutym i we Włodawie w październiku 1946 roku, uwalniając ponad 100 osób – w większości byłych akowców lub działaczy konspiracji. Najśłynniejszą akcją oddziału „Jastrzębia” było ujęcie najbliższej rodziny... Bieruta 17 lipca 1946 roku na drodze Lublin – Chełm.

Popularną metodą walki Taraszkiewicza z reżimem komunistycznym były akcje na pociągi. Jadący konno jastrzębiacy zatrzymywali skład lub wpadali do stojących na stacji wagonów.

„Jastrząb” starał się otoczyć opieką miejscową ludność. Cieszył się szacunkiem, wiele osób wołało dochodzić sprawiedliwości przed nim, niż zgłaszać przestępstwa oficjalnym władzom. Jak wspomina po latach jeden z członków konspiracji Feliks Majewski ps. „Róg”, poziom bezpieczeństwa, a zarazem strach przed karą „Jastrzębia” lub „Żelaznego” był taki, że „dziecko mogło bawić się swobodnie na drodze workiem pieniędzy”.

DO KRWI OSTATNIEJ

Szczęśliwa passa oddziału skończyła się wraz z nadejściem 1947 roku. 3 stycznia w ataku na koszary Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego w Siemieniu, w do dziś niewyjaśnionych okolicznościach, zginął por. Leon Taraszkiewicz.

Dowództwo przejął jego brat Edward. Wkrótce potem nastąpiła rządowa amnestia, która poważnie nadważyła konspirację. „Żelazny” był zdeklarowanym przeciwnikiem ujawniania i wraz z grupą najwierniejszych żołnierzy prowadził dalej walkę z reżimem. Likwidował agentów UB, funkcjonariuszy bezpieki, nadgorliwych członków Polskiej Partii Robotniczej i milicjantów.

Upór oraz determinacja „Żelaznego” sprawiły, że w resorcie bezpieczeństwa nasilono działania skierowane przeciwko jego grupie. Liczne obławy, gry operacyjne bezpieki, pozyskiwanie coraz liczniejszego grona szpicli i donosicieli nie przynosiły skutku. Taraszkiewicz pozostawał nieuchwytny.

Wiosną 1951 roku oddział „Żelaznego” przeprowadził zarekwirowanym samochodem kolejny rajd po całym powiecie włodawskim, likwidując przewodniczącego wojewódzkiej rady narodowej i czterech agentów UB oraz aktywistów partyjnych. Po tych wydarzeniach w Warszawie wydzielono grupę specjalną „W” (Włodawa), której działania miał osobiście koordynować zastępca dyrektora Departamentu III Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego – płk Stanisław Wolański. Do jednostki skierowano wyróżniających się w likwidacji podziemia zbrojnego oficerów śledczych i operacyjnych. Na efekty nie trzeba było długo czekać. Siły „Żelaznego” topniały, a pętla bezpieki coraz bardziej się zaciskała.

W wyniku wzmożonej pracy agenturalnej funkcjonariuszy UB i akcji KBW grupie specjalnej udało się namierzyć miejsce postoju „Żelaznego” i trzech jego ostatnich żołnierzy we wsi Zberez nad Bugiem. 6 października 1951 roku jednostka „W” przystąpiła do akcji. Gdy partyzanci zorientowali się w sytuacji, podjęli próbę przebicia się przez kordony obławy. Podając się za funkcjonariuszy UB, wsiedli wraz z szoferem do samochodu GAZ-67. Mieli nadzieję, że wyjadą z okrążenia, jednak kierowca, st. strz. Ciemniewski, zorientował się, kogo wiezie. Zamiast opuścić teren obławy, zawrócił. Gdy zauważył sztab grupy operacyjnej, wyskoczył z jadącego gazika, krzycząc: „Koledzy! Bandyci! Ognia!”. W nierównej walce poległ „Żelazny” i jeden partyzant. Dwóch dostało się do niewoli. Po stronie bezpieki było paru zabitych.

W ostatnim liście do rodziny „Żelazny” napisał: „Kto zostanie z tych ludzi o kryształowych sercach? Jakiego trzeba hartu ducha i sił, aby tacy jak my mogli w tak okropnych warunkach pracować, a praca, którą wykonaliśmy, to praca bezcenna [...] czy to jest praca dla swoich własnych korzyści? Na pewno nie! Bo gdybym dbał wyłącznie o korzyść, to na pewno dzisiaj nie byłbym na drodze życia i śmierci”. Do dziś nie wiadomo, gdzie spoczywają zwłoki Edwarda Taraszkiewicza. ■

95
LAT

ANNA DĄBROWSKA

Kobieca strona armii

Po włożeniu munduru nie powinno być kobiet i mężczyzn, lecz tylko żołnierze.

Temat pań w polskiej armii budził na łamach „Polski Zbrojnej” od momentu jej powstania wiele emocji, sporów i sprzecznych opinii. Dyskutowano zarówno wtedy, kiedy kobiety służyły w wojsku tylko podczas wojny, jak i wówczas, gdy pojawiły się w regularnych szeregach wojska zawodowego.

POTĘGA NARODU

„Kobieta jako żołnierz spotyka się często z zastrzeżeniem, niechęcią oraz żartami”, pisał płk Marcin Piotrowski w „Polsce Zbrojnej” z 1937 roku. Jak dodawał, co prawda panie z bronią w rękę służyły w szeregach legionów, znosząc bez narzekania trudy kampanii, jednak taki udział kobiet w wojnie wywoływał wśród Polaków, zarówno wojskowych, jak i cywilów, wiele sprzeciwu.

Jak wtórował oficerowi mjr Józef Mroczynski, zadaniem kobiet jest pozostanie podczas wojny w domu. Ponadto stwierdzał, że według najnowszych badań wojskowych, ich udział w walkach jest pozbawiony praktycznego znaczenia. „Użycie kobiet w służbie z bronią w rękę nie leży obecnie w granicach pierwszych potrzeb państwa”.

Zupełnie innego zdania był Dobrosław Jankowski. „Odrzucenie współdziałania w obronie Ojczyzny ideowo i fachowo przygotowanych kobiet byłoby umniejszeniem moralnej potęgi narodu, która stanowi największą siłę Polski”, stwierdzał w wojskowej gazecie z 1925 roku. I dodawał, że dzięki kształceniu kobiet w przysposobieniu wojskowym do obrony kraju nasza ojczyzna będzie bezpieczniejsza w chwili nieprzyjacielskiego ataku.

ŻEŃSKIE HUFCE

W dzienniku podkreślano też, że udział kobiet w pomocniczych rodzajach wojska bywa czasem konieczny. Jak wyliczano, panie okazują się niezastąpione w służbie sanitarnej, szpitalach, punktach opatrunkowych, w łączności, intendenturze, kantynach, biurach i kancelariach.

„W pracach tych kobieta będzie miała możliwość zużycowania wrodzonych cech swego umysłu i charakteru, jak sumiennność, obowiązkowość i dokładność. Nie stoją one natomiast w sprzeczności ze specjalnymi cechami fizycznymi i psychicznymi pań i nie wymagają szczególnego wysiłku fizycznego”.

Jednocześnie w „Polsce Zbrojnej” zaznaczano, że zarówno sanitariuszka, telefonistka, jak pisarka kancelaryjna są takimi samymi żołnierzami, jak kawalerzysta, piechoci-niec czy artylerzysta. „Żołnierzem w nowoczesnej wojnie jest każdy z nich, także kobieta pełniąca funkcje pomocnicze w armii”.

W gazecie donoszono też o powstających kolejnych kołach pań, w których powoływano żeńskie hufce. Poświęcały się one pracy nad przysposobieniem rezerw kobiecych do obrony kraju. Władze tych kół występowały też z wnioskiem o upowszechnienie kobiecego przysposobienia wojskowego. „Należy przenieść je do szkół i wyższych uczelni, przynajmniej w zakresie kursów sanitarnych i ratownictwa przeciwgazowego”.

Członkinie żeńskich hufców przechodziły ćwiczenia z obrony przeciwgazowej, służby sanitarnej i szkolenie strzeleckie. „Paniom nie szkoda czasu na takie zajęcia dla obrony państwa, mimo że poza nimi mają zwykle obowiązki związane z prowadzeniem domu, wychowaniem dzieci czy pracą zawodową”, pisano.

SPOKOJNE NIEBO

Po II wojnie w armii nie było wielu pań, dlatego z okazji ich marcowego święta dziennikarze usilnie szukali kobiet w szeregach wojska. „Noszą mundury stalowego koloru i pełnią służbę w Wojskach Obrony Powietrznej Kraju, a nazywają je operatorkami i planszecistkami”, pisał w 1986 roku dziennikarz „Żołnierza Wolności”. Jak dodawał, panie mają znaczny udział w skuteczności bojowej tych wojsk.

„Wymaga się od nich wiele, muszą mieć średnie wykształcenie, przejść zakończone egzaminem przeszkolenie, bardzo dobry wzrok, słuch, muszą być opanowane, spokojne, a jednocześnie umieć błyskawicznie reagować na każdą informację, bo w tym rodzaju wojsk każde spóź-

nienie i pomyłka może drogo kosztować”. Jak pisano na łamach dziennika, „kobiety lepiej wypełniają obowiązki niż mężczyźni, ponieważ są cierpliwsze, spokojniejsze, bardziej dokładne od panów”.

O paniach walczących w szeregach wojska podczas wojny przypomniano sobie w 1978 roku, kiedy spotkały się kobiety – byli żołnierze łączności 1 i 2 Armii. „Te dziewczyny miały podczas wojny po kilkanaście lat”, relacjonował ppor. rez. Roman Przecieszewski. Jak zaznaczył, panie wykonywały zadania odpowiedzialne, od których niejednokrotnie zależało powodzenie bojowej akcji. „Utrzymując łączność często czołgały się pod świszczącymi kulami wroga, by usunąć awarie linii, musiały na plecach nosić ciężki sprzęt i rozwijać ze szpuli setki metrów telefonicznego kabla”.

KALESONY I RAJSTOPY

Sytuacja pań w armii zmieniła się radykalnie po 1999 roku. „Polskie kobiety chcą służyć i od przyszłego roku resort obrony zamierza uczynić zadość ich oczekiwaniom”, donoszono w tygodniku „Polska Zbrojna”. Jak podawano, MON obiecuje, że bramy uczelni wojskowych otworzą się przed dziewczętami od 1 października tego roku. „Będzie im trudno nie tylko dlatego, że zawód żołnierza wymaga sprawności fizycznej, dobrego zdrowia i odporności na stresy. Dodatkowym utrudnieniem jest hermetyczność środowiska wojskowego, dla którego kobiety w armii to wciąż temat trudny, szczególnie dla starszych wiekiem oficerów”, uważali dziennikarze.

Faktycznie początki nie były łatwe dla pań. „Kobiety musiały udowodnić, że nadają się do służby, walczyć o damskie toalety i prysznice oraz o rajstopy zamiast kalesonów w zestawach mundurowych”.

W tygodniku informowano też o wizycie mjr Sarah L. Garcia, szefowej biura doradczego ds. kobiet w siłach zbrojnych NATO. „Najważniejsze jest, aby kobiety miały świadomość otwartej kariery zawodowej w wojsku. Potrzebna jest dobra kampania promocyjna i odpowiednie materiały rekrutacyjne”, mówiła pani major w wywiadzie dla gazety.

ĆWIERĆ WIEKU

W kolejnych latach w „Polsce Zbrojnej” pisano o sukcesach pań, m.in. ppor. Katarzyny Tomiak z 22 Bazy Lotnictwa Taktycznego w Malborku, która jako pierwsza Polka została pilotem odrzutowca, wykonując samodzielny lot myśliwcem MiG-29.

W tym samym czasie podczas kursów Lider, organizowanych dla podoficerów i szeregowych, certyfikat uzyskała kpr. Sylwia Sikora. „To pierwsza kobieta w historii, która ukończyła najbardziej ekstremalny kurs

podoficerski w Polsce i udowodniła, że jest prawdziwym przywódcą”.

W 2013 roku panie świętowały 25 lat, od kiedy mogły wstępować do służby zawodowej. W 1988 roku weszły bowiem w życie przepisy, dzięki którym pierwsze kobiety dostały etaty w wojskowej służbie zdrowia.

„Przez te ćwierć wieku panie wiele osiągnęły w wojsku. Dziś jest ich 3125, służą we wszystkich rodzajach sił zbrojnych, najwięcej w korpusach medycznym, logistyce, łączności, ale są też wojskowymi prawnikami, inżynierami, strzelcami, kierowcami i pilotami. Na stanowiskach dowódczych jest ich 427”.

„Kobieta może być doskonałym żołnierzem. Czasem jest nawet bardziej zdeterminowana, ambitna i uparta niż jej kole-dzy. Mimo to nadal brak pełnej akceptacji dla naszej służby w armii, a przecież po włożeniu munduru nie powinno być kobiet i mężczyzn, lecz tylko żołnierze”, mówiła na łamach gazety kmdr Bożena Szubińska, wówczas pełnomocnik ministra obrony narodowej ds. wojskowej służby kobiet i przewodnicząca Rady ds. Kobiet w Siłach Zbrojnych RP. ■



POLSKA
ZBROJNA

PRENUMERATA:
9 WYDAŃ
(OD NR 4
DO 12)

ZAMÓW PRENUMERATĘ
NA 2016 ROK

e-mailem: prenumerata@zbrojni.pl
online: www.polska-zbrojna.pl
telefonicznie: +48 261 840 400

Warunkiem rozpoczęcia wysyłki jest wpłata 58,5 zł do 18 marca 2016 roku
na konto: 23 1130 1017 0020 1217 3820 0002

WŁODZIMIERZ
KALETA

Bohater środką pola



Służba kojarzyła się mu z niepotrzebną przerwą w życiorysie. St. szer. Srez. Andrzej B. wojska nie kochał. Przyznaje też po latach, że nie należał do grona żołnierzy zdyscyplinowanych. W pierwszym roku dorobił się nawet dwóch kar aresztu. W drugim to się zmieniło, bo był już szycią, czyli „rezerwistą”. Przełomem w służbie dla Andrzeja stał się wyjazd kompanii na żniwa. Żołnierz nie zamierzał tam bić rekordów, ale i ostatni w robocie też być nie chciał. To był dla żołnierzy dobry okres, choćby dlatego, że miejscowi nie oszczędzali na jedzeniu i piciu. Niczego im nie brakowało.

Któregoś dnia pracujących w polu żołnierzy odwiedził redaktor gazety okręgowej. Jak się potem okazało, ziomal st. szer. Andrzeja B. Pogadali, spędzili po kumpelsku wieczór. Następnego dnia redaktor wyjechał. Żołnierze zaś po prawie miesiącu pracy wrócili do jednostki. Po kilku tygodniach monotonię codziennej służby w kompanii przerwał łącznik, który przybiegł na plac ćwiczeń z rozkazem dowódcy, by starszy szeregowy natychmiast zameldował się u zastępcy ds. politycznych. Żołnierz całą drogę zachodził w głowę, po co został wezwany. Ostatnio niczego nie nabroił. Z dziewczyną ze wsi, z którą się spotykał podczas żniw, rozstał się w zgodzie. Na temat jego pracy zaprzyjaźniony brygadzysta złego słowa też nie powinien powiedzieć.

To co usłyszał, wręcz go zamurowało. Ma się natychmiast umyć, ogolić, przebrać na wyjściowo, bo w trybie alarmowym pojedzie do dowództwa okręgu. Dowódca wyróżni go za obywatelską postawę podczas żniw. Pamięta, że zdziwił się jeszcze bardziej niż sam dowódca, który doskonale wiedział, co z niego za gagatek. Nie pozwolono mu na żadne pytania. Ma się spieszyć, bo samochód czeka. Sprawa wyjaśniła się w dowództwie okręgu.

Okazało się, że dziennikarz napisał reportaż o dzielnych żołnierzach pracujących dla dobra kraju, którzy swoim zaangażowaniem i sumiennością dają cywilom przykład patriotycznej postawy. Bohaterem żniw był oczywiście st. szer. B. W dowództwie okręgu tekst o dzielnym, pracowitym żołnierzu tak się spodobał, że postanowiono Andrzeja B. nagrodzić Odznaczeniem im. Janka Krasickiego, którym wyróżniano wybitnych aktywistów młodzieżowych, także w mundurach. Żołnierza szybko odnaleziono i kazano „dostarczyć” do okręgu. W pośpiechu nikt nie sprawdził, że wyróżnienie otrzyma ktoś będący na bakier z dyscypliną.

Po powrocie do jednostki sukcesem Andrzeja B. kadra się jednak nie chwaliła. Koledzy natomiast przylepili mu łatkę bohatera środką pola. Dowódca nie pozwolił mu też wykorzystać urlopu nagrodowego, który dostał wraz z odznaką. Medal ma do dziś. Nie sprzedał go, choć niedawno był do tego namawiany, ale też nikomu się nim nie chwali.



PPŁK W ST. SPOCZ. WŁODZIMIERZ KALETA SŁUŻYŁ
W 7 ŁUŻYCKIEJ DYWIZJI DESANTOWEJ.



TADEUSZ WRÓBEL

PŁYWAJĄCA STOCZNIA

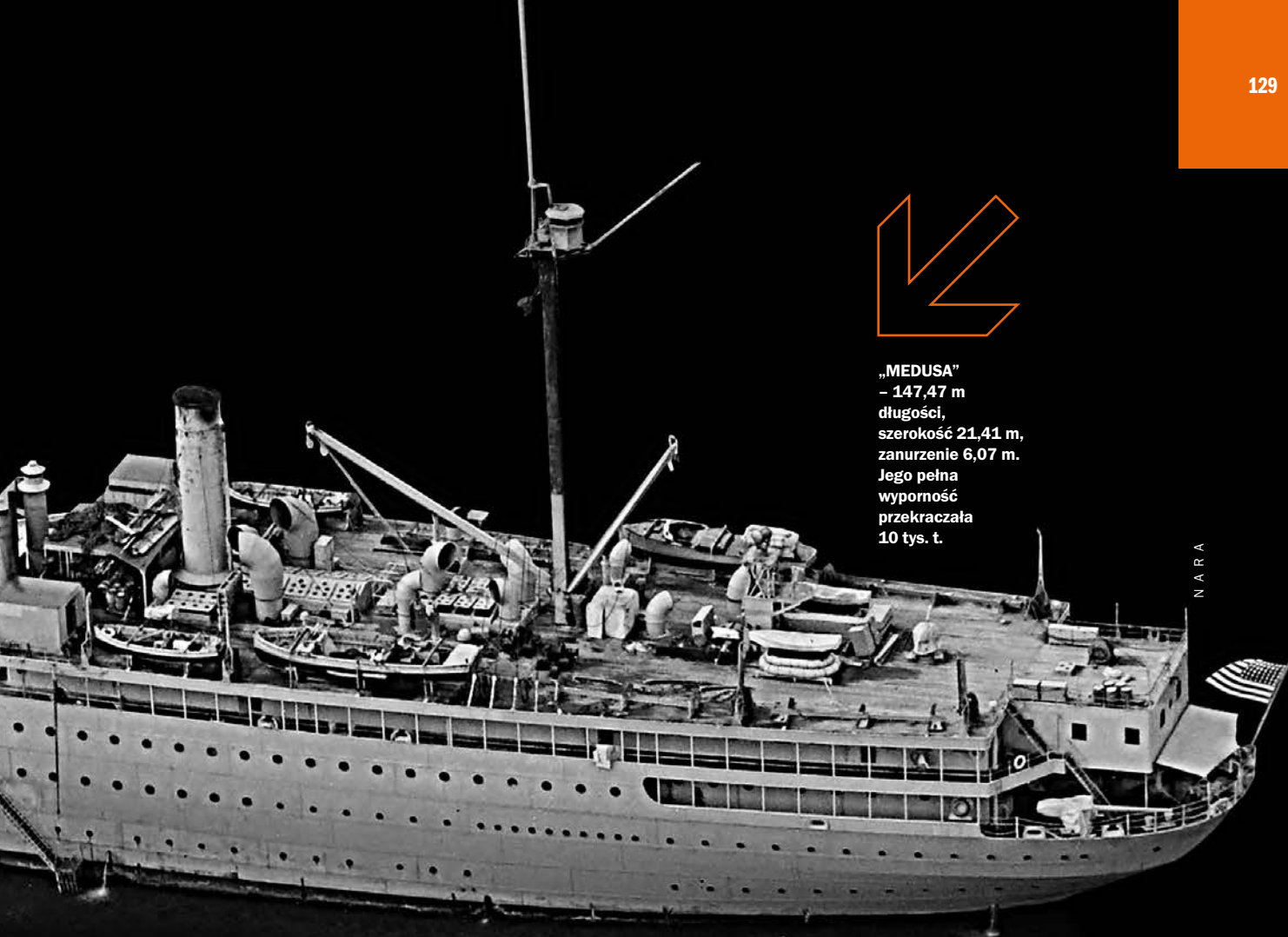
Amerykańska marynarka wojenna jako pierwsza dysponowała specjalnie zaprojektowanym okrętem remontowym USS „Medusa”.

Jednym z wyzwań dla marynarek wojennych działających daleko od macierzystych baz, w rejonach świata bez infrastruktury stoczniowej, są naprawy uszkodzonych podczas walki lub innych zdarzeń jednostek pływających. W przeszłości sposobem na wypełnienie tego typu zadań były okręty remontowe (naprawcze). W amerykańskiej marynarce pierwszą taką jednostką był statek handlowy USS „Vulcan”, kupiony w maju 1898 roku przez US Navy i przystosowany do nowych zadań. Użyto go podczas wojny z Hiszpanią. Kolejne amerykańskie okręty remontowe powstały przez konwersję zbędnych jednostek floty wojennej. Jako pierwszy Amerykanie przebudowali stary pomocniczy krążownik USS „Panther”. Wszedł do służby 28 listopada 1907 roku. Jednak po niecałych dziesięciu latach zmieniono jego przeznaczenie. W połowie 1917 roku USS „Panther” stał się okrętem-bazą dla niszczycieli działających na wodach Europy.

Przed I wojną światową do opalania kotłów okrętów wojennych US Navy wprowadzono mazut zamiast węgla,

zbędne się więc stały dostarczające go jednostki, zwane węglowcami. Ich przebudowa była uzasadniona ekonomicznie. Poddano jej dwa węglowce, które weszły do służby w latach 1909–1910. Po wycofaniu ze służby 12 października 1912 roku USS „Vestal” trafił do stoczni w Bostonie. 3 września 1913 roku powrócił do linii jako okręt remontowy nr 4. Drugi z węglowców, „Ontario”, zakończył służbę 7 kwietnia 1913 roku, ale 23 grudnia 1914 roku został znowu włączony do floty wojennej jako okręt remontowy nr 2 „Prometheus”. Amerykańska marynarka wojenna nie była w pełni zadowolona z tych jednostek. Dlatego w ramach przyjętego w 1916 roku wielkiego programu rozbudowy US Navy znalazł się zaprojektowany od podstaw okręt remontowy.

Początkowo miał być on tenderem, czyli okrętem-bazą, dla pancerników. Wstępne wymagania, podobnie jak dla innych jednostek pomocniczych, przewidywały, że powinien rozwijać maksymalną prędkość około 14 w. Ich zasięg zaś, przy prędkości 10 w. miał wynosić 8 tys. Mm.



„MEDUSA”
– 147,47 m
długości,
szerokość 21,41 m,
zanurzenie 6,07 m.
Jego pełna
wyporność
przekraczała
10 tys. t.

Jeśli chodzi o naprawy jednostek pływających, to oczekiwano podobnych możliwości, jakie miał USS „Vestal”. Według założeń „pływająca stocznia” miała być uzbrojona w cztery działa kalibru 127 mm i trzy przeciwlotnicze kalibru 76,2 mm. Później pojawił się pomysł, by było to osiem dział kalibru 127 mm, bez broni przeciwlotniczej.

NARODZINY MEDUZY

Pierwszy projekt okrętu remontowego przygotowany w roku budżetowym 1917 nie został wdrożony. Latem 1918 roku pojawiła się propozycja, by wykorzystać do jego zbudowania kadłub opracowany dla jednostki transportowej USS „Henderson”, który zaadaptowano już dla okrętu-bazy dla niszczycieli nr 3. Pod kątem okrętu remontowego dokonano przeróbek jego wnętrza, zmieniając położenie pokładów głównego i drugiego. Oprócz tego dodano pokład dziobówki i półpokład.

Ostatecznie okręt remontowy, któremu postanowiono nadać imię „Medusa”, miał mieć 147,47 m długości, szerokość 21,41 m i zanurzenie 6,07 m. Jego pełna wyporność przekraczała 10 tys. t. Na początku lutego 1919 roku zapadły ostateczne ustalenia co do uzbrojenia okrętu. Na USS „Medusa” postawiono zamontować cztery pojedyncze działa kalibru 127 mm i dwa przeciwlotnicze kalibru

76,2 mm. Maszynownia o mocy 7 tys. KM pozwalała jednostce osiągnąć maksymalną prędkość 16 w.

Budowa pierwszego okrętu remontowego ruszyła 2 stycznia 1920 roku w Puget Sound Navy Shipyard w Bremerton, w stanie Waszyngton. Wodowanie USS „Medusa” odbyło się 16 kwietnia 1923 roku. Marynarka przejęła okręt 18 września 1924 roku. Jego pierwszym dowódcą został kmdr Robert Tryon Menner. W tym czasie, 17 lipca 1920 roku, wprowadzono w US Navy nowy system oznaczeń jednostek pływających. W wypadku okrętów remontowych były to litery AR i numer porządkowy. I tak USS „Medusa” oznaczono jako AR-1. W wyposażenie okrętu i wyszkolenie załogi pozwalało dokonywać napraw m.in. kotłów, instalacji elektrycznych, poszycia kadłubów. Możliwe były prace spawalnicze, kowalskie i odlewnicze oraz stolarskie. Specjaliści z AR-1 mogli remontować urządzenia optyczne i mechaniczne.

USS „Medusa” został włączony do 2 Dywizjonu Transportowego Floty Pacyfiku, a jego macierzystą bazą stała się San Pedro w Kalifornii. Nowy okręt pokazał swe możliwości już w 1925 roku. Wtedy został odkomenderowany do Honolulu na Hawajach. Tam wszedł do zespołu Floty Pacyfiku, który, pokonując ocean, odwiedził Australię i Nową Zelandię. Jednostka powróciła do San Pedro 26 września 1925 roku.



Pierwszą misją bojową USS „Medusa” był transport w 1927 roku samolotów i personelu z 4 Dywizjonu Obserwacyjnego Lotnictwa piechoty morskiej do Nikaragui, gdzie wybuchła wojna domowa, a Waszyngton wsparł jedną ze stron.

PAMIĘTNY DZIEŃ

Stany Zjednoczone nie włączyły się do wojny, która wybuchła 1 września 1939 roku po niemieckim ataku na Polskę. Jednak administracja prezydenta Franklina Delano Roosevelta nie skrywała swych sympatii dla aliantów i walczących od 1937 roku przeciwko japońskiej agresji Chin. Ten właśnie ostatni czynnik spowodował, że stosunki między Waszyngtonem a Tokio były coraz bardziej napięte. Politycy i wojskowi po obu stronach Pacyfiku nie mieli złudzeń, że wybuch otwartej wojny między Stanami Zjednoczonymi a Japonią jest tylko kwestią czasu.

Władze amerykańskie postanowiły przenieść część jednostek Floty Pacyfiku z portów na Zachodnim Wybrzeżu do bazy Pearl Harbor na wyspie O’ahu. W połowie sierpnia 1941 roku skierowano tam również okręt remontowy USS „Medusa”. Tam zastał go wybuch wojny na Pacyfiku, który zapoczątkował 7 grudnia 1941 roku zaskakujący atak lotnictwa japońskiego na Pearl Harbor.

Ponieważ dowódca okrętu przebywał na brzegu, komendę na pokładzie objął oficer remontowy kmdr por. John F.P. Miller. Artylerzyści z USS „Medusa” otworzyli ogień do dostrzeżonego japońskiego miniaturowego okrętu podwodnego, który przeniknął do bazy. Zestrzeli też dwa bombowce nurkujące Aichi D3A1. Oprócz dział załoga użyła w walce dwóch karabinów maszynowych kalibru 7,62 mm, rozmieszczonych na pomoście sygnałowym. Gdy wrogie samoloty zniknęły znad bazy, rozpoczęła się akcja ratownicza. Załoga okrętu remontowego dostarczyła pompy na uszkodzony tender wodnosamolotów USS „Curtiss” oraz amunicję do przeciwlotniczych karabinów maszynowych osiadłego na dnie pancernika USS „Nevada” i karabinową dla żołnierzy armii stacjonujących w Schofield Barracks. Marynarze z „Medusy” uczestniczyli również w ratowaniu ludzi uwięzionych we wnętrzu przewróconego starego pancernika USS „Utah”, który w tym czasie był okrętem-celem. AR-1 jeszcze przez wiele miesięcy uczestniczył w likwidowaniu skutków niszczycielskiego japońskiego ataku na Pearl Harbor.

Dopiero na początku kwietnia 1943 roku USS „Medusa” wysłano w pobliże walk na Pacyfiku. Ponieważ zagro-

W RAMACH WIELKIEJ POWOJENNEJ REDUKCJI US NAVY WY- COFANO AR-1 ZE SŁUŻBY 18 LISTOPADA 1947 ROKU

żeniem było wrogie lotnictwo, okręt miał zmienione uzbrojenie. W miejsce dział kalibru 127 mm otrzymał dodatkowe cztery przeciwlotnicze kalibru 76,2 mm. 20 kwietnia 1943 roku okręt AR-1 wszedł do Savannah Harbor na wyspie Efate, w archipelagu Nowych Hebrydów. Tam zastąpił inną jednostkę remontową US Navy – USS „Rigel” (AR-11). USS „Medusa” pozostał w Efate przez 11 miesięcy. W tym czasie, od 24 lipca do 4 sierpnia 1943 roku, był wysłany w okolice innej wyspy archipelagu, Espiritu Santo.

W marcu 1944 roku AR-1 opuścił Efate i udał się w rejon Zatoki Milne u południowo-wschodnich wybrzeży Nowej Gwinei, gdzie jego załoga zajęła się naprawami jednostek 7 Floty US Navy. Po czym, w połowie maja, udał się w okolice wyspy Guadalcanal, gdzie działał na rzecz 3 Floty. Wielomiesięczna służba spowodowała, że USS „Medusa” sam potrzebował napraw, zwłaszcza uszkodzeń doznanych po wejściu na mieliznę. Te wykonano w stoczni w australijskim Sydney. Następnie okręt remontowy wysłano do Seeadler Harbor na wyspie Manus, w archipelagu Wysp Admiralicji.

KONIEC SŁUŻBY

10 listopada 1944 roku doszło do potężnej eksplozji okrętu amunicyjnego USS „Mount Hood”. Z wyjątkiem grupy marynarzy, która była w tym momencie na brzegu, zginęła reszta jego 267-osobowej załogi. W eksplozji życie straciło ponad 350 marynarzy US Navy. Ponieważ nie odnaleziono większości ciał, uznano ich za zaginionych. Setki innych odniosło rany. Szacuje się, że liczba ofiar eksplozji w Seeadler Harbor mogła sięgnąć około tysiąca. Uszkodzeń doznały liczne jednostki, które były zakotwiczone w porcie, w tym inny okręt ratowniczy, USS „Mindanao”. 22 małe jednostki zatoneły lub ze względu na skalę uszkodzeń nie nadawały się do naprawy. AR-1 wziął udział w akcji ratowniczej.

W połowie stycznia 1945 roku USS „Medusa” opuścił Manus i skierował się do portu Hollandia, w holenderskiej części Nowej Gwinei. Tam dołączył do konwoju, którego celem była zatoka San Pedro, na południowo-zachodnim krańcu zatoki Leyte. Potem, do początku lipca 1945 roku, załoga AR-1 naprawiała jednostki uszkodzone podczas walk w rejonie Luzonu i wysp Riukiu. Koniec wojny zastał okręt w Manus. Hulk USS „Medusa” sprzedano w 1950 roku prywatnej firmie, która w następnym roku go złomowała. ■

KRZYSZTOF
KUBIAK

Odbicie zakładnika



W nocy z 3 na 4 lipca 1974 roku izraelskie siły zbrojne na lotnisku w ugandyjskim Entebbe odbiły zakładników – pasażerów samolotu Air France Airbus A300 uprowadzonego 27 czerwca przez dwóch terrorystów z Ludowego Frontu Wyzwolenia Palestyny wspieranych przez parę Niemców z Frakcji Armii Czerwonej (w Entebbe do sprawców dołączyło jeszcze trzech terrorystów). Maszyna dotarła do Ugandy – której dyktator, Idi Amin, jawnie współpracował w porywaczami – przez Bengazi w Libii. W Entebbe terroryści zwolnili nieżydowskich zakładników (do zatrzymanych spontanicznie dołączyła załoga samolotu). W tej sytuacji Izraelczycy uderzyli, chociaż mieli do pokonania 4 tys. km. Na płytę lotniska opadły cztery herculesy, z których wysypali się komandosi. Ugandyjscy żołnierze i terroryści byli całkowicie zaskoczeni. Uratowano i ewakuowano 102 spośród 106 zakładników. Zginął jeden izraelski żołnierz, siedmiu terrorystów i około 50 Ugandyjczyków. Egipskie usiłowanie powtórzenia izraelskiego sukcesu doprowadziło do zgoła odmiennych rezultatów.

18 lutego 1978 roku w cypryjskiej Nikozji odbywał się kongres Organizacji Solidarności Narodów Afryki i Azji. Na jej czele stał wówczas egipski dziennikarz Youssef el-Sebai. Towarzyszył on prezydentowi Anwarowi as-Sadatowi w historycznej podróży do Jerozolimy w listopadzie 1977 roku i to przesądziło o jego losie. W hotelowym lobby został zastrzelony przez dwóch terrorystów z opozycyjnego w stosunku do Jasira Arafata Ludowego Frontu Wyzwolenia Palestyny. Następnie wzięli oni – w charakterze zakładników – 50 uczestniczących w kongresie delegatów. Większość jednak zwolniono i w rękach terrorystów pozostało 18 przedstawicieli państw i organizacji arabskich. Sprawcy zażądali od władz cypryjskich przygotowanego do lotu samolotu. Cypryjczycy ugięli się przed dyktatem. Na lotnisku w Larnace przygotowano DC-8. Maszyna wystartowała, ale gdy pilotowi odmówiono prawa do lądowania w Libii, wziął kurs na Syrię (z podobnym rezultatem), a następnie na Jemen. Ostatecznie, z przyczyn humanitarnych, samolot dostał zgodę na lądowanie w Dżibuti, skąd po uzupełnieniu paliwa musiał natychmiast wystartować i ostatecznie wrócił do Larnaki. Egipski prezydent zażądał od Cypru zaangażowania wszelkich możliwych sił, aby ocalić zakładników, ale przede wszystkim pojmać porywaczy i przekazać ich do Kairu. Kiedy nie doczekał się jednoznacznej deklaracji, zdecydował się na przeprowadzenie akcji zbrojnej. Przygotowany z maksymalnym pośpiechem, pod kierunkiem gen. bryg. Nabila Shukry'ego, plan zakładał, że egipski pododdział specjalny, liczący 58 żołnierzy, zostanie przerzucony na pokładzie transportowca C-130E Hercules bezpośrednio na płytę lotniska w Larnace. Tam, posługując się samochodem terenowym, mieli oni zaatakować samolot, uwolnić zakładników, a przede wszystkim pojmać porywaczy. 19 lutego o godz. 6.40 egipski C-130E bez przeszkód wylądował w Larnace, w odległości około 800 m od samolotu z terrorystami. Przez cały czas toczyły się intensywne negocjacje z Cypryjczykami, ale ostatecznie nie wyrazili oni zgody na akcję obcych sił. Gdy komandosi Sadata ruszyli do walki, cypryjska gwardia narodowa i policja otworzyły ogień. Celny pocisk z granatnika zniszczył kokpit herculesa, co uczyniło cały rajd bezprzedmiotowym. Egipcjanie złożyli broń, straciwszy 18 ludzi. Kair uznał jednak akcję za sukces...



PROF. DR HAB. KRZYSZTOF KUBIAK
PRACUJE W KATEDRZE KRAJÓW EUROPY PÓŁNOCNEJ NA UNIWERSYTECIE
JANA KOCHANOWSKIEGO W KIELCACH,

HORYZONTY

/ POWRÓT DO PRZESZŁOŚCI



MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

ZAPOMNIANY BOHATER

**Dla tych, którzy po zakończeniu wojny
nie złożyli broni, „Rój” był postacią
legendarną. Teraz ma szansę stać się nią
również dla młodego pokolenia.**

MATERIAŁY PROMOCYJNE



Inspiracją do nakręcenia filmu „Historia Roja, czyli w ziemi lepiej słyhać” było spotkanie w 2003 roku Jerzego Zalewskiego z Janem Białostockim, wnukiem Ignacego Oziewiczza, pierwszego komendanta Narodowych Sił Zbrojnych (NSZ). Pod koniec lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku Białostocki zebrał dokumentację filmową tej formacji – ponad 100 godzin świadectw żołnierzy NSZ-et i Narodowego Zjednoczenia Wojskowego (NZW). Wiele z tych opowieści mogło być scenariuszem do filmu.

Zalewski wybrał historię Mieczysława Dziemieszkiewicza, ps. „Rój” – żołnierza NSZ-et i NZW – bo, jak mówi, to młody bohater i postać, z którą mogą się identyfikować współcześni młodzi ludzie. „Rój” ma w sobie cechy Robin Hooda, Zorra, a nawet hrabiego Monte Christo. „Mój film jest opowieścią o żołnierzach Narodowego Zjednoczenia Wojskowego, których połączyła niezgoda na rzeczywistość, jaka nastąpiła w Polsce po II wojnie światowej”, wyjaśnia reżyser.

Dla środowiska NSZ-et „Rój” był postacią legendarną. Stworzył partyzancki oddział i podjął walkę przeciwko komunistycznej władzy. „To był temat zapomniany, a rolą artysty jest także odtwarzanie pamięci. Chciałem, aby mój film dotarł do młodych widzów, bo to oni najbardziej potrzebują tej pamięci. Jak rozumieć podtytuł filmu: »w ziemi lepiej słyhać«? Oczywiście metaforycznie. Chciałem powiedzieć, że ci, co zginęli za Polskę, wiedzą o niej więcej aniżeli my”, dodaje Zalewski.

KIM BYŁ „RÓJ”

Film opowiada historię sześciu lat życia „Roja”. Wiosną 1945 roku został on wcielony do 1 Zapasowego Pułku Piechoty ludowego Wojska Polskiego w Warszawie. Zdezercerował w listopadzie tego samego roku, gdy jego brat został zamordowany przez sowieckich żołnierzy. Wstąpił do oddziału NSZ–NZW



MIECZYŚLAW DZIEMIESZKIEWICZ, ps. „Rój” – żołnierz Narodowych Sił Zbrojnych i Narodowego Zjednoczenia Wojskowego, działacz polskiego podziemia antykomunistycznego, na czele swojego oddziału

ppor. Mariana Kraśniewskiego „Burzy”. W odpowiedzi na dokonywanie przez Urząd Bezpieczeństwa masowych aresztowań w Ciechanowie i okolicy, na polecenie dowódcy kompanii Mariana Koźniewskiego „Waltera” stworzył patrol Pogotowia Akcji Specjalnej NZW. Dowodził kilkudziesięcioma akcjami na Mazowszu przeciw komunistom i siłom bezpieczeństwa, m.in. brał także udział w uwolnieniu 65 kolegów przetrzymywanych w więzieniu w Pułtusk.

Dziemieszkiewicz zginął 13 kwietnia 1951 roku w obławie we wsi Szyszki. Służba Bezpieczeństwa aresztowała rodziców dziewczyny „Roja” Aliny Burkackiej i wymusiła na niej współpracę. W tej akcji brało udział 270 żołnierzy z 1 Brygady Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego oraz funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego i Milicji Obywatelskiej. Gospodarstwo Burkackich, gdzie przebywał „Rój” wraz ze swoim podwładnym Bronisławem Gniazdowskim, ps. „Mazur”, zostało otoczone potrójnym pierścieniem tyralieri. Akcję grupy operacyjnej wspierał samolot zrzucający flary oświetlające teren. „Rój” i „Mazur” próbowali przedrzeć się przez obławę. Zginęli w krzyżowym ogniu bro-



MATERIAŁY PROMOCYJNE

TYTUŁOWĄ ROLĘ REŻYSER POWIERZYŁ PIOSENKARZOWI KRZYSZTOFOWI ZALEWSKIEMU

ni maszynowej. Do dziś nie wiadomo, gdzie zostali pochowani. W 2007 roku prezydent Lech Kaczyński odzna-
czył pośmiertnie „Roję” Krzyżem Komandorskim
z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski.

PODRÓŻ W CZASIE

Tytułową rolę reżyser powierzył piosenkarzowi Krzysz-
tofowi Zalewskiemu. Chłopakowi spodobał się scenariusz,
który czytał niczym powieść sensacyjną. „Reżyserowi za-
leżało, abyśmy wyglądali jak żołnierze, więc przeszliśmy
przeszkolenie wojskowe na poligonie w Wesolej. Przygo-
towywał nas żołnierz, który właśnie wrócił z misji
w Afganistanie. Uczyliśmy się, jak zdobywać budynki,
rzucać granatem, trzymać broń. Podczas tych warsztatów
byliśmy ubrani w mundury, w których potem graliśmy
w filmie. Żołnierze z jednostki patrzyli na nas z ciekawie-
ni”, opowiada Krzysztof Zalewski.

Nie jest on zawodowym aktorem, lecz muzykiem.
Zgodnie ze wskazówkami reżysera miał nie grać, lecz po-
zostać sobą. „Musiałem tylko przenieść się 60 lat wstecz

i wyobrazić sobie, jak trudnych wyborów dokonywali
wówczas moi rówieśnicy i jak ja zachowałbym się w sytu-
acji, w której znalazł się »Rój«. Oni musieli odpowiedzieć
sobie na pytanie: czy poddać się sowieckiej okupacji i do
końca życia chodzić ze spuszczoną głową, czy też pod-
nieść głowę wysoko i podjąć przegraną z góry walkę?”,
mówi odtwórca głównej roli.

„Podziwiam »Roję« za niezłomność charakteru i konse-
kwencję, za to, że był gotów poświęcić życie w imię ide-
ałów. Nie wiem, czy na jego miejscu zachowałbym po-
dobnie. Dobrze, że mówimy o żołnierzach wyklętych i że
młode pokolenie ma szansę poznawać historię z filmowe-
go ekranu”, przyznaje Krzysztof Zalewski. „Nikt nie ma
jednak prawa zawłaszczyć tej legendy”.

SZYBKĄ AKCJĄ

„Historia Roja” jest zgodna z prawdą historyczną, choć
nie jest to typowy film historyczny. Obrazuje tragiczne lo-
sy żołnierzy walczących po 1945 roku o wolną Polskę. Na
ekranie, oprócz „Roja”, pojawiają się nie tylko żołnierze ➔

„HISTORIA ROJA” OBRAZUJE TRAGICZNE LOSY ŻOŁNIERZY WALCZĄCYCH PO 1945 ROKU

wyklęci, lecz także przedstawiciele ówczesnego reżimu. W pamięć zapadają prześladowający partyzantów ubek Henryk Wyszymirski oraz dowódca leśnego oddziału Zbigniew Kulesza, ps. „Młot”.

Akcja toczy się szybko, strzelaniny i zbrojne potyczki przeplatają się z napadami i egzekucjami. Dla widzów, którzy interesują się losami podziemia niepodległościowego, film jest w pełni zrozumiały. Gorzej z tymi, którzy nie mają takiej historycznej wiedzy. Brakuje wyjaśnienia pewnych wątków, a niektóre sceny są zbyt długie (film trwa dwie godziny i 15 minut). Pewien kłopot może sprawiać także pomieszanie filmowej fikcji i faktów historycznych. Reżyser Jerzy Zalewski ocenia, że elementów wymyślonych jest około 30–35%. Do fikcyjnych scen należy m.in. ta, w której matka Dziemiszkiewicz identyfikuje ciało syna. Kobieta twierdzi, że to nie on i mówi: „Nigdy go nie znajdziecie”. Obok niej stoją oficer UB, były kolega „Roja”, oraz jego dziewczyna ubrana w mundur bezpieki. Tymczasem nic nie wiadomo o tym, aby była ona pracownikiem UB.

WIERNOŚĆ HISTORII

Na widzu wrażenie robią sceny batalistyczne, liczne sceny walki, świetna scenografia i kostiumy. O wierność szczegółom historyczno-militarnym dbali m.in. Stanisław Marek Łukasik oraz Jarek Kuczyński. „Musieliśmy odtworzyć na ekranie nie tylko powojenne realia, ale także zachowanie żołnierzy”, mówi Kuczyński. Wiedzę na ten temat czerpał z akt sądowych i osobowych, a także teczek funkcjonariuszy SB. Wiele prywatnych zapisków z tamtego okresu przetrwało w archiwum Narodowego Zjednoczenia Wojskowego. Materiały te trzeba było poddać analizie i dopiero wtedy układać z nich filmowe puzzle. To w archiwum znalazł m.in. dokument z sekcji zwłok „Mazura”. Lekarz napisał w nim, że na czapce partyzanta oprócz orzełka była także na emblemacie czaszka.

Mundury zostały wypożyczone od jednej z firm świadczących takie usługi, ale wymagały drobnych poprawek, np. trzeba było doszyć czarne naramienniki. „Ubiory partyzantów nie mogły wyglądać jak od krawca, dlatego prosiliśmy panie zajmujące się kostiumami, aby je patynowały”, opowiada Kuczyński. Konsultanci historyczno-militarni dużo też rozmawiali z aktorami, tłumaczyli im, jak trzymać broń i strzelać.

W „Historii Roja” po raz pierwszy „zagrał” strzelający (hukową amunicją) karabinek STG 43, niemiecka broń wyprodukowana pod koniec wojny. Po 1945 roku używa-

ła jej milicja, a w filmie posługuje się nią „Mazur”. „STG 43 można rozpoznać na wielu zdjęciach żołnierzy wyklętych”, mówi Jarek Kuczyński. „Rój” natomiast posługiwał się zdobycznym radzieckim pistoletem TT wz. 33 (była to popularna broń wśród żołnierzy Armii Czerwonej) oraz pistoletem maszynowym PPSz, czyli pepe-

szą. „Zależało nam, aby konkretnym bohaterom przypisać taką broń, jakiej faktycznie używali”, wyjaśnia Stanisław Łukasik.

W odtwarzaniu historycznych szczegółów pomagały stare fotografie, choć zdarzało się, że były przyczyną jeszcze większych wątpliwości. Dlaczego np. na zdjęciach „Rój” ma patki oficerskie, choć był podoficerem, a naramienniki w stopniu sierżanta? Dylemat nie został rozstrzygnięty, ale w filmie Dziemiszkiewicz nosi takie same insygnia, jak na tej fotografii.

Sporo jest tu scen batalistycznych, zagrało także kilkanaście grup rekonstrukcyjnych (ponad 100 osób), głównie przedstawiających żołnierzy podziemia niepodległościowego i służby bezpieczeństwa. „Z takimi ludźmi łatwiej się współpracuje niż ze statystami, bo wiedzą, jak się zachować przed kamerą i potrafią obchodzić się z bronią. Często mają własne mundury oraz broń”, mówi Stanisław Łukasik, który na planie odpowiadał m.in. za pojazdy. Na ekranie pojawiają się dwa rosyjskie czołgi T-34 (wypożyczone od prywatnego kolekcjonera z Nasielska), które wzięły udział w obławie na „Roja”, a także działa samobieżne SU-57 i SU-76 oraz pancerny samochód BA-64. „Pokazaliśmy potęgę sił KBW zaangażowanych w ściganie żołnierzy podziemia”, dodaje Łukasik.

Dbal on także o odpowiednie tablice rejestracyjne na pojawiających się w filmie pojazdach. Informacji o ich oznakowaniu szukał na zdjęciach archiwalnych, a także w rozkazach. W produkcji „zagrał” też citroen (zwany czarną cytryną), jakim jeździli wówczas funkcjonariusze UB, oraz wypożyczony z prywatnego Muzeum Motoryzacji i Techniki w Otrębusach sowiecki kabriolet ZiS 110 – podczas sceny pierwszomajowego pochodu poruszał się nim Bolesław Bierut.

Broń, podobnie jak mundury, pochodzi od specjalistycznych firm, które wypożyczają ją filmowcom. Łukasik ocenia, że ze względu na rozmach jedną z najtrudniejszych scen była obława na „Roja”, gdyż było w nią zaangażowanych wiele pojazdów oraz ludzi. „Korzystaliśmy też z kobiecych grup rekonstrukcyjnych zajmujących się odtwarzaniem ówczesnej mody – zagrały w scenach pokazujących powojenną Warszawę”, opowiada Łukasik. ■

MICHAŁ ZIELIŃSKI

30 kilometrów niespodzianek

Błoto, załamujący się lód czy przesiąknięty mundur nie stanowią dla nich przeszkody. Muszą walczyć do końca.

Rok 1982. Skuleni z zimna żołnierze czekają na rozkaz wymarszu. Część z nich energicznie przystępuje w zamrożoną ziemię, niektórzy oddechem starają się rozgrzać zgrabięte ręce. Tej nocy temperatura spadła rekordowo nisko, ale dla wychowanków 7 Oddziału Dyscyplinarnego Jednostki Wojskowej 1370 nie ma taryfy ulgowej. Według planu szkolenia właśnie dzisiaj wypada „duża beczka”, czyli wyczerpujący, kilkudziesięciokilometrowy marsz połączony z zajęciami taktycznymi. Niektórzy żołnierze wiedzą już, jak duży jest to wysiłek. W wewnętrznej, nieformalnej hierarchii koledzy nazywają ich tygrysami.

Rok 2016. Ponad 300 zawodników próbuje utrzymać ciepło przed startem. Pomagają w tym rozstawione przez organizatorów koksowniki oraz energiczne wymachy ramion. Wszyscy już zdają sobie sprawę z tego, że pięciokilogramowy pieniek, z którym przyjdzie biec każdej parze, nie jest ich największym zmartwieniem. Zimowa edycja Biegu Tygrysa miała się odbyć pod znakiem opadów śniegu oraz siarczystego mrozu. Plany te pokrzyżowały roztopy i padający od kilku dni deszcz. Teraz wszyscy grzęzną w śliskim, zasysającym buty błocie. Doświadczeni biegacze wiedzą, że

w takich warunkach dotarcie do mety będzie wyzwaniem ekstremalnym.

PRAWDZIWA KATORGA

„Pomysłodawcą Biegu Tygrysa była Ania Rogińska, która chciała zorganizować imprezę kultywującą tradycję 7 Oddziału Dyscyplinarnego. Z początku nie byłem zbyt chętny. W końcu jednostka karna może źle się kojarzyć. Z drugiej strony, minęło już tyle czasu...”, Andrzej Głuchowski, chorąży w stanie spoczynku, na służbę w Orzyszu trafił pod koniec lat siedemdziesiątych. Zaczynał jako asystent dowódcy plutonu, z czasem awansował na szefa kompanii. Przez 11 lat poznał nie tylko zasady panujące w pododdziałach, ale również doświadczył niedoli swoich wychowanków. Ukarani żołnierze musieli zmagać się z izolacją, brakiem wolnego czasu i tęsknotą za bliskimi. To jednak wycieńczające marsze najmocniej utkwiły w ich pamięci.

„Idziemy kolumną i nagle pada komenda »ogień artylerii!«. Rozbiegamy się, żeby utworzyć linię. Za chwilę zostaje ogłoszone pogotowie gazowe, dalsze manewry wykonujemy w maskach. Cały czas nowe rozkazy i cały czas w ruchu”, pan Andrzej wspomina, jak wyglądały zajęcia, na których oparto założenia biegu.

MICHAŁ ZIELIŃSKI



Obecnie zawodnicy mogą wystartować w małej i dużej becze. W obu wypadkach dystans wynosi 30 km, ale uczestnicy dużej beczi biegną parami. Po drodze muszą się zmierzyć z blisko setką przeszkód, zapamiętywać ciągi cyfr, sprostać trudnym warunkom terenowym. Wszystko to w mundurze i z pięciokilogramową belką.

„Normalnie cały ekwipunek ważył około 15 kg. Stalowy hełm latał po głowie i opadał na oczy, plecak wznosił się w ramiona. Żołnierze zwykle nie byli przygotowani do takiego obciążenia, niektórzy totalnie się załamywali. Była to katorga. W organizowanych przez nas zawodach ludzie mają chęć biegać, mogą w każdej chwili zrezygnować i to nie powoduje konsekwencji”. Pan Andrzej zaznacza jednak, że trudność biegu tkwi w czymś innym.

BIEGNIĘ SIĘ GŁOWA

Mija druga godzina. Do tego czasu większość zawodników ma już za sobą przeszkody terenowe oraz małą gaj. Wszyscy są przemoczeni, pokryci błotem, większość z trudem łapie oddech. Wśród nich postać ubrana w mundur Żandarmerii Wojskowej. Charakteryzują ją spokojne, wręcz metodyczne ruchy oraz równe tempo. W oczy rzuca się nienaganny strój – brudny do pasa, jak u wszystkich, ale z czystymi naramiennikami i beretem. To Piotr Rakowski, starszy chorąży sztabowy ŻW w stanie spoczynku. Oddany miłośnik aktywności fizycznej i najstarszy uczestnik biegu. W ubiegłym roku skończył 62 lata.

„Gdybym narzekał na to, co mi przeszkadza, to bym miał trzy razy P – piwo, pantofle i pilota. A tak to sobie po prostu biegam”. Pan Piotr, w środowisku znany jako „Tatarak” (tata raka, czyli syna Pawła Rakowskiego, który zaraził go bieganiem), do sportu podchodzi na spokojnie. Start w zawodach traktuje jako formę relaksu. Jego osiągnięć nie powstydziliby się jednak niejedni znacznie młodsi uczestnicy. Jest to pierwszy start pana Piotra w Biegu Tygrysa, ale na swoim koncie ma koronę maratonów oraz ponad 500 km w biegach wojskowych. Jeżeli tylko pozwala na to regulamin imprezy, wkłada mundur formacji, w której służył.

„Spodziewałem się, że w małej becze organizator nie odmówi jakiejś przyjemności. Zaraz po starcie wrzucili nas do rzeki, ale dla mnie najgorszy był rów melioracyjny. W pewnym momencie załamał się przede mną lód i wpadłem w wodę po pachwiny,

do tego przez cały czas oślizgiwały mi się buty. A ja starałem się nie przewrócić, żeby nie zachlapać beretu i reszty munduru”.

Wśród zawodników są nie tylko weterani, lecz także żołnierze czynnej służby. Jednym z nich jest szer. Elżbieta Olfier z 15 Giżyckiej Brygady Zmechanizowanej. Organizatorzy nie przewidzieli osobnej klasyfikacji kobiet, co nie robi na niej żadnego wrażenia. W wojsku nie może liczyć na specjalne względy, podczas Biegu Tygrysa udowadnia, że wcale tego nie potrzebuje. Na każdym kolejnym punkcie kontrolnym sędziowie utwierdzają ją w przekonaniu, że jest w ścisłej czołówce. Kryzys przychodzi po 20. kilometrze. „Było bardzo ciężko, ale się zaparłam. Biegłam głową od samego początku, od rzeki. Pod niektórymi załamywał się lód, inni grzęźli w błocie i w mule. Już wtedy myślałam, co nas czeka dalej, skoro początek jest taki trudny, ale koncentrowałam się na tym, żeby pokonać dystans. Jeżeli człowiek się załamie na samym starcie, to ostatecznie się podda. Jeśli myśli pozytywnie, to nawet gdyby miał biec dziesięć godzin, to sobie poradzi”. Elżbieta Olfier biegnie znacznie krócej. W małej becze melduje się na mecie jako pierwsza kobieta.

BEZ SŁÓW

Dwóch mężczyzn bez wahania rzuca się w błoto, dźwiga kłodę i przystępuje do serii brzuszków. Ich umorusane twarze wykrzywają się od wysiłku, na tle brunatnej mazi błyszczą wyszczerzone zęby. Po chwili podbiegają do trzymetrowej ściany i wspólnymi siłami przedostają się na jej drugą stronę. To jeszcze nie koniec. Przed nimi kolejne przeszkody, w tym bagnisty odcinek, kiedy czołgają się pod nisko zawieszonymi oponami. Mimo trudów, rozumieją się bez słów, a ich współpraca odbywa się

automatycznie. Czasem jeden z nich motywuje albo pochwali partnera, czasem syknie coś pod nosem. Zwykle w milczeniu każdy skupia się na wykonywanym zadaniu.

„W wojsku samotny żołnierz nie jest w stanie zrobić nic, liczą się drużyna, pluton, kompania. Zespół zawsze zdziała więcej niż jeden człowiek. Bój toczy się między zawodnikiem a jego psychiką, między przygotowaniem fizycznym a odpornością psychiczną. W naszym wypadku walka ta rozkłada się na dwie osoby”. Artur Pelo i Mariusz Borychowski z 7 Brygady Obrony Wybrzeża znają się od wczesnych

Artur Pelo
i Mariusz
Borychowski

Elżbieta
Olfier
Piotr
Rakowski



MICHAŁ ZIELIŃSKI (4)

ZIMOWEMU BIEGOWI TYGRYSA MIAŁY TOWARZYSZYĆ OPADY ŚNIEGU ORAZ SIARCZYSTY MRÓŻ. ZAMIAST TEGO WSZYSCY GRZĘZNĄ W ŚLISKIM, ZASYSAJĄCYM BUTY BŁOCIE

lat dziewięćdziesiątych. Obaj mają na koncie liczne sukcesy, zarówno w biegach cywilnych, jak i mundurowych. Swego czasu Artur zajął siódme miejsce w światowej klasyfikacji wojskowych maratończyków. Mariusz w 2013 roku został mistrzem Wojska Polskiego w biegu patrolowym. Niespotykana wydolność organizmu w połączeniu z umiejętnością współpracy pozwala im regularnie zajmować najwyższe miejsce na podium. „W Biegu Tygrysa ustaliłem z Mariuszem, że ze względu na predyspozycje fizyczne to ja wezmę na siebie ciężar belki. Jednocześnie Mariusz przez cały czas prowadził

i dostosowywał tempo. Rozumiemy się bez słów, po prostu znamy swoją mowę ciała”.

Po trzech godzinach i 17 minutach Artur i Mariusz pokonują dużą beczkę. Za nimi 30 km klejącego się błota, lodowatej wody oraz przeszkód wymagających nie tylko niehumanitarnego wysiłku, lecz także sprytu. Na twarzach ciężko jednak znaleźć ślady zmęczenia. Bije za to radość i duma. Tym razem spośród 300 zawodników tylko 174 mogło poszczycić się mianem tygrysa. Artur Pelo i Mariusz Borychowski udowodnili, że niebieski beret jest jednym z najlepszych, i po wymarzony tytuł sięgnęli jako pierwsi. ■

Pamiętki z Korei

**Muzeum w Bydgoszczy
otrzymało pamiętki po polskiej
misji sprzed 63 lat.**

Pracownicy Muzeum Wojsk Lądowych spotkali się ze **st. sierż. Tadeuszem Wąsowskim**, żołnierzem I zmiany Misji Polskiej do Komisji

Nadzorczej Państw Neutralnych w Korei w 1953 roku. Podoficer był kierowcą dowódcy gen. bryg. Mieczysława Wągrowskiego.

Dzięki sierżantowi do zbiorów muzealnych trafiło kilkadziesiąt zdjęć i dokumentów ze służby na 38. równoleżniku, w Panmundżonie i w obozie w Kesong. Pla-

cówka otrzymała też kurtkę mundurową, pas, czapkę garnizonową, furażerkę i krawat. Jak podaje muzeum, były uczestnik misji opowiedział również o przygotowaniach do wyjazdu na misję, podróży pociągiem do Korei, warunkach służby, tamtejszych zwyczajach i kontaktach z mieszkańcami. AD ■



JAROSŁAW WIŚNIEWSKI

Dotknąć historii

Rekonstruktorzy przeszli śladami walk o Wał Pomorski.

Chcemy w ten sposób poznać historię walk z lutego 1945 roku i oddać hołd polskim żołnierzom”, mówił Arnold Kozłowski ze Stowarzyszenia Historycznego „Erika” z Poznania, jeden z organizatorów IV edycji rekonstrukcyjnej podróży historycznej „Przełamanie Pomernstellung – bitwa o Wał Pomorski”. W jej trakcie 36 odtwórców 1 Armii Wojska Polskiego z całej Polski pokonało w rocznicę przełamania umocnień wału ponad 25 km szlakami jednej z największych bitew Wojska Polskiego podczas II wojny światowej.

Szli ubrani w historyczne mundury, z wyposażeniem i bronią sprzed 71 lat. „Staramy się jak najwierniej odtworzyć sylwetkę żołnierzy 1 Armii Wojska Polskiego”, podkreślali

rekonstruktorzy. I dodawali, że taka podróż to sposób na dotknięcie historii. Maszerowali, kierując się dawnymi niemieckimi mapami i szukając miejsc związanych z batalią, a przy mijanych tablicach ku chwale walczących tam polskich żołnierzy zapalali znicze. Zorganizowali też apel pamięci przy kamieniu upamiętniającym przełamanie niemieckich umocnień 5 lutego 1945 roku.

Podczas walk sprzed 71 lat polskim dywizjom udało się pokonać silnie ufortyfikowane umocnienia niemieckie na Pomorzu Zachodnim. 10 lutego Polacy zdobyli Mirosławiec, otwierając drogę na Kołobrzeg. Według różnych źródeł, w walkach poległo i zostało rannych od 5,7 do 14 tys. Polaków. AD ■

Mundur wyklętych

Antoni Macierewicz zdecydował o wprowadzeniu mundurów honorowych dla żołnierzy walczących o niepodległość Polski po 1944 roku. Będą one wzorowane na przedwojennym ubiorze oficerskim. Istotnym elementem mają być ryngrafy. Dla żołnierzy walczących w Polsce Centralnej – z Matką Boską Częstochowską, dla tych ze wschodniej części kraju – z wizerunkiem Matki Boskiej Ostrobramskiej. Na rękawach zaś znajdą się znaki wyróżniające daną formację. MM ■



Życie Marszałka

**Konsorcjum międzynarodowe
opracuje wystawę w Muzeum
Józefa Piłsudskiego.**

W ogłoszonym w 2014 roku konkursie na koncepcję plastyczno-przestrzenną stałej ekspozycji muzeum w Sulejówku zwyciężyło konsorcjum firm: WXCA Sp. z o.o., Ralph Appelbaum Associates i Platige Image SA. Polska pracownia WXCA jest autorem m.in. budynków nowego kompleksu muzealnego w warszawskiej Cytadeli i pawilonu Miejsca Pamięci w Palmirach. Amerykańska firma Ralph Appelbaum Associates tworzy muzea oraz wystawy na całym świecie. Zrealizowała już 500 projektów w 33 krajach. Z kolei polskie studio Platige Image przygotowało m.in. animacje „Miasto ruin” dla Muzeum Powstania Warszawskiego oraz „Bitwa pod Grunwaldem” dla Muzeum Narodowego w Warszawie.

Zaproponowany przez te firmy scenariusz wystawy jest chronologiczną opowieścią o Józefie Piłsudskim podzieloną na sześć galerii. Pięć z nich odnosi się do etapów życia i działalności Marszałka, a szósta podsumowuje jego dziedzictwo. Wystawa powstanie w nowym gmachu muzeum. Zostanie on zbudowany w sąsiedztwie dworku Milusina. Placówka ma być otwarta na 100-lecie polskiej niepodległości, która nierozłącznie kojarzy się z Piłsudskim. AD

**500 PROJEKTÓW
W 33 KRAJACH**



Zwiadowcy z reniferami

**Rosyjscy żołnierze trenują sposoby przeżycia
w warunkach arktycznych.**

Kompania rozpoznawcza samodzielnej brygady zmotoryzowanej na co dzień stacjonuje w podbiegunowej bazie Alakurtti w obwodzie murmańskim, około 50 km od granicy z Finlandią. Formacja ćwiczy sposoby przeżycia w ekstremalnych warunkach, w śniegu i przy mrozie minus 30°C. Jak podał portal Rushincrash.com, elementem szkolenia jest działanie bez użycia pojazdów mecha-



nicznych. Trenowano przemieszczanie się za pomocą psich zaprzęgów lub sanii ciągniętych przez renifery, nart oraz rakiet śnieżnych. Żołnierze uczyli się też budować tradycyjne schronienie wędrujących ludów dalekiej północy, czyli namioty ze skóry reniferów. Taki trening ma nauczyć zwiadowców działania bez paliwa czy prądu oraz operowania w trudno dostępnym terenie na zapleczu przeciwnika. AD ■

Symbol lotników

**W Muzeum Wojska Polskiego można
oglądać sztandar polskich pilotów.**

Na pomysł, aby dla polskiego lotnictwa walczącego na Zachodzie wykonać sztandar, wpadł kpt. pil. Jan Hryniewicz, późniejszy pilot m.in. 309 Dywizjonu Myśliwsko-Rozpoznawczego. Projekt przesłano do okupowanego przez Sowietów Wilna, haft wykonały siostry zakonne. W maju 1940 roku sztandar potajemnie przewieziono, dzięki pomocy dyplomatów japońskich, do Berlina, następnie trafił do Londynu. Tam angielska firma wykonała odlew orła na drzewcu. Metal pochodził z zebranych przez lotników monet, sygnetów i obrączek.

Sztandar wręczył lotnikom naczelny wódz gen. Władysław Sikorski 16 lipca 1941 roku. Każdy dywizjon prze-

chowywał go przez trzy miesiące, a potem przekazywał kolejnej jednostce. Jako pierwsi sztandar otrzymali lotnicy 300 Dywizjonu Bombowego. Po wojnie trafił do Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Władysława Sikorskiego w Londynie. W 1992 roku przekazano go Stowarzyszeniu Lotników Polskich w Wielkiej Brytanii. Jego członkowie w trakcie Światowego Zjazdu Lotników Polskich przywieźli sztandar do Polski i przekazali Wyższej Szkole Oficerskiej Sił Powietrznych w Dęblinie. Docelowo będzie on eksponowany w Muzeum Sił Powietrznych. Na razie można go podziwiać w Muzeum Wojska Polskiego. AD ■



ANNA DĄBROWSKA

Kwatery na wzgórzu

**Cmentarz w Łużnej-Pustkach
został uhonorowany Znakem
Dziedzictwa Europejskiego.**

O szóstej rano w niedzielę 2 maja 1915 roku zaczął się ostrzał rosyjskich pozycji na północ od wsi Łużna niedaleko Gorlic. Przez cztery godziny 1000 austriackich dział prowadziło ogień artyleryjski w kierunku okopów obsadzonych przez żołnierzy rosyjskiej 31 Dywizji Piechoty.

Umocnienia ulokowane na zboczu niewielkiego wzgórza Pustki były jednym z kluczowych punktów oporu armii carskiej w pierwszej fazie operacji gorlickiej, największej i najważniejszej bitwy I wojny światowej na froncie wschodnim.

MAŁE VERDUN

O wzgórzu po obu stronach frontu walczyli też Polacy, głównie w szeregach austriackich. Najwięcej służyło ich w 12 Dywizji Piechoty, nazywanej Krakowską, oraz tzw. galicyjskich pułkach piechoty: 100 Cieszyńskim i 56 Wadowickim. W tym ostatnim pod Łużną walczył sierż. Karol Wojtyła, ojciec Jana Pawła II. Austriacką artylerią natomiast komenderował płk Tadeusz Rozwadowski, późniejszy szef sztabu polskiej armii.

O dziesiątej padł rozkaz do ataku. „Wreszcie nadeszła upragniona chwila! Gwizdki dają znak – kolumny jak lawina biegną już do szturm!”; pisał płk Franciszek Latinik, dowódca 100 Cieszyńskiego Pułku Piechoty w książce „Żołnierz polski pod Gorlicami”. Nacierający szybko zdobyli pierwszą linię okopów. „W pół godziny po rozpoczęciu szturm, mimo bardzo uporczywej obrony załogi niektórych odcinków, pierwsza pozycja była już w rękach naszych”, zapisał we wspomnieniach ppłk Marian Łodyński, żołnierz 12 Dywizji. Okazało się jednak, że część rosyjskich umocnień ukrytych w lesie przetrwała, wraz ze swoimi obrońcami, ogień artyleryj-



ski. Rozpoczęły się walki o wzgórze. „Po wejściu do lasu trafiono na rowy strzeleckie dla artylerji niewidoczne, z dość liczną obsadą. Wywiązała się zażarta walka na bagnety, połączona z wielkimi po obu stronach stratami”, relacjonował płk Latinik. Dopiero około południa wzgórze zostało zdobyte. W bitwie po obu walczących stronach poległo w sumie ponad 1000 żołnierzy.

Walki o Pustki były częścią zwycięskiej bitwy gorlickiej stoczonej 2–8 maja i nazywanej małym Verdun. Podczas tych zmagani wojska austro-węgierskie i niemieckie doprowadziły do przełamania frontu i wyparcia armii carskich z Galicji.

Utworzony w 1915 roku przy Ministerstwie Wojny Austro-Węgier Wydział Grobów Wojennych podjął decyzję o ulokowaniu wojennej nekropolii na wzgórzu, o które toczyły się walki. Projektantem cmentarza wojennego nr 123 w Łużnej-Pustkach i autorem jego założenia przestrzennego był rzeźbiarz Jan Szczepkowski. Jego dziełem jest też kilka elementów nekropolii. Po odwołaniu artysty pracę dokończył słowacki architekt Dušan Jurkovič.

Cmentarz w Łużnej-Pustkach to największa nekropolia z okresu I wojny w Galicji Zachodniej. Wzniesiona w latach 1917–1918 kształtem przypomina nieregularny trapez. Od frontu otoczono ją płotem z kamiennych słupków i drewnianych sztachet, a słupy podtrzymujące bramę wejściową wieńczą hełmy.

Na blisko trzyhektarowym terenie pochowano 1204 poległych różnych narodowości: Węgrów, Niemców, Austriaków, Rosjan i Polaków. 912 spośród nich służyło w armii austro-węgierskiej, z czego blisko połowa była Polakami. 65 pochowanych to żołnierze niemieccy, a 227 – rosyjscy. W sumie powstało tutaj 46 grobów zbiorowych i 829 pojedynczych. Projektanci, rozmieszczając



ANDRZEJ PAGĄCZEWSKI / GALLICYSJESKIE
TOWARZYSTWO HISTORYCZNE (2)

kwatery, wykorzystali ukształtowanie terenu. Na osobnych polanach zbocza rozlokowano zespoły mogił, pogrupowanych według przynależności narodowościowej, rodzaju broni oraz poszczególnych jednostek. W każdej z grup mogiły zwieńczone drewnianymi krzyżami i otoczone kamiennym obramowaniem mają inny charakter. Łączą je kręte ścieżki i kamienne schodki. Osobną kwaterę przeznaczono dla 555 poległych, których nazwisk nie udało się ustalić. Umieszczono na niej napis: „W życiu rozdeleni, śmiercią połączeni, nikt nie zna ich imienia. Przyjaciele i wrogowie. Kim byli, co znaczyli. Zgasło, minęło, jedno pozostało pewne: ich wierność!”.

Na cmentarzu znajdziemy też postawiony w 80. rocznicę bitwy pomnik ufundowany przez wojsko węgierskie oraz napis umieszczony w 1928 roku przez mieszkańców Gorlic.

GONTYNA PO RAZ DRUGI

Pierwotny projekt nekropolii zakładał, że na szczycie wzgórza stanie kamienny monument, jednak słowacki architekt zdecydował się umieścić w tym miejscu drewnianą kaplicę – gontynę. Niemal 25-metrowa budowla górująca nad cmentarzem miała murowane przyziemie, gdzie mieściła się kaplica, oraz ulokowane nad nim dwie drewniane kondygnacje. Nad drzwiami wejściowymi wyryto: „Wiecznej pamięci poległych bohaterów, którzy w zmaganiach o to leśne wzgórze dla chwały drogiej Ojczyzny szli na śmierć”. Wnętrze kaplicy zdobiła polichromowana rzeźba przyścienna, przedstawiająca Chrystusa dzwigającego krzyż. Według legendy figurę wykonał włoski jeniec za pomocą złamanej szabli.

Kaplica spłonęła w pożarze 29 czerwca 1985 roku. Po została po niej jedynie kamienna podmurówka. Obiekt

udało się odbudować dopiero po 30 latach, dzięki idei powstania Szlaku Frontu Wschodniego I Wojny Światowej.

Prace budowlane dofinansowane ze środków europejskich oraz z budżetu państwa rozpoczęły się w lipcu 2014 roku. Gontyna była gotowa po niespełna czterech miesiącach. Kaplica powstała według oryginalnej dokumentacji, odtworzono też możliwie jak najwięcej detali, w tym drewniane rzeźbione drzwi wejściowe i schody na wieżę.

Jednocześnie przeprowadzono remont cmentarza, który po II wojnie został zapomniany i powoli niszczał, mimo że w 1988 roku wpisano go do rejestru zabytków. Podczas renowacji odnowiono praktycznie wszystkie elementy nekropolii.

ZNAK DZIEDZICTWA

Cmentarz w Łużnej-Pustkach spotkało jeszcze jedno wyróżnienie. To miejsce pamięci walk frontu wschodniego I wojny znalazło się wśród dziewięciu obiektów z państw Unii Europejskiej – tegorocznych laureatów Znak Dziedzictwa Europejskiego. Jest on przyznawany obiektom, które odegrały znaczącą rolę w historii Europy, symbolizującym wartości i ideały europejskie oraz będącym świadkami historii i integracji europejskiej. Wyboru dokonuje Europejski Panel Niezależnych Ekspertów. Uhonorowany cmentarz nr 123 reprezentuje cały zespół 401 nekropolii założonych w trakcie I wojny i po niej w Małopolsce oraz na terenie Podkarpacia. We wniosku o przyznanie znaku podkreślono, że obiekt odzwierciedla ideę ekumenizmu, zapewniając jednakowe traktowanie wszystkich poległych bez względu na ich przynależność narodową, religijną czy fakt, po której stronie walczyli.

Cmentarz w Łużnej jest czwartym obiektem z Polski, który otrzymał to prestiżowe wyróżnienie, oprócz zabytków związanych z unią lubelską, historycznej Stoczni Gdańskiej i „Konstytucji 3 maja”. Dołączył też do listy 20 miejsc w Europie, które w ciągu ostatnich dwóch lat uhonorowano Znakiem Dziedzictwa Europejskiego. Wśród nich jest centrum starożytnych Aten czy opactwo w Cluny we Francji.

Jak podkreśla Kazimierz Krok, wójt gminy Łużna, wyróżnienie przyczyni się na promocji regionu i rozwoju turystyki. Władze samorządowe razem z Małopolskim Urzędem Wojewódzkim chcą też dalej popularyzować wiedzę o cmentarzu.

Planowane jest zamontowanie przy kaplicy stałej wystawy o bitwie gorlickiej, stworzenie w kilku językach strony internetowej poświęconej cmentarzowi i opracowanie programu wycieczek. W sąsiedztwie nekropolii ma też powstać muzeum wielkiej wojny – diorama bitwy gorlickiej. ■

**Panu mjr. Mirosławowi Krupie
oraz Jego Najbliższym**

wyrazy głębokiego współczucia
oraz szczerze kondolencje
z powodu śmierci

Brata

składają żołnierze i pracownicy wojska
Pionu Szkolenia Inspektoratu Wsparcia
Sił Zbrojnych.

Z głębokim żalem i smutkiem przyjęliśmy
wiadomość o śmierci

płk. rez. Adama Pawlika.

Jego odejście nappełniło nas ogromnym żalem.

Wyrazy głębokiego współczucia i szczerze
kondolencje

Rodzinie i Bliskim

składają koleżanki i koledzy
z Zarządu Wsparcia Dowodzenia i Łączności
Inspektoratu Rodzajów Wojsk DGRSZ.

Panu kmdr. ppor.

Tomaszowi Sadowskiemu

wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Ojca

składają

kadra i pracownicy wojska 3 Flotyli Okrętów.

Panu płk. Jackowi Mroczkowi

wyrazy współczucia i szczerze
kondolencje z powodu śmierci

Mamy

składają kadra oraz pracownicy wojska
Rejonowego Zarządu Infrastruktury
w Zielonej Górze.

„A koniec jest początkiem
i nową nadzieją...”.

Z głębokim bólem i żalem przyjęliśmy
wiadomość o śmierci

śp. mjr. w st. spocz. Romana Leśniaka,
długoletniego pracownika Delegatury
Departamentu Kontroli w Krakowie,
serdecznego i życzliwego Kolegi,
który pozostanie w naszej pamięci.

Rodzinie Zmarłego

składamy wyrazy najgłębszego współczucia.

Szef, żołnierze i pracownicy byłej Delegatury
Departamentu Kontroli w Krakowie.

Wyrazy głębokiego współczucia
oraz szczerze kondolencje

Panu pułkownikowi

Sławomirowi Olszewskiemu

z powodu śmierci

Mamy

składają kadra oraz pracownicy
Biura Infrastruktury Specjalnej.

Panu pułkownikowi Jackowi Mroczkowi,

zastępcy szefa Inspektoratu – szefowi logistyki,

wyrazy głębokiego żalu i szczerzego współczucia
z powodu śmierci

Matki

składają komendant, kadra i pracownicy wojska
Komendy Portu Wojennego Gdynia.

Z głębokim żalem i smutkiem
przyjęliśmy wiadomość o śmierci

płk. rez. Adama Pawlika,

wieloletniego żołnierza
wojsk łączności i informatyki.

Wyrazy współczucia i kondolencje
Żonie, Rodzinie i Bliskim Zmarłego

składają

szef, kadra i pracownicy

Zarządu Kierowania

i Dowodzenia – P6 Sztabu Generalnego WP.

Panu płk. Jackowi Mroczkowi,

zastępcy szefa Inspektoratu

Wsparcia Sił Zbrojnych

– szefowi logistyki,

wyrazy głębokiego współczucia z powodu śmierci

Matki

składają żołnierze i pracownicy wojska
3 Regionalnej Bazy Logistycznej w Krakowie.

Szczere wyrazy współczucia
Panu ppłk. rez. Adamowi Świdrowi
 z powodu śmierci

Ojca

składają żołnierze i pracownicy
 z Instytutu Logistyki Wydziału Logistyki
 Wojskowej Akademii Technicznej.

Panu st. chor. Markowi Bałuce
oraz Jego Rodzinie i Bliskim
 wyrazy głębokiego współczucia i żalu
 z powodu śmierci

Żony

składają szef oraz żołnierze i pracownicy wojska
 Szefostwa Służby Hydrometeorologicznej
 Sił Zbrojnych RP.

Panu kmdr. Dariuszowi Baranowskiemu
oraz Panu kmdr. por. Jackowi Baranowskiemu
 wyrazy głębokiego współczucia z powodu śmierci

Ojca

składają kadra i pracownicy wojska
 jednostek Marynarki Wojennej.

Zastępcy szefa Inspektoratu
 Wsparcia Sił Zbrojnych – szefowi logistyki
Panu płk. Jackowi Mroczkowi
 wyrazy współczucia i szczerze kondolencje
 z powodu śmierci

Mamy

składają dowódca, żołnierze i pracownicy Batalionu
 Ochrony Bazy w Redzikowie.

Panu płk. Dariuszowi Kaczmarowskiemu
oraz Jego Najbliższym
 wyrazy głębokiego współczucia
 z powodu śmierci

Matki

składają: kierownictwo, kadra i pracownicy
 Departamentu Kadr MON.

Ppłk. Mariuszowi Majerskiemu
oraz Jego Rodzinie i Bliskim
 szczerze wyrazy współczucia i kondolencje
 z powodu śmierci

Ojca

składa płk. dypl. Sławomir Owczarek z kadram
 zawodową i pracownikami wojska Zarządu Wojsk
 Rakietowych i Artylerii Inspektoratu Wojsk Lądowych
 Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych.

Panu płk. Łukaszowi Andrzejewskiemu-Popow
oraz Jego Rodzinie i Bliskim
 wyrazy głębokiego współczucia oraz najszczerze
 kondolencje z powodu śmierci

Teścia

składają kadra oraz pracownicy
 12 Bazy Bezzałogowych
 Statków Powietrznych w Mirosławcu.

Panu płk. Dariuszowi Sylwestrzakowi
oraz Jego Rodzinie

w trudnych chwilach słowa wsparcia oraz wyrazy
 współczucia i żalu z powodu śmierci

Ojca

składają
 kierownictwo, kadra i pracownicy służby cywilnej
 Zarządu Planowania Użycia Sił Zbrojnych
 i Szkolenia –P3/P7 Sztabu Generalnego WP.

Wyrazy głębokiego żalu
 oraz współczucia z powodu śmierci
 naszego Pracownika, kierownika Kancelarii Tajnej
 i serdecznego Kolegi

śp. chor. szt. w st. spocz. Ryszarda Kiełtyki

pogrążonej w smutku i żałobie
żonie Małgorzacie oraz synowi

składają:

szef, kadra i pracownicy Inspektoratu MON
 ds. Bezpieczeństwa Lotów.

Z ogromnym smutkiem i żalem przyjęliśmy
 wiadomość o śmierci

mjr. rez. Eugeniusza Mariana Sztermela.

Wyrazy współczucia i szczerze kondolencje

Rodzinie i Bliskim

składają dowódca 9 Braniewskiej Brygady
 Kawalerii Pancernej wraz z żołnierzami
 i pracownikami wojska.

Pułkownikowi Romanowi Szubidze,
 prokuratorowi Naczelnej Prokuratury Wojskowej,
 wyrazy głębokiego współczucia
 z powodu śmierci

Matki

składają naczelny prokurator wojskowy,
 prokuratorzy i urzędnicy
 Naczelnej Prokuratury Wojskowej.

Ze smutkiem przyjęliśmy wiadomość o śmierci
pułkownika w st. spocz. Piotra Daniuka
 prokuratora Naczelnej Prokuratury Wojskowej.
 Wyrazy najgłębszego współczucia oraz szczerę
 kondolencje

Żonie i Najbliższym

składają
 naczelny prokurator wojskowy,
 prokuratorzy i urzędnicy
 Naczelnej Prokuratury Wojskowej.

Panu marynarzowi Andrzejowi Brewczakowi

wyrazy głębokiego żalu
 i szczerego współczucia z powodu śmierci

Brata

składają komendant, kadra i pracownicy wojska
 Komendy Portu Wojennego Gdynia.

„W momencie śmierci bliskiego, uderza człowieka
 świadomość, niczym nie dającej się zapłacić pustki”.

Józef Tischner

**Panu pułkownikowi Wojciechowi Kaliszczakowi
 oraz Jego Rodzinie i Najbliższym**

wyrazy szczerego współczucia i głębokiego żalu
 z powodu śmierci

Babci

składają koleżanki i koledzy
 z Oddziału Komunikacji Społecznej
 Dowództwa Operacyjnego Rodzajów Sił Zbrojnych.

Panu płk. Jackowi Mroczkowi,

zastępcy szefa Inspektoratu Wsparcia
 Sił Zbrojnych – szefowi logistyki,

oraz Jego Najbliższym,

wyrazy głębokiego współczucia
 i szczerę kondolencje z powodu śmierci

Matki

składa szef Inspektoratu Wsparcia SZ wraz
 z żołnierzami i pracownikami wojska.

Panu pułkownikowi Anatolowi Sawie

z Wojskowej Prokuratury Okręgowej
 w Warszawie

wyrazy głębokiego współczucia
 z powodu śmierci

Mamy

składa wojskowy prokurator garnizonowy
 w Olsztynie wraz z kadrami i pracownikami wojska.

Wyrazy głębokiego współczucia oraz słowa wsparcia

kpr. Piotrowi Kulikowi

z powodu śmierci

Ojca

składają dowódca, żołnierze i pracownicy
 Batalionu Ochrony Bazy w Redzikowie.

Panu Przemysławowi Ichnowskiemu

wyrazy szczerego i głębokiego współczucia
 z powodu śmierci

Żony

składają dowódca, kadra i pracownicy wojska
 2 Rejonu Wsparcia Teleinformatycznego
 Sił Powietrznych.

**St. chor. sztab. Adamowi Szczepaniuk
 oraz Najbliższym,**

w związku ze śmiercią

Ojca

wyrazy głębokiego współczucia
 składają kierownictwo i kadra
 Polskiego Narodowego Przedstawicielstwa
 Wojskowego przy SHAPE – MONS.

„Nie umiera ten, kto pozostaje
 w sercach i pamięci naszej”.

Z głębokim żalem oraz prawdziwym
 smutkiem informuję o śmierci

żołnierza 27 Dywizji Piechoty AK, pilota walczącego
 w szeregach Wojska Polskiego w czasie II wojny
 światowej i uczestnika akcji „Wisła”, wieloletniego
 prezesa Związku Kombatantów RP i Byłych
 Więźniów Politycznych

mjr. pilota Adama Kownackiego ps. „Mały”,

ostatniego żyjącego obrońcy wołyńskiego
 Przebraża przed bandami UPA.

Wyrazy najgłębszego współczucia

Rodzinie Zmarłego

przekazuje Jakub Nawrocki.

**Panu płk. Radosławowi Kwiatkowskiemu
 oraz Jego Rodzinie i Najbliższym**

wyrazy głębokiego współczucia i żalu oraz słowa
 wsparcia w trudnych chwilach z powodu śmierci

Mamy

składają dyrektor i pracownicy Biura Pełnomocnika
 MON ds. Budowy i Wdrażania Narodowego
 Centrum Wspomagania Operacji Powietrznych.

Szczere wyrazy współczucia
oraz wsparcia w trudnych chwilach po śmierci

Teściowej

Panu komandorowi Marcinowi Mięsikowskiemu
składają dowódca, kadra oraz pracownicy wojska
Centrum Operacji Morskich
– Dowództwa Komponentu Morskiego.

„Śmierć przychodzi bardzo cicho.
Niezapowiedziana, nieproszona
jest zawsze gościem nie na czas”.
Z wielkim bólem i żalem pożegnaliśmy
zmarłego 26 stycznia 2016 roku
podpułkownika w stanie spoczynku
dr. Józefa Izzydora Krakowskiego,
artylerzystę, wieloletniego wykładowcę
w WSOWR i Art. im. Gen. Józefa Bema w Toruniu.
Wszystkim uczestniczącym
w ostatniej drodze śp. Zmarłego,
znajomym, kolegom, przyjaciołom, delegacjom,
składamy serdeczne podziękowania.
W sposób szczególny dziękujemy dowódcy
14 Suwalskiego Dywizjonu Artylerii Przeciwpancernej
w Suwałkach im. Marszałka Józefa Piłsudskiego
Panu ppłk. Waldemarowi Siedleckiemu
oraz dowódcy 11 Mazurskiego Pułku Artylerii
w Węgorzewie Panu płk. Jackowi Werze za pomoc
i przeprowadzenie uroczystości pogrzebowych
zgodnie z ceremoniałem wojskowym.
Pogrążona w bólu rodzina.
Tatusiu, wypełniłam Twoją tajemnicę – córka Marta

Panu płk. Zbigniewowi Łukaszukowi
oraz Jego Najbliższym

wyrazy głębokiego współczucia
i szczere kondolencje z powodu śmierci
Ojca

składają dyrektor i kierownictwo departamentu
oraz koleżanki i koledzy z Departamentu Strategii
i Planowania Obronnego MON

Z głębokim żalem żegnamy
płk. Tomasza Jaronia.
Rodzinie Zmarłego
wyrazy szczerego współczucia
składają, kadra i pracownicy wojska Oddziału
Ćwiczeń Inspektoratu Wojsk Lądowych Dowództwa
Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych.

Panu st. bosmanowi Leszkowi Kropidłowskiemu
wyrazy głębokiego współczucia oraz najszczersze
kondolencje z powodu śmierci

Mamy

składa kadra kompanii technicznej 43 Batalionu
Saperów FOW w Rozewiu.

Panu mł. chor. mar.
Michałowi Storskiemu
oraz Jego Rodzinie

w trudnych chwilach słowa wsparcia oraz
najszczerszego współczucia z powodu śmierci

Ojca

składają dowództwo, żołnierze
i pracownicy wojska
Grupy Okrętów Rozpoznawczych.

Panu płk. Piotrowi Ziei
oraz

Jego Rodzinie i Najbliższym

wyrazy szczerzego żalu i głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Matki

składają dowódca, żołnierze i pracownicy
11 Lubuskiej Dywizji Kawalerii Pancernej.

Panu chorążemu
Jarosławowi Jałowskiemu
oraz Jego Rodzinie i Bliskim

najszczersze wyrazy współczucia,
wsparcia i otuchy w trudnych chwilach
z powodu śmierci

Ojca

składają dowódca, kadra oraz pracownicy
wojska Centrum Operacji Morskich
– Dowództwa Komponentu Morskiego.

Szczere wyrazy współczucia
oraz wsparcia w trudnych chwilach po śmierci

Matki

Panu komandorowi
Waldemarowi Krakowskiemu
oraz Jego Rodzinie i Bliskim

składają dowódca, kadra
oraz pracownicy wojska
Centrum Operacji Morskich
– Dowództwa Komponentu Morskiego.

Z ogromnym smutkiem i żalem przyjęliśmy wiadomość o nagłej śmierci 26 stycznia 2016 roku

śp. dr. Józefa Izzydora Krakowskiego.

Wyrazy głębokiego współczucia

Rodzinie

składają:

dowódca, żołnierze i pracownicy
resortu obrony narodowej 14 Suwalskiego Dywizjonu
Artylerii Przeciwpancernej.

Panu ppłk.

Grzegorzowi Bochyńskiemu

szczerze kondolencje z powodu śmierci

Mamy,

w obliczu niepowetowanej straty,
oraz wyrazy współczucia

składają: dyrekcja, żołnierze i pracownicy
Departamentu Kontroli Ministerstwa
Obrony Narodowej.

Zastępcy dowódcy – szefowi sztabu

3 Sandomierskiego Batalionu Radiotechnicznego

Panu mjr. Pawłowi Czajkowskiemu

z powodu śmierci

Teścia

oraz

Pani Iwonie Czajkowskiej

w trudnych chwilach po śmierci

Taty

wyrazy głębokiego żalu i szczerzego współczucia
składa dowódca, gen. bryg. Wojciech Lewicki,
wraz z żołnierzami i pracownikami dowództwa
3 Brygady Radiotechnicznej.

**Panu kapitanowi Cezaremu Baprawskiemu
oraz Jego Rodzinie i Bliskim**

wyrazy szczerzego współczucia i głębokiego
żalu z powodu śmierci

Matki

składają: szef, kadra zawodowa
i pracownicy wojska Regionu Wsparcia
Teleinformatycznego we Wrocławiu.

Panu Marianowi Majewskiemu

oraz Jego Najbliższym

wyrazy głębokiego współczucia z powodu śmierci

Matki

składają: wojskowy komendant uzupełnień,
kadra i pracownicy Wojskowej Komendy
Uzupełnień w Brodnicy.

Z głębokim żalem przyjęliśmy wiadomość o śmierci

gen. dyw. Adama Rębacza.

Rodzinie i Bliskim

wyrazy szczerzego współczucia

składają: dowódca, żołnierze i pracownicy
11 Lubuskiej Dywizji Kawalerii Pancernej.

Panu Tomaszowi Wojdatowi

wyrazy głębokiego żalu i szczerzego współczucia
z powodu śmierci

Ojca

składają pracownicy Departamentu Zarządzania
Kryzysowego, Spraw Obronnych i Ochrony
Informacji Niejawnych Ministerstwa Rolnictwa
i Rozwoju Wsi.



Pamiętamy

szer. Józef Twardy

3 marca 1978 r., UNEF II Egipt

plut. Piotr Mikułowski

4 marca 2003 r., Amber Fox Macedonia

sierz. Paweł Legencki

4 marca 2003 r. Amber Fox Macedonia

st. chor. Wiesław Caban

10 marca 1992 r., UNDOF Syria

st. chor. Robert Frąszczak

10 marca 2003 r., KFOR Kosowo

sierz. Paweł Ordyński

20 marca 2013 r., PKW Afganistan

por. Ryszard Bojsza

23 marca 1976 r., UNEF II Egipt

st. chor. Jan Bednarz

23 marca 1976 r., UNEF II Egipt

st. chor. sztab. Zdzisław Wyrębiak

27 marca 1993 r., UNTAC Kambodża

**Panu plut. Sławomirowi Brzezińskiemu
oraz Jego Rodzinie i Bliskim**

wyrazy szczerego
i głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Ojca

składają komendant, żołnierze i pracownicy
z Wydziału ŻW w Ustce.

Wyrazy głębokiego współczucia
oraz szczerze kondolencje

Rodzinie

z powodu śmierci

Kazimierza Murata

składają dowódca, kadra zawodowa
i pracownicy wojska
41 Bazy Lotnictwa Szkolnego w Dęblinie.

„Ci, których kochamy nie umierają nigdy,
bo miłość, to nieśmiertelność”.

Emily Dickinson

**Panu mjr. Wojciechowi Karkutowi
oraz Jego Rodzinie i Najbliższym**

słowa wsparcia oraz wyrazy głębokiego współczucia
i szczerze kondolencje z powodu śmierci

Teścia

składają szef oraz koleżanki i koledzy
z Zarządu Logistyki J4 Dowództwa Operacyjnego
Rodzajów Sił Zbrojnych.

Wyrazy głębokiego współczucia
i szczerze kondolencje

Pani Barbarze Ambroziak

z powodu śmierci

Mamy

składają: komendant, żołnierze oraz pracownicy
wojska Komendy Portu Wojennego Gdynia.

**Panu płk. Krzysztofowi Kosieradzkiemu
i Jego Rodzinie**

wyrazy szczerego współczucia oraz słowa
wsparcia i otuchy z powodu śmierci

Ojca

składają szef, oficerowie i pracownicy wojska
Inspektoratu Sił Powietrznych Dowództwa
Generalnego RSZ.

Dowódcy 3 Sandomierskiego
Batalionu Radiotechnicznego
Panu ppłk. Leszkowi Ślimakowi
wyrazy szczerego współczucia
oraz najszczerze kondolencje
z powodu śmierci

Taty

składa dowódca gen. bryg. Wojciech Lewicki
wraz z żołnierzami i pracownikami dowództwa
3 Brygady Radiotechnicznej.

Ze smutkiem przyjęliśmy wiadomość o śmierci
śp. kmdr. por. w st. spocz. Michała Sochy,
żołnierza Centrum Operacji Morskich
– Dowództwa Komponentu Morskiego.

Rodzinie i Bliskim

wyrazy głębokiego współczucia
składają dowódca COM–DKM,
żołnierze i pracownicy wojska.

Panu płk. Mariuszowi Skulimowskiemu

wyrazy współczucia
oraz słowa wsparcia w trudnych
chwilach po stracie

Ojca

składają dowódca, żołnierze i pracownicy
10 Brygady Logistycznej.

**Panu płk. Krzysztofowi Kosieradzkiemu
i Jego Rodzinie**

wyrazy głębokiego współczucia
oraz najszczerze kondolencje
z powodu śmierci

Ojca

składają oficerowie i pracownik wojska
Oddziału Techniki Lotniczej ZWL ISP
Dowództwa Generalnego RSZ.

Panu płk. Stanisławowi Kmiecnińskiemu,
szefowi Delegatury Departamentu Kontroli
we Wrocławiu,

wyrazy współczucia i głębokiego żalu
z powodu śmierci

Teścia

składają żołnierze i pracownicy Delegatury
Departamentu Kontroli we Wrocławiu.



KSIĄŻKA

Gorące serca wywiadu

Książka Sebastiana Rybarczyka ma być podobno o związkach intymnych w działalności wywiadowczej, w rzeczywistości autor przypomina najgłośniejsze wydarzenia w powojennej historii wywiadu, głównie na linii ZSRR – USA. Często nieświadomymi agentami byli zwykli sympatycy komunizmu czy bolszewickiej Rosji, stopniowo wciągani przez czekistów do działalności wywiadowczej. Wielu z nich funkcjonowało za granicą w charakterze tzw. nielegalów, czyli pod spreparowaną przez Łubiankę osobowością. I te kobiety...

W „Najtajniejszej broni wywiadu” sporo miejsca poświęcono **Kimowi Philby’emu**, radzieckiemu szpiegowi wszechczasów, wspomaganemu w swej działalności przez kobiety. Jest między innymi również esej o akcji CIA, która przy pomocy pewnej pani planowała otruć Fidela Castro, albo o działalności Mosadu, demaskującej program atomowy Iraku. Wywiady całego świata funkcjonują podobnie, czyli niezbyt czysto. Agenturalna działalność na rzecz innego państwa jedno ma imię i nie jest tak, że praca dla jednych to zdrada, a dla innych – „przejście na drugą stronę”, jak usiłuje przekonać czytelnika autor. Zresztą momentami ta interesująca książka brzmi jak kompendium pracy szpiega, więc autor albo sam ma wielką wiedzę osobistą na ten temat, albo korzystał z pomocy kompetentnych konsultantów. ■

Jacek Potocki

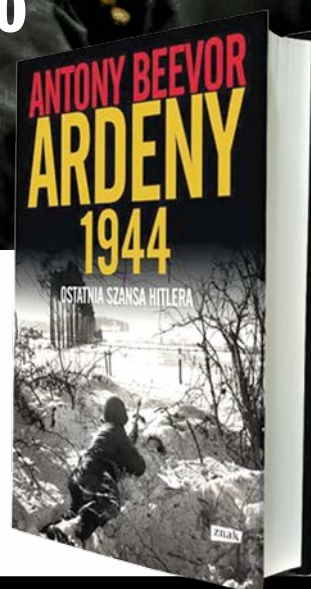
Sebastian Rybarczyk, „Najtajniejsza broń wywiadu”, Fronda, 2015



KSIĄŻKA

Bój o wszystko

Walki stoczone w Ardenach
zapisły się w historii
jako najbardziej krwawe
na froncie zachodnim.



Sierpień 1944 roku. Paryż jest już wyzwolony, w Warszawie wybuch powstanie. Wśród sprzymierzonych panuje nadzieja na rychły koniec wojny. Tylko Churchill nie lekceważy niemieckiej woli walki. Tymczasem Hitler, po zamachu na

KSIĄŻKA

Domowy poligon

Neil Sinclair, żołnierz brytyjskich wojsk inżynieryjnych,
napisał poradnik będący nieocenioną pomocą dla ojców
i opiekunów.

Szczęśliwy powrót ze szpitala z nowym członkiem rodziny jest dla rodziców początkiem niezwykle ważnego etapu. Pierwsze dni i tygodnie pokazują, jak istotne są umiejętności organizacyjne i codzienna zaradność – opieka nad dzieckiem w wielu aspektach przypomina bowiem teren działań wojennych! Brytyjski saper Neil Sinclair zęby zjadł na operacjach

wojskowych. Kiedy jednak przyszło mu zamienić życie w armii na to w domu i opiekę nad trójką dzieci, zdał sobie sprawę, jak bardzo przydałby się mu podręczny poradnik. Z tych doświadczeń powstała książka „Tata komandos: szkolenie podstawowe”, która zapewnia taką właśnie pomoc. Można ją zabrać niemal wszędzie, a co najistotniejsze, zawiera

niego 20 lipca, popada w coraz większą paranoję. Wilczy Szaniec staje się prawdziwą twierdzą, w której Führer coraz częściej się zamyka, dokuczają mu bowiem ataki depresji. Wierzy jednak, że wśród aliantów nastąpi rozłam z powodu konfliktów wewnętrznych. Sytuacja, w której znalazła się armia niemiecka była rozpaczliwa, ale propaganda nie ustawała w wysiłkach, by pomniejszyć znaczenie przegranej. Hitler w wielkiej tajemnicy przygotowuje ofensywę, w której chce wykorzystać element zaskoczenia. To była dla niego jedyna i ostatnia szansa, żeby nie przegrać wojny. I rzeczywiście, alianci nie przewidywali nadciągającego ataku. Nikt nie przypuszczał, że zostanie on przeprowadzony od strony masywu Eifel i że wrogie wojska będą się przemieszczać przez Ardeny.

Takie jest tło wydarzeń książki Antony'ego Beevora. Autor z niezwykłą skrupulatnością odtwarza klimat tamtych czasów, nastroje panujące nie tylko wśród żołnierzy oraz ich dowódców po obu stronach

frontu, lecz także cywilów. Przytacza dokumenty, cytuje wspomnienia, listy, raporty. Poznajemy codzienne życie w okopach, gabinetach generalicji, a także na ulicach miast. Beevor odtwarza dzień po dniu wielką ofensywę. Przywołuje też postać Hemingwaya, który „krążył po froncie, ani na chwilę nie rozstając się z dwiema manierkami, z których jedna napełniona była sznapsem, druga koniakiem”, a także Marleny Dietrich, występującej dla żołnierzy amerykańskich rozlokowanych w Ardenach. Specjalnie dla niej wracali do obozów w Arlon i Bastogne. To niezwykle przejmująca opowieść, oparta na głębokich studiach autora, ciekawie napisana, trzymająca w napięciu, zawierająca wiele nieznanych dotąd szczegółów wojennych zmagania. Całość uzupełniają liczne mapy i fotografie, a także schemat struktury sił biorących udział w ofensywie w Ardenach. ■

Renata Gromska

Antony Beevor,
„Ardeny 1944. Ostatnia szansa Hitlera”,
Znak Horyzont, 2016

sprawdzone porady, informacje i instrukcje, jak krok po kroku zadbać o niemowlę i dziecko.

Pozycja ta z pewnością przypadnie do gustu żołnierzom, rezerwistom i wszystkim miłośnikom wojska. Porady opisane żargonem wojskowym sprawiają, że lektura jest zabawna, a jednocześnie dostarcza wielu cennych wskazówek – od przygotowania bazy na przybycie dziecka, poprzez likwidację bomb, wybór ekwipunku, zabawianie i transport oddzia-



łów, po rozwiązywanie konfliktów, podtrzymywanie morale pododdziału i rozpoznawanie dolegliwości. W każdym rozdziale można znaleźć informacje na temat niezbędnych umiejętności i wyposażenia, wskazówki, jak należy postępować i czego kategorycznie unikać, oraz wykaz użytych terminów. Gorąco polecam, zarówno początkującym, jak i doświadczonym rodzicom. ■

Piotr Jaszczuk

Neil Sinclair,
„Tata komandos: szkolenie podstawowe”, Firma
Księgarska Olesiejuk, 2015



WYSTAWA

Historia i współczesność

Mieszkańcy i turyści spacerujący bulwarem Nadmorskim w Gdyni przez najbliższe miesiące mogą przy okazji obejrzeć ciekawą ekspozycję.

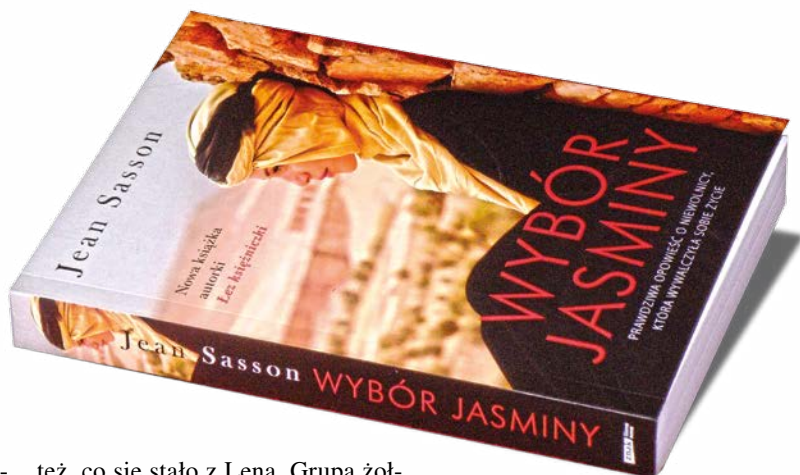
Od 14 lutego na ogrodzeniu Muzeum Marynarki Wojennej dostępna jest dla każdego wystawa plenerowa „Gdynia. Miasto portowe”. Została ona zorganizowana przez muzeum we współpracy z Archiwum Państwowym w Gdańsku i Stowarzyszenie Przyjaciół Archiwum Państwowego w Gdańsku przy wsparciu Zarządu Morskiego Portu Gdynia SA. Na osiemnastu planszach umieszczono kilkadziesiąt fotografii przedstawiających budowę i rozwój portu oraz miasta. Wystawę można oglądać do 11 września tego roku. ■

Muzeum Marynarki Wojennej w Gdyni,
„Gdynia. Miasto portowe”,
ul. Zawiszy Czarnego 1B
81-374 Gdynia

KSIĄŻKA

Seksualne niewolnice

Jak znaleźć nadzieję
w piekle wojny?



Porwali ją irańscy żołnierze i losowali, do którego będzie należeć. Lena nie mogła gorzej trafić – dostała się w łapy psychopatycznego olbrzyma, który kilka razy dziennie brutalnie ją gwałcił i bił do nieprzytomności. Pozostałe kobiety, gdy słyszały jęki i zawodzenie dziewczyny, współczuły jej, a jednocześnie dziękowały, że ich nie spotkał taki los. Choć trudno tu mówić o szczęściu, bo wszystkie były seksualnymi niewolnicami irańskich żołnierzy.

Kiedy w sierpniu 1990 roku wojska Saddama Husajna wkroczyły do Kuwejtu, doszczętnie go spłądowały. Niektórzy mieszkańcy uciekli do Arabii Saudyjskiej, a ci co pozostali, nie tylko zostali ograbieni, lecz także narażeni na opresję. Ludzi porywano wprost z ulic. Nie wiadomo

też, co się stało z Leną. Grupa żołnierzy, która zorganizowała więzienie, trzymała bowiem swój okrutny proceder w tajemnicy. Jeśli któregoś z nich dziewczyna się znudziła, zabijała ją. Jednej z nich, Jasminie, udało się jednak uciec.

W Kuwejcie, gdzie przyleciała jako stewardesa, Jasmina miała spędzić tylko jedną noc. Libanka trafiła tam jednak w najgorszym możliwym czasie – 1 sierpnia 1990 roku. Po irańskiej agresji nie mogła wrócić do domu. Znalazła co prawda schronienie u znajomych, ale wkrótce w czasie ulicznej kontroli została aresztowana. Ze względu na wyjątkową urodę trafiła do więzienia gwałtu. Od tej pory każda chwila jej życia stała się koszmarem. Po nieudanej próbie samobójczej postano-

wiła za wszelką cenę przeżyć i dzięki podstępowi udało się jej wydostać z piekła.

Od niej dowiedzieliśmy się, jakich okrucieństw irańscy żołnierze dopuścili się na kobietach. Jasmina opowiedziała swoją historię Jean Sasson. Choć to było niezwykle trudne dla młodej muzułmanki, z najintymniejszymi szczegółami opisała, co znaczy być ofiarą brutalnych gwałtów. W ten sposób dała świadectwo cierpienia uwięzionych kobiet, a w szczególności Leny. Jean Sasson po latach spisała opowieść Jasminy, dając czytelnikom przejmujące, ale też brutalne świadectwo jej zniewolenia.

Aneta Wiśniewska

Jean Sasson, „Wybór Jasminy”, Znak, 2016

KSIĄŻKA

Smakowity kąsek

Przez żołądek do władzy, czyli historia świata
opowiedziana od kuchni.

Tytuł najnowszej książki znanej historyczki i varsavianistki Marii Barbasiewicz brzmi następująco: „W kuchni jak na wojnie. Jak kucharze walczyli na noże, smaki i anegdoty od końca XVIII do połowy XX w.”. Po tym opisie można by wnioskować, że odwołanie do żołnierki jest przenośnią lub zabiegiem czysto retorycznym. Otóż nie! Autorka w swej fascynującej opowieści kulinarnej wielokrotnie nawiązuje

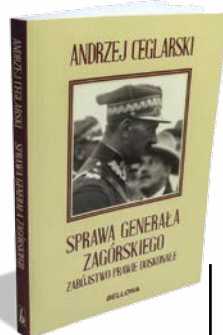
przede wszystkim do wpływu wojen na rozwój kuchni regionalnych, ale także do aprowizacji żołnierzy. Opisuje, jak przez wieki zmienił się sposób żywienia na wojnie, m.in. dzięki powstaniu pierwszych kuchni polowych. Pokazuje również, jak nowe metody długotrwałego przechowywania żywności, poprawiły żołnierską

dietę. Otóż „bóg wojny”, czyli Napoleon, doskonale zdawał sobie sprawę, jak ważna jest aprowizacja wojska. Ogłosił zatem konkurs na łatwy i skuteczny sposób konserwowania jedzenia. Wtedy pewien kucharz, Nicolas Appert, opracował metodę hermetycznego przechowywania pokarmów w szklanych naczyniach. Od strony naukowej opisał ją później Ludwik Pasteur i od jego nazwiska ten proces do dziś nazywa się pasteryzacją. Dla żołnierzy powstały też pierwsze konserwy.

A co wspólnego z wojskiem ma kuchnia fusion? Przede wszystkim autorka udowadnia,



Andrzej Ceglarski,
„Sprawa generała Zagórskiego.
Zabójstwo prawie doskonałe”,
Bellona, 2015



KSIĄŻKA

Gdzie jest generał?

W sierpniu 1927 roku gen. bryg. **Włodzimierz Ostoja-Zagórski** wysiadł z pociągu na Dworcu Wileńskim w Warszawie. Wrócił do stolicy po ponadrocznym pobycie w wojskowym więzieniu na Antokolu. W podróży z Wilna towarzyszył Zagórskiemu kpt. Lucjan Miładowski. Na dworcu dołączył do nich mjr Zygmunt Wenda. Obaj byli zaufanymi podwładnymi marszałka Piłsudskiego. Na tym właściwie kończą się fakty, bo tego, co się stało z generałem po opuszczeniu dworca, nie dało się do końca ustalić. Nie wiadomo, gdzie się podział ani co się stało z jego pozostawionym w dworcowej przechowalni bagażem, w którym znajdował się ponoć pamiątnik oficera.

Sprawa zaginięcia Zagórskiego była jedną z największych sensacji okresu międzywojennego. Wszystkie tropy, które mogłyby doprowadzić do rozwiązania zagadki, zbiera w swojej książce Andrzej Ceglarski. Opisuje karierę wojskową Zagórskiego oraz okoliczności, które doprowadziły do

jego aresztowania po wydarzeniach w 1926 roku. Szczególny nacisk kładzie przy tym na niechętny, wręcz wrogi stosunek do niego Józefa Piłsudskiego. Ceglarski analizuje przebieg śledztwa w sprawie zaginięcia generała, wskazuje wyraźne zaniechania i błędy w jego prowadzeniu. Zwraca również uwagę na niejasne, czasem sprzeczne fragmenty zeznań świadków. Wnioski, jakie wysnuwa, prowadzą wyraźnie do jednego finału, którym było zaplanowane zabójstwo.

Książka Ceglarskiego jest bardzo ciekawa, chociaż brakuje w niej chłodnego dystansu, zarówno do opisywanej postaci, jak i wydarzeń, jakiego należałoby oczekiwać od historyka. Mnie brakowało też przypisów i odwołań do źródeł, którymi autor popierałby swoje opinie, dotyczące działalności generała na początku lat dwudziestych. Niby drobiazg, ale znacznie pomógłby czytelnikowi, szczególnie takiemu, który chciałby wyrobić sobie własne zdanie na ten temat. ■

Joanna Rochowicz

że nie jest ona wynalazkiem naszych czasów. Istniała od momentu, kiedy ludzie zaczęli tak łączyć ze sobą składniki, żeby powstały potrawy. Najczęściej pojawiała się na styku dwóch lub więcej kultur. Idealnym przykładem są tutaj Stany Zjednoczone, gdzie od wieków miesza się wpływy kuchni brytyjskiej, francuskiej, hiszpańskiej, chińskiej, japońskiej i meksykańskiej. Przenikanie inspiracji kulinarnych z różnych regionów świata zawdzięczamy z kolei podróżnikom, imigrantom i... żołnierzom. W rejon, gdzie walczyli, zabierali ze sobą swoje produkty. A do domów wracali z apetytem na nowo poznane potrawy.

Maria Barbasiewicz opisuje historię sztuki kucharskiej nie tylko z perspektywy wojen. Pokazuje, jak w ostatnich stuleciach zmieniał się jadłospis wszystkich warstw społecznych w różnych krajach. Przybliża sposoby przyrządzania potraw i ich podawania, metody przechowywania żywności w czasach, kiedy nie było lodówek. Przedstawia nie tylko najpopularniejsze lokale różnych epok, lecz także modne dania. Na koniec zaś serwuje kilka przepisów kulinarnych z różnych części świata. Krótko mówiąc – smakowita lektura. ■

Aneta Wiśniewska

Maria Barbasiewicz,
„W kuchni jak na wojnie”, PWN, 2015

KSIĄŻKA

Zbrodnia z przeszłością

Nowe nazwisko wśród autorów powieści kryminalnych

Puszcza Kampinoska. Przypadkowy przechodzień napotyka ukryte w gąszczu drzew zmasakrowane ciało. Sprawą zajmuje się nadkomisarz Roman Walter, błyskotliwy, acz niepozbawiony przywar (szczerze mówiąc, czekam na śledczego bez nałogów, z jako tako poukładanym życiem rodzinnym, nie musi być entuzjastą Marii Callas czy oper Wagnera) policjant z Warszawy. Wraz z zespołem usiłuje ruszyć sprawę z miejsca. Szybko się okazuje, że ofiar będzie więcej, a komisarz musi się zmierzyć ze śledztwem życia. Morderca wciąga go w przerażającą grę, której Walter długo nie jest w stanie zrozumieć. Aby posunąć sprawę naprzód, musi sięgnąć do swojej przeszłości, rozdrapać stare rany i rozliczyć z małymi grzeszkami wieku nastoletniego.

Miłośnicy kryminałów, zwłaszcza rodzimych, będą zadowoleni. „Nie patrz w tamtą stronę”, literacki debiut Marcina Grygiera, chemika z wykształcenia, motocyklisty i biegacza z zamiłowania, spełni oczekiwania także wytrawnych czytelników gatunku. To wartko napisana powieść, od której trudno się oderwać. Podział na krótkie rozdziały dodatkowo ją dynamizuje, krok po kroku zbliżając nas do punktu kulminacyjnego. Pozostaje czekać na kolejną propozycję tego autora. ■

Katarzyna Pietraszek

Marcin Grygier, „Nie patrz w tamtą stronę”, Prószyński i S-ka, 2016





ANDRZEJ
FĄFARA

Wciąż trochę wyklęci



Obchodzony 1 marca Narodowy Dzień Pamięci „Żołnierzy Wyklętych” ma swoją ciekawą historię. Najpierw pomysł zgłosiły środowiska kombatanckie, a potem z inicjatywą ustawodawczą wystąpił prezydent Lech Kaczyński. Wniosekodawcę miał reprezentować w Sejmie m.in. podsekretarz stanu Andrzej Duda. Nie zdążył, bo po katastrofie smoleńskiej został zdymisjonowany. Następny prezydent, Bronisław Komorowski, podtrzymał projekt, który w lutym 2011 roku został poddany pod głosowanie. 406 posłów było za, ośmiu przeciw, a trzech się wstrzymało.

Sprawa wydawała się oczywista: uczczenie bohaterów antykomunistycznego „podziemia, którzy w obronie niepodległego bytu Państwa Polskiego [...] przeciwstawili się sowieckiej agresji i narzuconemu siłą reżimowi komunistycznemu” (to cytāt z preambuły ustawy). Kto zatem miał wątpliwości i dlaczego? Szperałem w gazetach sprzed pięciu lat i nic nie znalazłem. Ani nazwisk tych ośmiu posłów, ani motywacji, jakimi się kierowali.

Chociaż są pewne ślady. W „Polsce Zbrojnej” ukazał się w 2011 roku list kmdr. Zbigniewa Ciećkowskiego, który twierdził, że ustanowienie święta żołnierzy wyklętych to „wykopywanie fosi dzielącej polską wspólnotę narodową” i „kultywowanie zabójstw dokonanych przez zbrojne podziemie”. Można się domyślać, że posłowie głosujący przeciw ustawie kierowali się taką właśnie argumentacją.

Pamiętam, że kmdr Ciećkowski, zachęcony sukcesem, zasypał wtedy redakcję kolejnymi listami, które nie zostały wydrukowane, bo autor powtarzał w nich wciąż to samo. Nie napisał tylko w żadnym z nich, co jego zdaniem należałoby zrobić z tysiącami bohaterów z lat czterdziestych i pięćdziesiątych ubiegłego wieku, którzy byli więzieni, torturowani i skazywani na śmierć. Nie mówić o nich? Wymazać nazwiska z pamięci? Skreślić z podręczników historii?

Pierwszy dzień marca został wybrany na święto nieprzypadkowo. Tego dnia w 1951 roku w mokotowskim więzieniu w Warszawie wykonano wyrok śmierci na siedmiu członkach Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość”. O jednym z nich, ppłk. Łukaszu Cieplińskim, pisała w 2011 roku w „Polsce Zbrojnej” Beata Modrzejewska. Zanim go skazano, był torturowany podczas trwających blisko trzy lata przesłuchań. „Za nic nie odpowiadam, bo w czasie śledztwa leżałem w kałuży krwi” – powiedział przed sądem.

Tuż przed śmiercią pisał do żony: „Droga Wisiu, jeszcze żyję, chociaż są to prawdopodobnie już ostatnie dla mnie dni. Siedzę z oficerem gestapo. On otrzymuje listy, a ja nie”.

Nie wiadomo, gdzie został pochowany. Na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach ma swoją symboliczną kwaterę. W 1992 roku Sąd Warszawskiego Okręgu Wojskowego stwierdził nieważność wyroków na ppłk. Cieplińskiego i sześciu pozostałych członków dowództwa WiN-u.

Czy to też było „wykopywanie fosi dzielącej polską wspólnotę narodową”?

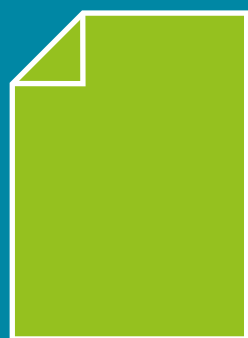


Wojskowy Instytut Wydawniczy, wydawca m.in. „Polski Zbrojny”, „Przeglądu Sił Zbrojnych”, „Kwartalnika Bellona” oraz portalu polska-zbrojna.pl, serdecznie zaprasza do współpracy marketingowej w wydaniach specjalnych.

REKLAMA I PROMOCJA NA ŁAMACH WYDAWNICTW SPECJALNYCH

Wydania specjalne:

- **MilMedEXPO 2016** (22–23.04.2016)
- **Kurier Weterana** (27–29.05.2016)
- **Prezentuj Broń – Balt Military EXPO** (20–22.06.2016)
- **Newport – Warszawa szczyt NATO** (8–9.07.2016)
- **Prezentuj Broń – MSPO** (6–9.09.2016)
- **Prezentuj Broń – Cyber Security 2016** (17–19.11.2016)



285 mm

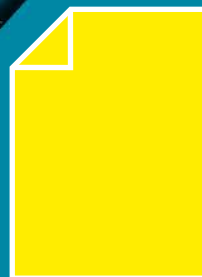
205 mm

REKLAMA

IV okładka	8000 PLN
II okładka	7000 PLN
III okładka	6000 PLN
wewnątrz	5000 PLN

ARTYKUŁ SPONSOROWANY

tekst + grafika	5000 PLN
tekst	5000 PLN



240 mm

165 mm

Upusty:

10% – współpraca w dwóch tytułach specjalnych

20% – współpraca w min. trzech tytułach specjalnych

* wszystkie ceny są w kwotach netto

Wydawnictwa specjalne WIW-u regularnie trafiają do Kancelarii Prezesa Rady Ministrów i Kancelarii Prezydenta RP, przedstawicieli rządu, przedstawicielstw wojskowych w Polsce, departamentów Ministerstwa Obrony Narodowej, dowództw i instytucji wojskowych, dowódców, żołnierzy, pracowników i fanów wojska. Dodatkowo są dystrybuowane także podczas targów, konferencji, imprez oraz innych wydarzeń z udziałem i pod patronatem Wojskowego Instytutu Wydawniczego.

Zapraszamy do współpracy!!!

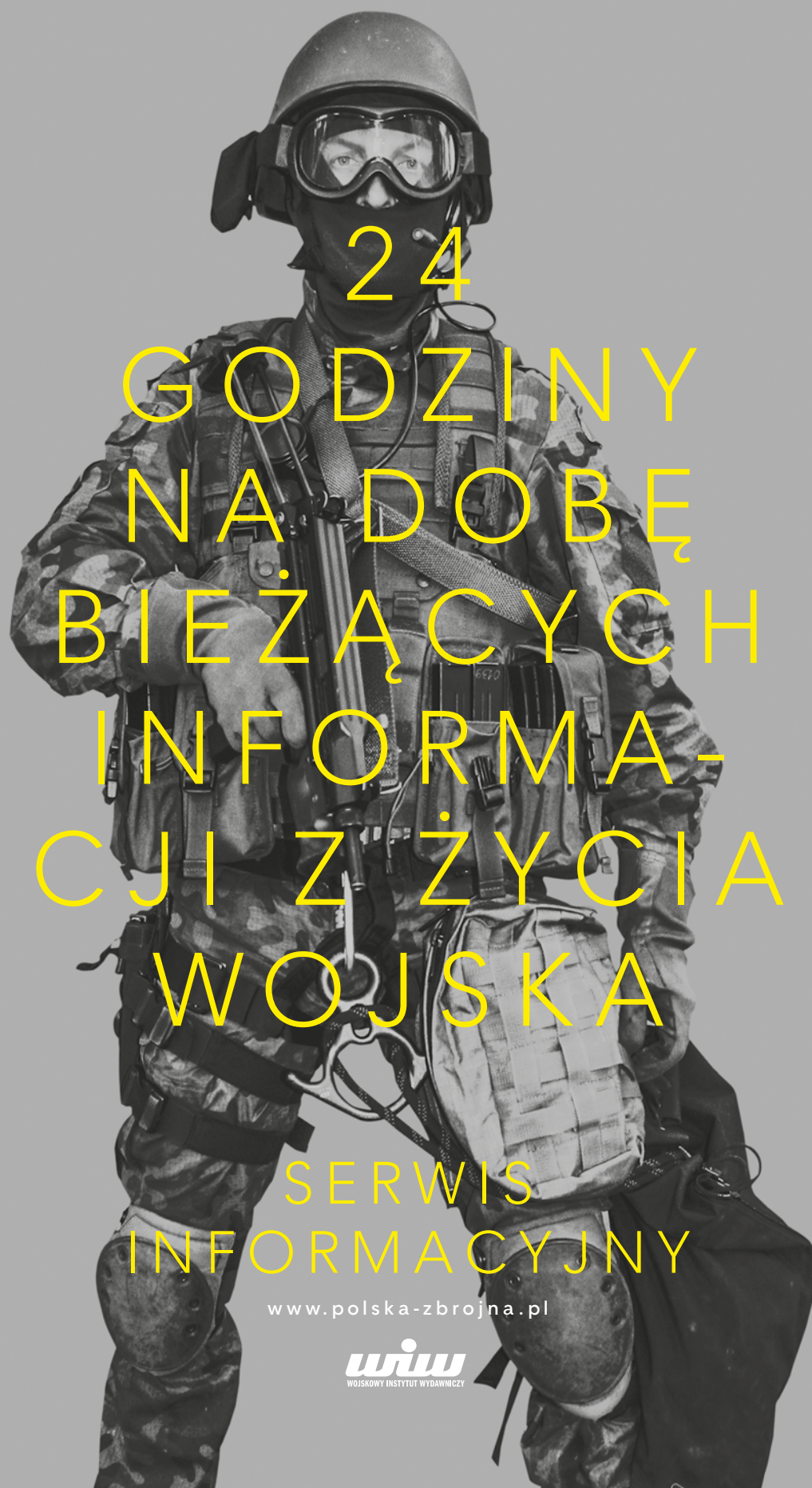
wiw
WOJSKOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

Aleje Jerozolimskie 97, 00-909 Warszawa, tel.: +48 261 845 365, e-mail: sekretariat@zbrojni.pl

Wydział Marketingu i Promocji

tel.: +48 261 845 180, e-mail: reklama@zbrojni.pl

POLSKA-ZBROJNA.PL



24
GODZINY
NA DOBĘ
BIEŻĄCYCH
INFORMA-
CJI Z ŻYCIA
WOJSKA

SERWIS
INFORMACYJNY

www.polska-zbrojna.pl

wiiw
WOJSKOWY INSTYTUT WYDAWNICZY